tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 8 (1207)
20-26.02.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

SZCZEPIONKA NA CZERNIAKA

OLSZTYŃSKI POMNIK NA INDEKSIE IPN

KRZYSZTOF GŁUCHOWSKI NAJDŁUŻEJ ODWOŁYWANY DYREKTOR TEATRU

Rok wojny

JAK ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
08 >
9 771509 311300

eprasa.pl 2dbe3b5146

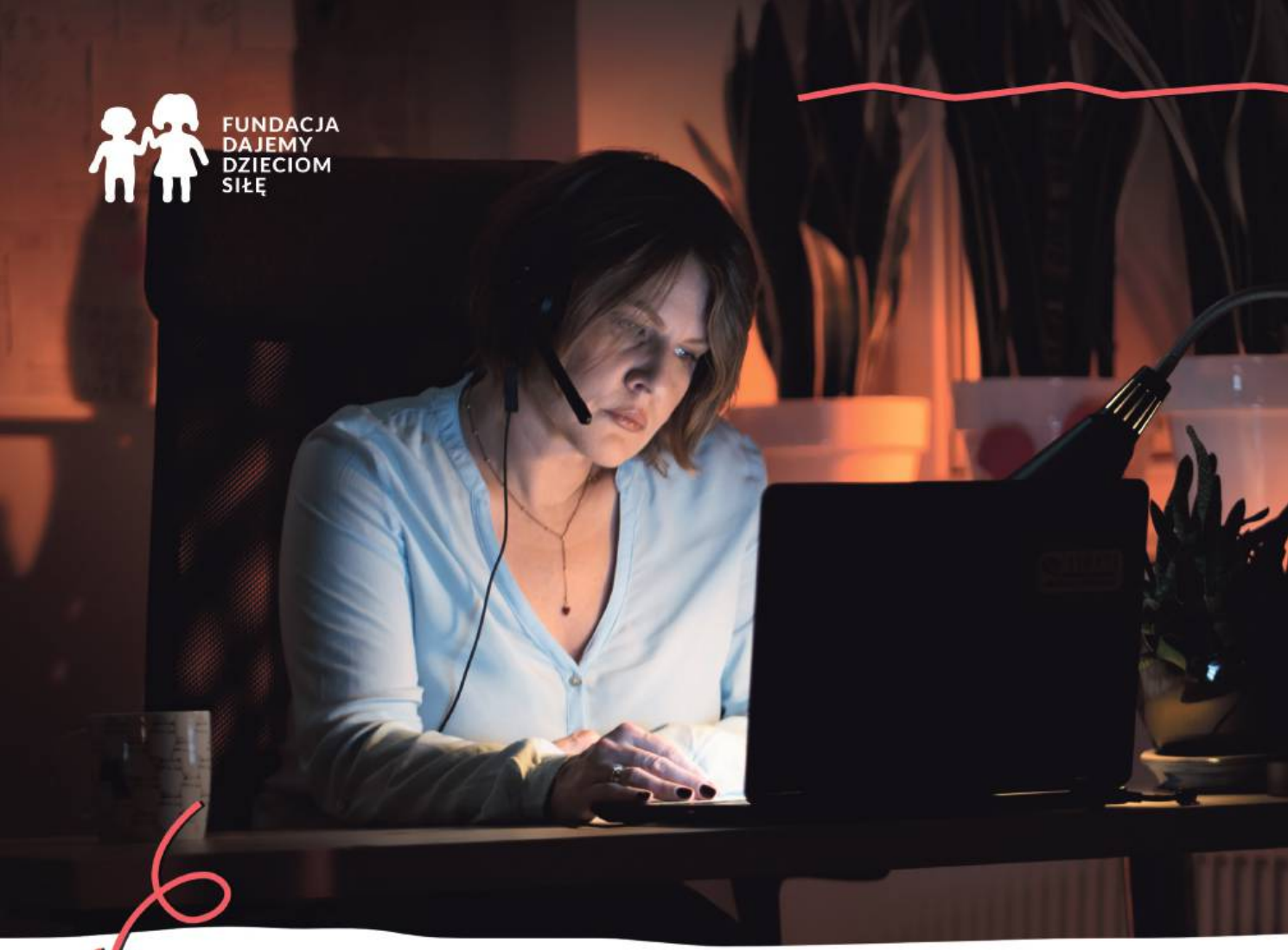

CODZIENNIE ODBIERAMY TELEFONY Z WOŁANIEM O POMOC

Dzieci często dzwonią do nas w nocy. Problemy i lęki nie pozwalają im spać. Słuchamy ich. Wspieramy. Jesteśmy dla nich zawsze.

Przekaż 1,5% Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę i wspieraj telefon zaufania 116 111

KRS 0000 20 44 26

wspierajtelefon.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Jerzy Domański

Kolejne czerwone linie

Ile są warte prognozy rozmaitych mądrali i ekspertów, można zobaczyć, sięgając do tego, co kto mówił i pisał na przełomie 2021 i 2022 r. Nie znajdziemy tam niczego, co w miarę trafnie opisałoby położenie, w jakim od roku znajduje się świat. My również wojny z 24 lutego nie przewidzieliśmy. Jesteśmy więc wśród tych, którzy nie mieli wówczas wystarczającej wiedzy. Ani wyobraźni.

Drugi raz takiego błędu nie chcemy popełnić. Dostaliśmy lekcję pokory i na pytanie, jak długo może trwać wojna na Ukrainie i czym się skończy, odpowiedź może być tylko jedna. Nie wiemy.

W Europie, w Polsce zresztą też, długo żyliśmy w przekonaniu, że nasz świat opiera się na tak trwałych fundamentach, że poradzimy sobie z każdym kryzysem. Po roku wojny niewiele zostało z tego dobrego samopoczucia bogatej Europy. Choć im dalej na zachód od Bugu, tym mniejsza jest trauma mieszkańców z powodu wojny na Ukrainie.

A jak na wojnę reaguje świat? Mówi o tym w bieżącym numerze prof. Góralczyk. Świat tak się przejmuje tą wojną jak Europa wojną w Jemenie, Syrii, Libii i wielu innych egzotycznych dla nas miejscach. Chociaż tam także jest okropnie i ginie bardzo wielu ludzi. I o życie tych ludzi, niezależnie od miejsca zamieszkania czy koloru skóry, powinno nam chodzić. O naszych losach decyduje geopolityka, lecz to zwykli ludzie są ofiarami wojen wywoływanych przez polityków.

Polska stała się państwem frontowym. Na co nie mamy wpływu. Zadecydowała geografia. Ale na coś wpływ mamy. Jeśli władzy zabraknie roztropności, szybko przekształcimy się w kraj wielu baz, poligonów i oddziałów amerykańskich stacjonujących w Polsce.

Potwierdza się, że ludzi interesują prawie wyłącznie te wojny, które są w zasięgu ich granic i osobistych kontaktów. Dla nas przez długie lata ta wojna będzie cierniem. Codzienną dawką ponurych informacji o śmierci na frontach i biedy płynącej z kolejnymi uchodźcami. Czeka nas życie z coraz liczniejszą diasporą ukraińską. I trudny proces rozwiązywania problemów, jakie będą towarzyszyć tworzeniu się nowej wspólnoty. Z ludźmi o innym języku i religii.

Bez większej aktywności ze strony państwa będzie z tym marnie. Trudno przecież przez kolejny rok opierać pomoc dla Ukraińców na entuzjazmie ludzi, którzy wzięli na siebie organizowanie im życia. PiS ciągle chlubi się postawą Polaków. A długofalowych programów działania instytucji państwowych jak nie było, tak nie ma. Choć wiadomo, że ta wojna może trwać całe lata.

Po obu stronach konfliktu przekraczane są kolejne czerwone linie. Prezydent Zełenski żąda samolotów F-16. Nie sądzę, by zmieniły przebieg wojny. Co będzie dalej? Oddziały wojsk NATO – a więc i Polska – biorące udział w walkach? Czy interesy Polski i Ukrainy są tu tożsame? Czy konflikt, który jeszcze jest lokalny, zmierza w stronę III wojny światowej?

BĄKOWSKI

PRENUMERATA POCZTOWA

PŁAĆ MNIEJ I OSZCZĘDZAJ!

JEDEN EGZEMPLARZ
W PRENUMERACIE 7,50 zł

Zamówienia można składać do 25 lutego 2023 r.

97,50 ZŁ – II KWARTAŁ

292,50 ZŁ – II, III, IV KWARTAŁ

We wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy

albo drogą elektroniczną pod adresem:
prenumerata.poczta-polska.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

W NUMERZE

ZAGRANICA
8 **Rok wojny: jak zmienił się świat?**
– rozmowa
z prof. Bogdanem Góralczykiem
26 **Zabójstwo, które nie odmieniło Słowacji**
Niewyjaśniona śmierć dziennikarza
29 **Most nad cieśniną pułapek**
Mafia zarobi na budowie
32 **Między demokracją a tyranią**
Sikorski w Emiratach Arabskich
36 **Wina białego człowieka**
Korespondencja z RPA
40 **Zrobieni w balona**
Ziemianie odetchnęli

KRAJ
14 **Olsztyńskie „szubienice" skazane na zburzenie**
Spór o pomnik
16 **Niechciana sprawa agenta Tomka**
Sędziowie uchylają się od procesu
18 **Porno, dzieci i dopamina**
Nastolatki bez kontroli
20 **Ludziom należą się podwyżki inflacyjne**
– rozmowa z dr. Michałem Możdżeniem

NAUKA
23 **Gdy ziemia drży**
– rozmowa
z dr. Przemysławem Kowalskim
24 **Zapadanie i wypiętrzanie**
– rozmowa z prof. Andrzejem Kononem

OPINIE
44 **Wojciech Łuczak**
Rosja z podciętymi skrzydłami

ZDROWIE
48 **Od szczepionki na covid do leczenia raka**
Postęp w terapii nowotworów

KULTURA
50 **Artysta nie może być grzeczny**
– rozmowa z Krzysztofem Głuchowskim
54 **Qulturalia**
66 **Abstrakcje w Stalowej**

EKOLOGIA
56 **Chcemy parku, nie pustyni**
Trójmiasto w obronie zieleni

ZWIERZĘTA
60 **Lecą gęsi, lecą**
Ptaki w okresie przejściowym

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Kolejne czerwone linie
13 **Jan Widacki**
Logika czasu rewolucji
17 **Roman Kurkiewicz**
A co ja mogę zrobić na przyjazd prezydenta Bidena?
35 **Stanisław Filipowicz**
Trzymając diabła za ogon
43 **Tomasz Jastrun**
Pożeracze owadów
47 **Wojciech Kuczok**
Nic, tak wiele
55 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Nasze życie z owadami

23
NAUKA

GDY ZIEMIA DRŻY
– rozmowa z dr. Przemysławem Kowalskim

50
KULTURA

ARTYSTA NIE MOŻE BYĆ GRZECZNY
– rozmowa z Krzysztofem Głuchowskim

60
ZWIERZĘTA

LECĄ GĘSI, LECĄ
Ptaki w okresie przejściowym

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2dbe3b5146

Zatrute umysły zatruwają Polaków

Wśród zagorzałych pisowców nie ma merytorycznej rozmowy. A gdy argumentów brak, zaczyna się zakrzykiwanie każdego, kto ośmieli się mieć zdanie inne niż jedynie słuszna myśl serwowana przez partię. Widać to we wszelkich programach radiowych czy telewizyjnych, w których ścierają się politycy wszystkich partii. Gdy ktoś zaczyna się wyłamywać, zaraz jest nazywany ubekiem, komunistą, resortowym dzieckiem czy – modnie dziś – ruską onucą. Nieważne, czy mówi zgodnie z rzeczywistością.

Michał Czarnowski

Dlaczego Polaków nie oburza uwłaszczanie się PiS?

Może dlatego, że większość chciałaby być w tej grupie, która się uwłaszcza? I może dlatego, że dzięki różnym świadczeniom i zmianom wielu najuboższym żyje się jednak zamożniej? A może dlatego, że poza powrotem do tego, co było, opozycja – poza Lewicą – nie przedstawia żadnych pomysłów, które poprawiłyby np. sytuację w ochronie zdrowia czy rozwiązałyby inne poważne problemy przeciętnych obywateli. Za to serwuje się pomysły wydłużonego wieku emerytalnego (co szczególnie w pracach fizycznych jest groteskowe). To trzeba by jednak zbadać naukowo, bo tutaj piszę tylko o przypuszczeniach.

Sławomir Szlinke

Sto lat prof. Krawczuka

W PRZEGLĄDZIE nr 6 z zainteresowaniem przeczytałem wspomnienie Leszka Konarskiego o zmarłym niedawno prof. Aleksandrze Krawczuku. Chciałbym od siebie dodać, że zimą 1988/1989 r. miałem olbrzymią przyjemność pracować z panem profesorem nad projektem telewizyjnego cyklu w ramach Telewizji Edukacyjnej i Teatru Młodego Widza, z którymi wówczas współpracowałem. Planowaliśmy cykl widowisk, będący zestawianiem bohaterów mitologicznych, których profesor był znawcą jedynym w swoim rodzaju, z bohaterami współczesności – artystami, postaciami ze szkolnych lektur, filmów czy seriali młodzieżowych. Z grubsza chodziło o pokazanie, że choć historia się zmienia i świat idzie naprzód, pewne postawy pozostają bez zmian. Udowadniała to już sylwetka Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, bohatera pierwszego odcinka, gdy pokazywaliśmy, co łączyło życie poety z różnymi bohaterami mitologii greckiej. A takich przykładów mieliśmy kilkanaście, choćby bohaterów „Kamieni na szaniec", a nawet... pana Kleksa.

Niestety, całość nie została nigdy zrealizowana ze względu na transformację ustrojową, transformację TVP i wykreślenie przez nowych szefów mediów publicznych wszystkich projektów powstałych w czasach „komuny". Przypomnę, że dość długo także prof. Krawczuk był dla odrodzonych mediów persona non grata. Mnie bardziej interesował ogrom wiedzy profesora niż jego poglądy i działania.

Andrzej Opala, Warszawa

ZDJĘCIE TYGODNIA

Kobieta z dwójką dzieci została uratowana po spędzeniu 228 godzin pod gruzami budynku w Antiochii.

FOT. ARIF HUDAVERDI YAMAN/ANADOLU AGENCY/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS

eprasa.pl 2dbe3b5146

Rzecznik generalny Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej stwierdził, że bank nie może dochodzić od konsumenta wynagrodzenia za korzystanie z kapitału, jeśli w umowie kredytowej znalazły się niedozwolone zapisy. Wyrok TSUE będzie za kilka miesięcy, ale opinie rzecznika najczęściej są zbieżne z finalnymi wyrokami. Z orzeczenia rzecznika bardzo zadowoleni są frankowicze.

•

30 140 Polek i Polaków otrzymuje emeryturę w wysokości **do 500 zł** (brutto), a 48 224 od 500 do 700 zł, natomiast 84 392 w przedziale 700-900 zł.

•

21,8 mln zaświadczeń lekarskich, które opiewały łącznie na 239 mln dni zwolnienia, wystawiono w 2022 r. osobom ubezpieczonym w ZUS.

•

Od 1 marca uchodźcy z Ukrainy mieszkający ponad 120 dni w opłacanych przez rząd ośrodkach zbiorowego zakwaterowania będą musieli pokrywać połowę kosztów zamieszkania i wyżywienia.

•

Politycy PiS próbują zdemolować okolice Kodnia, pięknego miasteczka nad Bugiem. **Wójt Jerzy Troć,** wybrany przy poparciu PiS, bez konsultacji z mieszkańcami wydał spółce Wipasz, producentowi pasz dla zwierząt, zgodę **na budowę 32 kurników,** które rocznie mają produkować 17 mln kurczaków. Protestują wszyscy poza o. Krzysztofem Borodziejem, przełożonym sanktuarium w Kodniu. Dostaje od rządu tyle kasy, że nie w głowie mu ekologia ani życie mieszkańców.

•

Dojna zmiana nie widzi przeszkód, by na stanowiska powoływać ludzi z plamami na życiu zawodowym. Plagiatorów ukaranych przez uczelnie także. **Dyrektor departamentu w MSZ Jacek Reginia-Zacharski** skopiował w swojej książce 50 stron z pracy magisterskiej własnej studentki. Komisja dyscyplinarna na Uniwersytecie Łódzkim uznała go za winnego plagiatu. Mamy więc w rządzie PiS dyrektora od plagiatu.

•

Jazda taksówką na aplikację Ubera i Bolta grozi w Warszawie trafieniem na kierowcę bez licencji (138 w 2022 r.), bez badań lekarskich i psychologicznych (168), z fałszywym prawem jazdy (55). Do tego liczna grupa naćpanych, pijanych i poszukiwanych. Władza z lęku przed amerykańskimi korporacjami nic z tym nie robi.

•

Po trzech latach od brexitu większość ankietowanych w tym roku przez portal UnHerd Britain uważa, że ta decyzja była błędem.

•

Najwyższa przeciętna emerytura (brutto) jest w woj. śląskim (3134,87 zł) i mazowieckim (2773,11). A najniższa w woj. podkarpackim (2374,37) i świętokrzyskim (2387,87) **(„Angora").**

•

Karol Palczak, Agata Kus, Karolina Jabłońska, Agata Słowak, Krzysztof Nowicki, Martyna Czech, Norbert Delman, Emilia Kina, Cyryl Polaczek i Ewelina Kołakowska to czołówka Kompasu Młodej Sztuki za 2022 r. Ranking najlepszych młodych polskich artystów tworzony jest przez właścicieli bądź szefów ponad 70 czołowych galerii.

PRZEBŁYSKI

Cywilna śmierć Kamila Różewicza

Donos Krzysztofa Turkowskiego, wrocławskiego działacza Solidarności, złamał życie Kamilowi Różewiczowi, starszemu z dwóch synów Tadeusza Różewicza. Zatruł też życie poecie i jego żonie. Pod koniec 1979 r. Turkowski oskarżył Różewicza, że kolportuje fałszywy biuletyn SKS „Podaj Dalej". Dla działaczy opozycji takie oskarżenie oznaczało śmierć cywilną. Kamil Różewicz, wszechstronnie utalentowany, załamał się, przerwał doktorat. Ciężko zachorował. Od 43 lat jest na psychotropach.

Turkowski robi zaś karierę, zarabia, zasiada w różnych gremiach. I nie poczuwa się do winy. W przeciwieństwie do ówczesnych działaczy SKS. „Turkowski nas wpakował w tę sprawę" (Leszek Budrewicz). „Turkowski był od zawsze nieodpowiedzialny" (Danuta Stołecka). O tej tragicznej historii napisał Piotr Głuchowski („Wolna Sobota").

Wildstein o arogancji Amerykanów

Czy jesteśmy skazani na uległość? Pytanie zadaje Bronisław Wildstein („Sieci") i wyjątkowo nie jest to typowy dla organu braci K. lament nad gnębieniem nas przez Niemców. Wildstein wziął na tapet Amerykanów, a konkretnie ambasadora Marka Brzezinskiego i amerykańską telewizję TVN. Przestrzega rządzące PiS, że zmarnuje dziejową szansę, jeśli „uzna, że sprowadza się ona wyłącznie do wypełniania amerykańskich poleceń". Sam optymistą jednak nie jest. Bo „imperialna arogancja, którą w Polsce prezentują Amerykanie, wydaje się nieuleczalna". Chyba podobnie jest z miłością Polaków do Wuja Sama.

Bortniczuk z kasą dla Baszki

Opolszczyzna przoduje wśród najbardziej pechowych regionów w Polsce. Jak tam żyć, mając na karku takie indywidua jak Patryk Jaki czy Janusz Kowalski? A jakby mało było nieszczęść, dołączył Kamil Bortniczuk. Ekspisowiec, eksgowinowiec założył z Adamem Bielanem Partię Republikańską. Takie coś jak Trump (Donald). I z podobnymi obyczajami finansowymi. Bortniczuk jako minister sportu i turystyki ma do podziału na kluby sportowe całe 66,5 mln zł. Zamiast samemu je podzielić, wybrał operatora programu Klub. Kto mógł nim zostać, jak nie kolega z partyjki Bortniczuka? Republikanin Mieczysław Baszko, poseł, uciekinier z PSL, prezes Ludowych Zespołów Sportowych. Dostał kasę do podziału, bo – jak mówił – wie, komu dać.

Kłeczek chwali posłów Lewicy

Dojna zmiana pracowicie zastępuje oryginały swoimi subproduktami. Nie popierają jej elity? Tworzy więc własne. Na brak usługowych dziennikarzy znalazła inny sposób. Wyciąga ich z kapelusza. Wystarczy miłość do prezesa K. i do partii rządzącej, by pisowskie media przygarnęły kolejnego propagandystę. Większych wymagań wobec nich nie ma. Nawet Miłosz Kłeczek może tam robić za „dziennikarza". Kłeczek to ten gość, z którego jaja sobie robił senator Jacek Bury. Z ogórkiem i na żywo. Kłeczek żali się („Sieci"), że nikt z PO do niego nie przychodzi. W przeciwieństwie do polityków Nowej Lewicy: „Poseł Andrzej Szejna powiedział mi po programie, że lubi te konfrontacje ze mną". Kłeczek chwali też posła Wieczorka: „Nie znajdziecie programu, w którym doszłoby do jakiegoś ostrego starcia między mną a Dariuszem Wieczorkiem z Lewicy". Niby różni, a jednak podobni.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTOUBE (3), IPN

eprasa.pl 2dbe3b5146

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

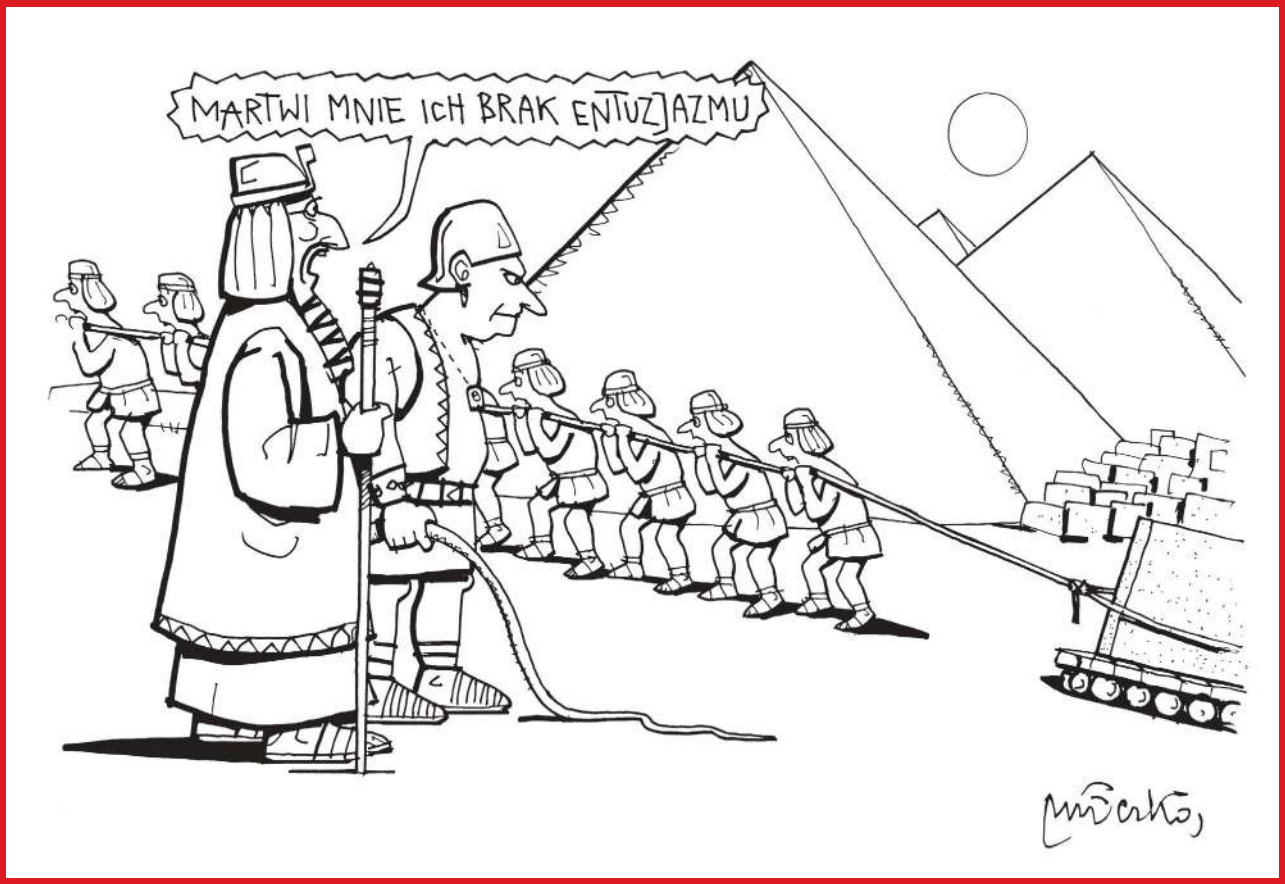

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Gdy słyszę PKP…

PAULINA MATYSIAK,
posłanka Razem

…myślę o tym, co będę czytać w drodze. Mimo że w pracy poselskiej często zajmuję się koleją, przede wszystkim jestem pasażerką. Wspominam dawniejsze pociągi, które turkotały na torach i trzeszczały w środku. Książka podskakiwała razem z całym pociągiem, więc lektura nie była łatwa, ale do tych dawnych czasów mam sentyment. Dziś myślę o PKP bardziej jak o projekcie, który ma swój potencjał, zaległości i wyzwania. Myślę o wykluczeniu komunikacyjnym, o likwidowanych połączeniach, o koniecznych inwestycjach, ale też o remontowanych dworcach czy stacjach otwieranych na nowo. Nadal podróżuję pociągiem i widzę ogromny postęp. Kiedy słyszę PKP, to myślę o przyszłości. Widzę koleje dużych prędkości, tanie bilety i gęstą sieć połączeń, która pozwoli sprawnie przemierzyć Polskę wzdłuż i wszerz. Myślę o takiej kolei przyszłości, przy której pociągi z mojego dzieciństwa będą już tylko pieśnią przeszłości. I tutaj widzę wadę przyszłego postępu na kolei – podróże będą tak szybkie, że nie będzie czasu na czytanie! Ale coś za coś.

KAROL TRAMMER,
redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn”

...przychodzi mi na myśl przede wszystkim długa historia Polskich Kolei Państwowych, które powstały w 1926 r. i wkrótce będą obchodzić setną rocznicę. Myślę także o zmieniającej się roli PKP w ciagu ostatnich dekad. Już ponad dwie trzecie podróży polską koleją odbywa się pociągami przewoźników spoza Grupy PKP, takich jak Polregio, Koleje Mazowieckie, Koleje Dolnośląskie czy Arriva. Podobnie na rynku przewozów towarowych wiele firm nie ma nic wspólnego z PKP. Mimo to skrót PKP jeszcze przez lata będzie synonimem całej kolei. Nie należy jednak zapominać, że kolej to nie tylko PKP. Co więcej, interes Grupy PKP nie zawsze jest tożsamy z interesem całej kolei, a więc również interesem nadawców towarów czy pasażerów. Na przykład utrzymywanie monopolu PKP Intercity na trasach dalekobieżnych powoduje, że połączeń jest zbyt mało i zwłaszcza w porach szczytu w pociągach brakuje miejsc dla wszystkich chętnych na podróż, a ceny biletów są za wysokie.

DR JAKUB MAJEWSKI,
prezes Fundacji ProKolej

...przychodzi mi na myśl dawna kolej i solidny kawałek historii naszego kraju. Ale historii, a nie współczesności. Dzisiaj znak równości między PKP a koleją jest już nieaktualny. To skojarzenie zdecydowanie zbyt wąskie, bo kolej to cała mozaika instytucji i firm, a nie dawny monopolista. Nie mówimy już CPN na stacje benzynowe ani PKO na wszystkie banki. Zakup biletu na pociąg tylko czasem oznacza podróż z PKP.

Not. Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 2dbe3b5146

Rok wojny: JAK ZMIENIŁ SIĘ ŚWIAT?

Tworzy się nowy układ sił. Rodzi się świat wielobiegunowy

Rozmawia Robert Walenciak

Rozmawialiśmy rok temu, jeszcze przed wybuchem wojny. I gdy pytałem, o co walczy Putin, odpowiedział pan, że o Rosję.

– Tak jest, podtrzymuję te słowa. On walczy o wielką Rosję, o scalenie wszystkich ziem ruskich. Z Białorusią poniekąd się udało, a z Ukrainą – nie. Tu popełnił największy błąd życia. Przeszacował swoje siły, zwłaszcza jakość armii. Nie wygonił i nie zabił, mówiąc brutalnie wojskowym i wojennym językiem, Zełenskiego. A przede wszystkim, i to jest dla niego najstraszniejsze, zjednoczył Zachód, i to pod przywództwem Stanów Zjednoczonych Ameryki. To właśnie zdarzyło się przez ten rok. A Rosja i Chiny grają na rozdźwięki istniejące w świecie transatlantyckim. Tylko że wielkich

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– profesor zwyczajny w Centrum Europejskim UW, politolog, sinolog, dyplomata i publicysta, znawca spraw międzynarodowych. Ostatnio wydał Chiński Tryptyk, czyli trzy tomy o chińskiej transformacji: „Chiński Feniks" (2022, wznowienie z 2010), „Nowy Długi Marsz" (2021, rozszerzone wydanie 2022) oraz „Wielki renesans" (2018).

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 2dbe3b5146

rozdźwięków tam nie ma. A dowodem tego są chociażby zagraniczne wizyty Zełenskiego.

Udane?

– Jego pierwsza zagraniczna wizyta miała miejsce w Stanach Zjednoczonych. Była starannie przemyślana, doszło do niej, zanim republikanie objęli kontrolę nad Izbą Reprezentantów. Druga wizyta to Europa Zachodnia. Zaczął ją od Wielkiej Brytanii, czyli drugiego po Stanach Zjednoczonych dostarczyciela sprzętu i broni dla Ukrainy. Premier Sunak wyszedł na lotnisko przywitać i wyściskać przylatującego samolotem wojskowym Zełenskiego, a potem poszli do centrum szkolenia pilotów ukraińskich na terenie Wielkiej Brytanii. A jeżeli szkoli się pilotów, to możemy się spodziewać, że kolejnym krokiem będzie przekazanie Ukrainie samolotów.

Z Wielkiej Brytanii Zełenski poleciał do Paryża, rozmawiał z prezydentem Macronem i kanclerzem Scholzem, dzień później miał bardzo emocjonalne, poruszające spotkanie i przemówienie w Parlamencie Europejskim. Widzieliśmy zdjęcia ze spotkań, reakcje przywódców państw. Cały Zachód jest po stronie ukraińskiej.

Do pokoju daleko

A na wschodzie, na Ukrainie, spodziewamy się nowej rosyjskiej ofensywy.

– Może ona wiązać się z próbą zajęcia Donbasu, może Kijowa, tego jeszcze nie wiemy. Ale widzimy, że Rosjanie idą na wyniszczenie i zniszczenie Ukrainy, czego symbolem są ataki rakietowe na cywilne osiedla mieszkaniowe w Buczy, Iziumie, Mariupolu i wielu innych miejscach. Równolegle rośnie obawa przed eskalacją konfliktu. Idziemy krok za krokiem. Jest już zgoda NATO na wysłanie Ukrainie czołgów, teraz mówi się o samolotach i rakietach dalekiego zasięgu. Niepokojące jest, że Rosja może w końcu sięgnąć, co współpracownicy Putina zapowiadali, po taktyczną broń jądrową.

A sięgnie?

– Jest na pewien czas zabezpieczenie. W listopadzie ub.r. do Pekinu udał się kanclerz Olaf Scholz i po rozmowach z Xi Jinpingiem obaj przywódcy we wspólnym komunikacie zaapelowali do Rosji, a wręcz jej zagrozili, by nie ważyła się używać broni niekonwencjonalnej. Później, co ważniejsze, niemal ten sam komunikat poszedł w świat po pierwszym bezpośrednim spotkaniu Xi Jinpinga z Joem Bidenem. Trzeci element jest jednak niepokojący, bo po roku wojny nie widać porozumienia pokojowego. Apele, by usiąść do stołu rokowań, są bezskuteczne.

Dlaczego?

– Ukraińcy mają wolę walki, a siadając do stołu, musieliby oddać 18% swojego terytorium, włączając w to Krym. Teraz więc na zatrzymanie działań zbrojnych nie są gotowi.

> Walka idzie o osłabienie Rosji i wyeliminowanie jej z grupy wielkich mocarstw.

Ale na to nie są też gotowi Rosjanie. Czyli zapowiada się długotrwały bój. A jak pokazuje historia, przywódca może wojnę zacząć, ale później to ona często prowadzi jego. Wydarzenia są od niego niezależne i to on musi się do nich dostosowywać. Dlatego niestety nie możemy po roku tej wojny powiedzieć czegoś definitywnego, rozstrzygającego, bo wszystko jest w toku i wszystko raczej eskaluje, a nie deeskaluje.

A jakich wariantów rozwoju sytuacji możemy się spodziewać? Czy jest np. możliwe zwycięstwo Rosji? Sukces zapowiadanej ofensywy?

– Nie przewiduję, że Rosja wygra. Z jednego podstawowego powodu – to jest wojna źle motywowanej, źle przeszkolonej i źle wyposażonej armii z narodem. Na dodatek z narodem, który w trakcie tej wojny, tylko ujmując ją od roku 2014, a nie 2022, sam się zdefiniował. Nawet rosyjskojęzyczni Ukraińcy z Mariupola, Charkowa, Donbasu będą przez pokolenia nienawidzić Rosjan, że zabili im ojców, braci, zgwałcili żony, wywieźli dzieci. Z narodem nikt nie wygrał. Amerykanie musieli się wycofać i z Wietnamu, i z Afganistanu.

Rosja nie wygra, ale i nie przegra

Gdy wybuchła wojna, jeden z polskich dyplomatów mówił mi, że Moskwa dopuszcza wyłącznie dwa scenariusze. Pierwszy to podporządkowanie Ukrainy. Drugi – jej zniszczenie; niech część ucieknie za granicę, a ci, co zostaną, będą musieli się podporządkować.

– Rozwój sytuacji potwierdza te scenariusze. Putin ewidentnie proponował sąsiadom Ukrainy jej rozbiór. Widzimy też, że chciałby złamać Ukraińców. Ale to się nie uda, Putin nie wygra z narodem tak bitnym i tak przekonanym do swoich racji, nawet jeżeli będzie mu niszczył kraj. Putin pół roku przed wojną, w lecie 2021 r., opublikował swój manifest i dosłownie przedstawił w nim swoje cele. Żeby znów była Wielka Ruś, żeby ziemie ruskie zjednoczyć, podporządkować Kremlowi. Ale popełnił jeden kardynalny błąd – źle policzył swoje siły i tym bardziej źle stawiał na słabość Zachodu. Nie sądzę więc, by Rosja mogła tę wojnę wygrać. Ale także stawiam tezę, że Rosja nie może jej przegrać. Że nie zniknie.

Trzeba będzie uwzględniać ją w politycznych rachubach.

– Rosja ładunków jądrowych się nie zrzeknie. A jeżeli świat musi się liczyć z Koreą Północną, bo ma broń atomową i środki do jej przenoszenia, to tym bardziej będziemy się liczyli z Rosją. Dlatego raczej bym oceniał, że walka idzie o osłabienie Rosji i wyeliminowanie jej z grupy wielkich mocarstw.

Z tego punktu widzenia Chiny powinny zacierać ręce. Bo wojna osłabia i Rosję, i Zachód.

– Ta wojna dla Chin jest bardzo niewygodna. Nie wyszły jeszcze z pandemii, borykają się z wewnętrznymi trudnościami, a stawiane są przed nowymi poważnymi wyzwaniami demograficznymi, socjalnymi czy ekologicznymi. Gdyby Rosja osiągnęła w tej wojnie swoje cele szybko i skutecznie, miałaby poklask Pekinu i byłaby ważnym sojusznikiem w walce dla Chin

eprasa.pl 2dbe3b5146

najważniejszej, czyli z Zachodem. Ale Rosja ugrzęzła. I zamiast partnera Chiny mogą mieć pacjenta, którego trzeba będzie reanimować. Tego się obawiają. Ale nie mogą również otwarcie jej popierać, bo boją się sankcji. Przypuszczam jednak, że gdyby rysował się scenariusz, że Ukraina i popierający ją Zachód, czyli Stany Zjednoczone, zaczęłyby wyraźnie wygrywać, Chiny brutalnie wejdą w rolę mediatora. Znacznie silniej niż Erdoğan. Bo są jedynym podmiotem na globie, który ma realną możliwość wywierania nacisku na Putina czy jego następców. I to na wszelkie możliwe sposoby.

Zimna wojna 2.0

A świat jak ten konflikt widzi?

– Przez ostatnie parę tygodni spoglądałem na światowe wydarzenia z perspektywy Afryki, bo tam akurat byłem. To ciekawe doświadczenie dla człowieka z naszego regionu. Bo dla nich to nie jest wojna o zachowanie niepodległości Ukrainy. Dla nich to jest wojna Rosji z NATO i Zachodem.

Jakaś daleka, nieważna. Tak jak dla nas wojna w Jemenie.

– To nie jest wojna światowego Południa. Dla nich najważniejsze są żywność, susza, bieda, walki etniczne. Pokazywana i komentowana była więc wizyta Blinkena, szefa dyplomacji amerykańskiej – jego rozmowy w Palestynie, Izraelu i w Kairze. A Ukraina była w dziennikach na ostatnim miejscu. To powinno nam dawać do myślenia.

Że wojna na Ukrainie to zaledwie element światowej rozgrywki?

– Uważam, że jesteśmy w okresie nowej zimnej wojny, tylko ona w niczym nie przypomina pierwszej zimnej wojny między NATO a ZSRR. Po pierwsze, tamta wojna była wojną ideologiczną, między realnym socjalizmem i kapitalizmem. Teraz to nie jest już wojna ideologiczna, choć niektórzy mówią o zderzeniu demokracji z autokracją. Obecna wojna rozgrywa się na zupełnie nowych płaszczyznach. Teraz najważniejsze są energetyka, źródła energii, zarówno tradycyjne, jak i alternatywne. To jest jej pierwszy wymiar. Drugi to półprzewodniki. Znakomicie pokazuje to książka „Chip war" (Wojna o półprzewodniki) Chrisa Millera, która została numerem 1 literatury faktu w Stanach Zjednoczonych w 2022 r. Ponad 80% pamięci w komputerach jest produkowane w Azji Wschodniej, czyli w Chinach, Japonii, na Tajwanie, trochę w Malezji i Singapurze, 75% światowej produkcji mikroprocesorów to także Azja Wschodnia. Tam jest też największy postęp, jeśli chodzi o miniaturyzację. I wyścig technologiczny narasta, bo każdy wie, że w przyszłym konflikcie decydować będzie technologia, a nie ilość nagromadzonego sprzętu. Trzeci wymiar tej nowej zimnej wojny to wyścig o dostęp do pierwiastków ziem rzadkich (REE – *rare-earth elements*), niezbędnych w nowoczesnych technologiach.

Do niedawna ponad 90% ich światowych dostaw pochodziło z Chin.

– Chiny dokonały skokowego postępu w ostatnich pięciu latach, jeśli chodzi o eksplorację kosmosu. Zbudowały już kosmiczną stację orbitalną ze stałą załogą, szykują się do budowy bazy na Księżycu. Dlaczego? Fachowcy twierdzą, że po to, by stamtąd wysyłać statki na Marsa oraz eksplorować Księżyc w poszukiwaniu rzadkich minerałów.

Wygrywają zatem wyścig technologiczny.

– W Stanach Zjednoczonych politykę wobec Chin, przynajmniej od roku 1992, dyktowała tzw. klika szanghajska. To znaczy, że szefowie największych firm, wielki biznes, wpływali na administrację USA, tłumacząc, że Chiny są tak wielkim rynkiem, że trzeba tam przenieść produkcję, że to się opłaca. Prawa człowieka? Ekspansja Chin? Militaryzacja? Na to przymykano oko, bo *economy first*. To zaczęło się zmieniać za Trumpa, a teraz zmieniło się już całkowicie. Amerykanie przestali biznesowo angażować się w Chinach. Już nie ma szanghajskiej kliki, jest *security first*, czyli bezpieczeństwo, głupcze! A jeżeli *security first,* to mówimy o lobby militarno-przemysłowym, tradycyjnym, tylko osadzonym w nowych technologiach.

Mamy nową zimną wojnę, więc i nowy wyścig zbrojeń.

– Modernizacja chińskiej armii następuje w błyskawicznym tempie. Idzie ona w trzech kierunkach. Pierwszy to cyberprzestrzeń i kosmos, drugi to półprzewodniki, trzeci to flota morska i powietrzna, no bo Tajwan.

Grozi nam kolejna inwazja?

– Poczekajmy na dwie daty. W styczniu przyszłego roku będą wybory na Tajwanie. Jeżeli wygra je Kuomintang, to sytuacja będzie inna, bo Kuomintang bezustannie próbuje utrzymywać dialog z Pekinem. Jeżeli przy władzy pozostanie Demokratyczna Partia Postępowa, która gotowa jest ogłosić suwerenność Tajwanu, to wtedy Pekin będzie miał w zapasie jeszcze jedną datę – listopad 2024 r. Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. Jeśli wygrają je radykałowie z Partii Republikańskiej, będzie to mogło oznaczać izolacjonistyczny zwrot w polityce USA. A Chińczyków stać, by „zainwestować" w te wybory niewyobrażalne dla nas sumy.

Żeby ten zwrot nastąpił?

– W 1494 r. w traktacie z Tordesillas dokonano podziału świata między Hiszpanię a Portugalię.

I podobnego podziału świata chciałby Pekin?

Rośnie obawa przed eskalacją konfliktu. Jest już zgoda NATO na wysłanie Ukrainie czołgów, teraz mówi się o samolotach i rakietach dalekiego zasięgu.

To jest wojna źle motywowanej, źle przeszkolonej i źle wyposażonej armii z narodem. Z narodem nikt nie wygrał.

eprasa.pl 2dbe3b5146

– Nie tyle takiego podziału, ile uznania, że Tajwan powinien wrócić do Chin.

Co zrobią Chiny? I kiedy?

Nie tak jak Hongkong, tylko jako jedna z wielu prowincji.

– Historia Hongkongu pokazuje, że hasło „Jedno państwo, dwa systemy" stało się puste. Już nie ma dwóch systemów, jest jedna, kontynentalna jurysdykcja dla 7,5 mln mieszkańców Hongkongu. Tajwańczycy to zobaczyli. To również, obok czasu, gdy żyli samodzielnie, pomogło im uzyskać tożsamość. Dziś na wyspie poparcie dla idei zjednoczenia z Chinami jest jednocyfrowe i malejące. Czyli Tajwan coraz bardziej oddala się od Chin kontynentalnych. Pekin nie może więc już czekać, zwłaszcza że zadeklarowano Wielkie Odrodzenie Narodu Chińskiego do 2049 r. W tym przedziale czasowym Pekin musi sprawę Tajwanu rozwiązać, a Xi Jinping postawił to sobie za cel życia. Na XX Zjeździe KPCh dostał dodatkowy, przedłużony mandat, żeby to zrobić.

Jeśli chodzi o Tajwan, w zasadzie wszystko jest jasne. Pytanie brzmi, nie czy, tylko kiedy?

– Amerykanie znakomicie to rozumieją. Nowy spiker Izby Reprezentantów Kevin McCarthy jest radykałem republikańskim i już zapowiedział wizytę na Tajwanie. Jesteśmy w trakcie kryzysu balonowego. Mamy ważny moment, choć jeszcze nie wiemy, co z tego ostatecznie będzie. Pocieszmy się więc tymi dwiema datami – wyborów na Tajwanie i wyborów w USA.

Bo one odsuwają w czasie inwazję na Tajwan?

– Chińczycy mogą jej dokonać, ale myślę, że nie tak szybko. Ale i nie tak późno, bo na stulecie ChRL Chiny mają być zjednoczone. Pekin to samo serce wielkiego imperium i cywilizacji, która ubrała się w szaty państwa. Ta cywilizacja w ostatnich czterech dekadach odrodziła się i podniosła głowę na tyle, że przeraziła dotychczasowego hegemona.

Ameryka w wielkim stopniu pomogła temu odrodzeniu.

– Po roku 2008 stało się oczywiste, że największym beneficjentem globalizacji są Chiny. To wyjaśnia, dlaczego mają one tak ambiwalentny stosunek do wojny na Ukrainie. Inny niż np. Iran, który dostarcza Rosji drony.

Chiny jak ognia boją się użycia broni jądrowej i jądrowej eskalacji. Boją się też, że Zachód narzuci im sankcje, wprowadzi ograniczenia w handlu. To byłaby dla nich klęska. Dlatego tak ważne będą w początkach marca doroczne obrady tamtejszego parlamentu, bo tam ukształtuje się rząd. Wtedy przekonamy się, kto będzie miał finanse, kto handel zagraniczny, kto będzie odpowiadał za komunikację itd. To dopiero nam powie, w którą stronę będą szły Chiny.

Bo w którą stronę idzie Ameryka Bidena, to już wiemy.

– Kiedy Blinken był na Bliskim Wschodzie, to Lloyd Austin, szef Pentagonu, był na Filipinach i podpisał porozumienia o otwarciu czterech dodatkowych baz wojskowych. Półtora roku temu Amerykanie ożywili pomysł Quad (Quadrilateral Security Dialogue), współpracy dla bezpieczeństwa USA z Japonią, Australią i Indiami. Uruchomili także sojusz wojskowy AUKUS (Australia, Wielka Brytania, USA – przyp. red.). No i mają ogromne wsparcie Japończyków.

Europa – popękany półwysep

A jak jest z Europą?

– Zachód coraz bardziej się konsoliduje, bo jest pod wrażeniem niesamowitej waleczności i odporności Ukraińców. To buduje sympatię do nich i politycy muszą to uwzględniać. Ale nie tylko dobre wrażenie i piękne słowa się liczą. Dla wielkiego lobby przemysłowo-wojskowego, czy to brytyjskiego, czy amerykańskiego, ważna jest możliwość dozbrajania Ukrainy, a przede wszystkim jej odbudowy. Zachód tu też widzi interes, nie mówiąc o tym, że największy interes dostrzega w tym, że Rosję będzie można wyeliminować z kręgu głównych rozgrywających.

Tak patrzy raczej Ameryka.

– W świecie transatlantyckim, między Ameryką a Europą Zachodnią, istnieją naturalne napięcia. O Facebooka, o Apple'a, o chipy, o skroplony gaz, o technologie.

Dlatego Europa z jednej strony wspólnie działa z USA, a z drugiej – próbuje bronić swoich interesów.

– Prezydent Macron w kwietniu wybiera się do Pekinu i prawdopodobnie będzie to skorelowane z kolejnym szczytem Unia-Chiny.

Olaf Scholz już w Pekinie był.

– W wyniku wojny Niemcy straciły rynek rosyjski. Miałyby jeszcze stracić w tym samym czasie rynek chiński? To byłaby katastrofa. Na to nie mogą sobie pozwolić, przynajmniej w najbliższym czasie. Europa nie chce zrywać tych więzi. A USA naciskają – *security first*! 95% ostatniego orędzia Bidena było poświęcone sprawom wewnętrznym. Żeby republikanie z demokratami się nie kłócili, żeby szukać pojednania. A poza tym, żeby było *buy american*. Kupuj to, co amerykańskie! Kupuj made in America, nie made in Shanghai czy made in China.

Europa też ma kupować amerykańskie – samoloty, rakiety, broń...

– Te wielkie zmiany to także rozgrywka między Europą i Stanami Zjednoczonymi. To jest również jak najbardziej wojna o Europę, jej przyszłe oblicze i znaczenie. Musimy zważać na to, że gdyby wschodnie autorytarne reżimy, Rosja, Chiny, zwyciężyły, to my stajemy się skrawkiem, półwyspem na końcu wielkiej Euroazji. Zbigniew Brzeziński w swojej „Wielkiej szachownicy" pisał, co jest czarnym snem amerykańskiego stratega. To sojusz Rosji z Chinami i Iranem. A to już jest blisko, prawda? Dlatego Indie w światowej układance są takie ważne, bo są wahadłowe.

Czy Europa Zachodnia może odgrywać ważną rolę w tej wielkiej grze?

Staliśmy się państwem frontowym. Są szacunki mówiące, że 85% dostaw na Ukrainę idzie przez Polskę.

eprasa.pl 2dbe3b5146

– Europa? Która jest popękana na wschód, zachód, północ, południe? Północ kwitnie, a południe ma kłopoty gospodarcze. Wschód? Wojna na Ukrainie jest dla nas najważniejsza. Zachód? To Afryka i imigranci… My jesteśmy popękani. Co więcej, jesteśmy popękani wewnętrznie. Federaliści walczą z nacjonalistami. Zwolennicy otwartego społeczeństwa z narodowcami. Etatyści z liberałami. W każdym państwie mamy takie pojedynki. I w niektórych wygrywają siły antyeuropejskie. Orbán jest przecież za Putinem, a nie za Ukraińcami.

A Warszawa?

– Jest za Ukrainą, oczywiście. Ale jeśli chodzi o stosunek do Unii Europejskiej, to chyba jest nam bliżej do Orbána niż do Brukseli.

Wojna chyba zmieniła naszą pozycję?

– Tak, bo staliśmy się państwem frontowym. Są szacunki mówiące, że 85% dostaw na Ukrainę idzie przez Polskę. W tym sensie Polska jest ważna. I dlatego prezydent USA znów przylatuje do Polski. Kto by się spodziewał takich działań po administracji, którą polski prezydent uznał jako ostatni! Wojna i interesy z nią związane to zmieniły.

Przewrót kopernikański

Po roku wojny możemy więc mówić, że Europa wróciła pod militarny parasol Ameryki. Ze strachu.

– Stany Zjednoczone są dziś głównym rozgrywającym. O tym nie mówiliśmy, a to jest ważne – w Ameryce w ostatnich latach nastąpiła rewolucja łupkowa i oni mają nadwyżki surowców energetycznych. Gaz skroplony! Sprzedają go Europie po niebotycznych cenach.

W ten sposób zamknięty został projekt wielkiej roli Europy Zachodniej i współpracy z Rosją na zasadzie: my wam technologie, wy nam tani gaz. Zamiast tego Europa musi kupować drogi gaz z USA, zamawiać uzbrojenie w USA i uznać amerykańskie przywództwo.

– Współpraca z Rosją się skończyła. Niemożliwe, żeby po tak brutalnym konflikcie to się szybko naprawiło. Teraz na nowo trzeba zdefiniować Europę. Tylko ja nie widzę tych wizjonerów. Nie widzę nowego Roberta Schumana. Owszem, Olaf Scholz mówił i pisał o *Zeitenwende,* prawdziwym przewrocie kopernikańskim w niemieckiej polityce i w polityce Zachodu, o przejściu do świata wielobiegunowego, ale, jak widać, dzieje się to powoli, choć daje się już odczuć. Niemcy zachowują się teraz inaczej niż na początku wojny. Dostarczają Ukrainie broń i wszelką pomoc. Ale to jeszcze nie wizja.

Wizjoner musiałby uwzględnić tym razem cały świat.

– Izrael zawsze będzie z Amerykanami, z wielu względów. Natomiast Arabia Saudyjska działa już bardziej z Chińczykami. Sprzedaje więcej ropy Chinom niż Ameryce, więc trudno się dziwić, że szejkowie chcą być w dobrych kontaktach z głównym odbiorcą. Chiny wszędzie inwestują, budują bazy. Dlatego z jednej strony gra toczy się o przyszłość Europy, z drugiej o światowe Południe. Gdzie będą Indie, gdzie będzie Indonezja, gdzie będzie Argentyna, no i cała Afryka... To wszystko jest w grze i to przyśpieszyło od wybuchu wojny. I wszędzie coraz ważniejsi są inżynierowie, programiści, specjaliści od nowoczesnych technologii.

Mówił pan, że Rosja tej wojny nie wygra. A Ukraina? W najlepszym wypadku wyjdzie potwornie zrujnowana.

– Ale obroni niepodległość i będzie to zwycięstwo nie tylko moralne. Bo otworzy Ukrainie drogę na Zachód. Ale walka nie rozgrywa się już tylko między Zachodem a Rosją. Ta wojna jest inna, nie jest tylko zimną wojną 2.0. Nie ma tu, przynajmniej na razie, dwóch bloków. To, czego jesteśmy świadkami, co się zaczęło i co przyśpieszyło podczas wojny ukraińskiej, to jest sytuacja, że – jak chce Scholz, ale też, przynajmniej werbalnie, Chińczycy – świat zaczął się robić wielobiegunowy. To już nie tylko USA i ZSRR jak kiedyś albo USA i Chiny. To także Indie, Iran, Japonia, Arabia Saudyjska, Izrael… Każdy gra swoje. Ameryka i Zachód są relatywnie coraz słabsze. Świat jest w chaosie i z tego chaosu wyłania się wiele biegunów. Tworzy się nowy układ sił.

Z perspektywy Afryki to wojna Rosji z NATO i Zachodem.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Z Galicji

Jan Widacki

Logika czasu rewolucji

Od chwili, gdy Joanna Szczepkowska ogłosiła koniec komunizmu w Polsce (4 czerwca 1989 r.), jak łatwo policzyć, upłynęły niemal 34 lata. Kilkanaście lat więcej, niż trwała cała II Rzeczpospolita. Mogłoby się wydawać, że to dość czasu na dokonanie rozliczeń z okresem PRL.

Do niedawna zabójstwo przedawniało się po 30 latach i po ich upływie już nie można było go ścigać. Ale mądre umysły prawnicze, wprzęgnięte w służbę rewolucji, wymyśliły koncepcję „zbrodni komunistycznej". A ta się nie przedawnia. Nigdy! Ale to dopiero początek problemu. Bo „zbrodnią komunistyczną" może być każde przestępstwo, nawet najdrobniejsze, jeśli tylko zostało popełnione przez „funkcjonariusza komunistycznego państwa". Definicja tego ostatniego też jest nieostra, a więc kategoria „funkcjonariuszy komunistycznego państwa", ergo sługusów reżimu, stała się nadzwyczaj pojemna.

W ostatnich latach prokuratura IPN postanowiła ścigać sędziów i prokuratorów, którzy wykonywali zawód w stanie wojennym. Niekoniecznie musieli być nadgorliwi, okrutni, zawzięci. Wystarczy, że byli i stosowali prawo stanu wojennego. Tak jakby mieli wybór i mogli go nie stosować. A wielu z nich robiło wszystko, by oskarżonych uniewinnić albo skierować sprawę z trybu doraźnego na zwykły, w którym kary były łagodniejsze, areszty nie były obligatoryjne, no i były dwie instancje, a nie – jak w trybie doraźnym – jedna. W środowisku wiadomo było, który z sędziów jest dla opozycji łagodny, który prokurator w sumie przyjazny, a który jest łotrem i sk…synem. Teraz wszystkich wrzucono do jednego worka. Wszyscy prokuratorzy, którzy pracowali w stanie wojennym, za wyjątkiem tow. Piotrowicza (który wprawdzie ścigał w stanie wojennym opozycję, ale się nie cieszył), okazali się siepaczami komuny. Wśród sędziów takim wyjątkiem był, jak wiemy, sędzia Kryże, wiceminister sprawiedliwości w pierwszym rządzie PiS, który w stanie wojennym skazał przyszłego prezydenta Komorowskiego. Reszta stała się obiektem badań prokuratury IPN.

Oskarżono więc sędziów, którzy kogokolwiek skazali za naruszenie dekretu o stanie wojennym. Oskarżono też prawników, którzy w stanie wojennym zostali jako rezerwiści powołani do wojska i skierowani do prokuratury wojskowej. Stanęli teraz pod zarzutem popełnienia „zbrodni przeciw ludzkości, w postaci zbrodni komunistycznej". Jeden z tych „zbrodniarzy przeciw ludzkości", wcielony do prokuratury wojskowej, „podżegał sąd" do wymierzenia kary pozbawienia wolności (w zawieszeniu zresztą). Podżegał jako oskarżyciel publiczny na rozprawie, aby nie było wątpliwości. Inny „zbrodniarz przeciw ludzkości" nawet nie zdążył podżegać sądu, bo tylko postawił komuś zarzut… i został zwolniony do cywila. Nie pomogło. Dopadł go IPN.

Sądy nie bardzo się palą do orzekania w tych sprawach, choć prokuratorzy IPN gorliwie je do tego podżegają. Ostatecznie uznano, że do sądzenia takich zbrodniarzy właściwe są sądy wojskowe. No to sądzą. Mała sala rozpraw. Sędzia sprawdza obecność i konstatuje, że za pokrzywdzonych nikt się nie stawił. I tu właśnie zaczyna się problem. Jak z samej nazwy wynika, przy „zbrodni przeciw ludzkości" pokrzywdzona jest cała ludzkość. Co by było, gdyby cała ludzkość przyszła do sądu garnizonowego? Dla wojska problem logistyczny. Nie zmieszczą się! Ale tu pojawia się jeszcze problem prawny, a także logiczny. Każdy pokrzywdzony ma prawo ustanowić sobie pełnomocnika. Czyli na salę rozpraw w sądzie garnizonowym ma prawo wepchnąć się cała ludzkość wraz z pełnomocnikami. Jeszcze ciaśniej! Mało tego, przecież ci pełnomocnicy, adwokaci, to część ludzkości, a więc też pokrzywdzeni! Czy można być równocześnie pokrzywdzonym i pełnomocnikiem? No chyba nie można! Obok trudności logistycznych pojawia się zatem szkopuł logiczno-prawny.

Jak z samej nazwy wynika, przy „zbrodni przeciw ludzkości" pokrzywdzona jest cała ludzkość. Co by było, gdyby cała ludzkość przyszła do sądu garnizonowego?

Trzeba by zwrócić się do Trybunału Konstytucyjnego z prośbą o wykładnię prawa. Tu kolejny problem. Kto w trybunale miałby to rozstrzygać? Prezes Przyłębska uznawana przez część neosędziów i dublerów czy ta część neosędziów i dublerów, którzy nie uznają prezesury pani Przyłębskiej? W tej drugiej grupie jest, zdaje się, ktoś ze stopniem wojskowym, to może jednak oni byliby bardziej kompetentni? W innym podobnym procesie sąd stwierdza, że jeden z pokrzywdzonych zmarł. Czy ludzkość w tym procesie obejmowała tylko dwie osoby, czy trzeba uznać, że wymarła połowa ludzkości? Kolejny problem logiczny.

A w cieniu tych procesów „zbrodniarzy przeciw ludzkości" nadal, jakby nigdy nic, toczą się procesy lustracyjne. Po długotrwałych, żmudnych śledztwach, kto 50 lat temu stawiał wódkę i śledzia: lustrowany ubekowi czy ubek lustrowanemu, sądy w dwóch instancjach albo oczyszczają z zarzutów lustrowanych, albo skazują tych przeszło 80-letnich na ogół ludzi, orzekając im 10-letni zakaz ubiegania się o stanowisko prezydenta RP, posła lub senatora.

Sam już nie wiem, czy to bardziej śmieszne, czy bardziej straszne. Głupie na pewno. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Olsztyńskie „szubienice” skazane na zburzenie

Spór o pomnik autorstwa Xawerego Dunikowskiego

Marek Książek

Wojewoda warmińsko-mazurski nakazał natychmiastową rozbiórkę pomnika autorstwa Xawerego Dunikowskiego, bo monument jest symbolem komunistycznego zniewolenia. Ale prezydent Olsztyna się nie poddaje.

Granitowy, 13-metrowy pomnik składa się z dwóch pylonów, które miały symbolizować niezamknięty łuk triumfalny. Niektórym jednak kojarzą się z konstrukcją do wieszania, dlatego monument potocznie jest nazywany szubienicami. Decyzję o jego postawieniu miał podjąć ówczesny wojewoda olsztyński Mieczysław Moczar, choć budowę firmowało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Ze względu na brak środków obiekt był budowany kilka lat i został odsłonięty w 1954 r. jako pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej.

Wyzwolenie różne ma imię

Pomnik upamiętniał żołnierzy radzieckich, wyzwalających miasto od hitlerowców. Projekt wykonał legendarny rzeźbiarz Xawery Dunikowski, były więzień obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, a do zabudowy placu wykorzystano elementy z mauzoleum Hindenburga pod Olsztynkiem. Na pylonach wykuto charakterystyczne elementy: czołg, sylwetkę żołnierza, sceny odnoszące się do socrealizmu: pracy na roli i w przemyśle, oraz sierp i młot. Zwłaszcza godło ZSRR drażniło mieszkańców, szczególnie tych, którzy pamiętali pożary w mieście po przejściu frontu i gwałty sołdatów na warmińskich kobietach.

Gdy po transformacji ustrojowej 1989 r., przede wszystkim na prawicy, pojawiły się głosy, żeby monument rozebrać, zmieniono jego nazwę na pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, a w 2010 r. wpisano go do rejestru zabytków (niedawno na wniosek ministra kultury uchylono decyzję o wpisie). Przed pomnikiem, na placu, choć zyskał on już imię Xawerego Dunikowskiego, urządzono parking. Te zabiegi nie wyeliminowały presji na usunięcie obiektu; co rusz był szpecony malunkami sierpa i młota. Zwłaszcza po opinii Instytutu Pamięci Narodowej, że jako symbol komunizmu i radzieckiej dominacji powinien, tak jak w innych podobnych przypadkach, zniknąć z centrum miasta. Po agresji Putina na Ukrainę między pylonami zawieszono nawet baner z napisem: „Pomnik

FOT. PAP/TOMASZ WASZCZUK

eprasa.pl 2dbe3b5146

Instytut Pamięci Narodowej uznał, że pomnik jako symbol komunizmu i radzieckiej dominacji powinien zniknąć z centrum miasta. Nz. prezes IPN Karol Nawrocki podczas konferencji prasowej 19 października 2022 r.

wdzięczności za zniewolenie" i wymalowaną głową sołdata przyciskającego zrozpaczoną kobietę. Obok zawisł transparent z hasłem: „Solidarni z Ukrainą". Baner na polecenie prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza został usunięty, ale transparent wisiał dłużej.

Patriotyczny gniew redaktora

Władze miasta rozpatrywały różne warianty rozwiązania problemu, w tym przeniesienie pomnika na cmentarz wojenny przy ulicy Szarych Szeregów. Istnieje jednak ryzyko, że w trakcie demontażu monument się rozsypie. Miejscowi liderzy prawicy, w tym były poseł Jerzy Szmit (PiS), nie odpuszczali, wzywając na pomoc np. wiceminister rozwoju i technologii Olgę Semeniuk. A minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński zapewnił nawet odpowiednie fundusze, byle tylko pomnik szybko zniknął z centrum miasta.

Mimo to prezydent Olsztyna nie ustępował, podpierając się sondażem, przeprowadzonym w kwietniu ub.r. przez pracownię IBRiS, z którego wynikało, że opinia mieszkańców na ten temat jest mocno podzielona. Za przeniesieniem „szubienic" poza Olsztyn opowiedziało się 30% badanych, za pozostawieniem, ale z uzupełnioną informacją historyczną na temat roli armii radzieckiej po zdobyciu miasta – 24%, za pozostawieniem, lecz jako pomnika ofiar totalitaryzmu – 16%, za przeniesieniem na cmentarz wojskowy (gdzie są również groby żołnierzy radzieckich) – 13%, a za pozostawieniem bez żadnych zmian – 6%. 11% pytanych nie miało na ten temat zdania.

Chociaż wyniki ankiety generalnie są podważane przez przeciwników obecności pomnika w mieście, czasami próbują oni uzasadniać nimi swoje racje. Tak jak wezwany chyba na pomoc publicysta Jerzy Jachowicz, który na prawicowym portalu zaatakował ostatnio prezydenta Grzymowicza, bo ten śmiał odwołać się od decyzji wojewody nakazującej usunięcie monumentu. Ze słusznym, patriotycznym gniewem Jachowicz tak oto pisze: „Do tej wąskiej grupy nieprzejednanych obrońców pomnika wdzięczności rosyjskim barbarzyńcom, zbudowanego na cierpieniu żołnierzy podziemia antykomunistycznego w latach 40., na prześladowaniach przez całe dziesięciolecia naszych rodaków, tworzących konspiracyjne ogniwa oporu przeciw komunizmowi, należy dziś prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz wraz z grupą olsztyńskich radnych". I dalej: „Stronnicy pozostawienia monumentu na stałe powołują się na to, że jego twórcą był wybitny polski rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Jednakże w sondażu – przeprowadzonym na wniosek prezydenta Olsztyna – tylko 6% mieszkańców tego miasta opowiedziało się za pozostawieniem pomnika". Tyle że owe 6% to jedynie ci, którzy chcą, by zostawić pomnik bez żadnych zmian. Czyli red. Jachowicz „finezyjnie" manipuluje sondażem.

Z pozycji architekta krajobrazu

Nic dziwnego, że Jachowicz manipuluje, bo sprawa olsztyńskich „szubienic" stała się testem siły sprawczej IPN i władzy PiS. Według prezydenta Grzymowicza, który mówił o tym na konferencji prasowej po odwołaniu się od decyzji wojewody, opinia wydana przez IPN ma charakter wybiórczy, ponieważ nie uwzględnia wielu publikacji naukowych odwołujących się do wartości zarówno artystycznej, jak i edukacyjnej pomnika. Na monumencie nie ma także napisów upamiętniających ustrój komunistyczny, a co ciekawe – to już uwaga odautorska – Grzymowicz nakazał skuć z pomnika sierp i młot, a wcześniej – ustawić obok tablicę informującą o okolicznościach powstania „szubienic".

Warto w tym miejscu powołać się na pracę magisterską sprzed kilku lat architektki krajobrazu Marty Bulik, która obiektywnym okiem ocenia, że pomnik, poza funkcją reprezentacyjną, pełni funkcję memoriałową oraz architektoniczną. Usytuowany na placu Dunikowskiego, między gmachem dawnej rejencji pruskiej (dziś to siedziba urzędu marszałkowskiego i wojewódzkiego sądu administracyjnego) i powojennym budynkiem urzędu wojewódzkiego a galerią handlową, jest dobrym kontrapunktem odciągającym wzrok obserwatora od obiektu handlowego i świetnie zgrywającym proporcje dwóch pozostałych obiektów. Kształt pomnika stanowi od południa okno widokowe na zieleń parku miejskiego, a na jego osi, ale od przeciwnej strony – znajduje się „otwarcie kierunkowe" na ulicę Kopernika, jedną z najładniejszych ulic Olsztyna.

Autorka pracy „Rzeźba w przestrzeni miejskiej" konkluduje: „Skala monumentu właściwie wpisuje się w gabaryty otaczającej go zabudowy, ponadto powierzchnia wnętrza urbanistycznego pozwala na prawidłową ekspozycję pomnika jako rzeźby. Zieleń, na której tle frontalnie oglądany jest obiekt, odpowiednio kontrastuje z jego monumentalną, ciężką formą, którą nieco łagodzi. Kształt pylonów tworzących rodzaj bramy, wraz z otwarciem kierunkowym, podkreśla osiowość założenia i tworzy ład przestrzenny". A więc to nie szkarada, jak chcą niektórzy, lecz obiekt harmonizujący z otoczeniem.

Los „szubienic" zależy od tego, ile jeszcze czasu PiS będzie sprawowało władzę. Gdy ją utraci, być może znajdzie się kompromisowe rozwiązanie. Kilka miesięcy temu sam, jako mieszkaniec Olsztyna, napisałem do dyrekcji Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego, które siedzibę ma w Królikarni przy Puławskiej w Warszawie, czy w parku rzeźby nie znalazłoby się miejsce i na ten niechciany pomnik. Niestety, odpowiedzi nie dostałem, co nie dziwi, skoro ta placówka podlega dyrekcji Muzeum Narodowego, a ono – ministrowi Piotrowi Glińskiemu. Inna sprawa, że kontrowersyjny monument z Olsztyna – jak twierdzą fachowcy i jak wspomniałem wyżej – pewnie by się rozsypał przy rozbiórce. I byłoby po kłopocie! ■

eprasa.pl 2dbe3b5146

Niechciana sprawa agenta Tomka

Olsztyńscy sędziowie uchylają się od prowadzenia sprawy, w której jednym z głównych oskarżonych jest Tomasz K.

Marek Książek

Tego można było się spodziewać. Już ponad rok temu w artykule „Oskarżony agent Tomek" (PRZEGLĄD nr 5/2022) pisałem: „Po raz pierwszy w powojennej historii Olsztyna w jednej sprawie karnej zgromadzono 500 (!) tomów akt, którymi zawalony jest cały pokój miejscowego Sądu Okręgowego. Sam akt oskarżenia przesłany przez Prokuraturę Regionalną w Białymstoku liczy 1000 stron zamkniętych w sześciu tomach. Trzeba docenić wysiłek prokuratorów białostockich – i wcześniej olsztyńskich – którzy zajęli się stowarzyszeniem Europejskie Centrum Wsparcia Społecznego Helper już w 2015 r. Co wyniknie z sześcioletniej żmudnej pracy śledczych, tego nikt nie potrafi przewidzieć, zwłaszcza że nie wyznaczono jeszcze – w drodze losowania – sędziego do prowadzenia tego procesu".

KRAJ

Oskarżony agent Tomek

Na Tomaszu K. ciąży 19 zarzutów udziału w grupie przestępczej, która wyłudziła ponad 71 mln zł dotacji

Marek Książek

WRACAMY DO TEMATU

I nie udało się do tej pory, ponieważ sędziowie Sądu Okręgowego w Olsztynie in gremio złożyli ostatnio oświadczenia, że chcą wyłączenia ich ze sprawy Helpera. Jak informuje sędzia Adam Barczak, rzecznik prasowy tego sądu, zasadność ich wniosków zbada teraz Sąd Apelacyjny w Białymstoku. Powodem uchylania się sędziów od rozpoznawania tej sprawy jest nie tylko ogrom materiałów, z mnóstwem nazwisk, liczb, numerów, dat oraz innych szczegółów, którymi prokuratura uzasadnia, że doszło do przekrętu na 71 mln zł, ale też lista oskarżonych.

Tomaszowi K., jego żonie Katarzynie (uważanej za mózg afery), a także 40 innym osobom zarzucono popełnienie 146 przestępstw, m.in. przywłaszczenie pieniędzy z dotacji celowych na utrzymanie środowiskowych domów samopomocy (ŚDS). Z tych środków kupowano drogie perfumy i inne kosmetyki, markową odzież i inne drogie towary, aby biedni i schorowani pensjonariusze „przeżyli chwilę luksusu". Pieniądze przeznaczano również na wynajęcie luksusowych samochodów, przebudowę i adaptację prywatnych nieruchomości oraz opłacanie renomowanej kancelarii prawnej.

W sprawie zabezpieczono nieruchomości podejrzanych o wartości ponad 17 mln zł. W tym nieruchomość należącą do agenta Tomka o wartości 6,5 mln zł.

Ale prokuratorzy wzięli pod lupę także przedsiębiorców wystawiających fikcyjne faktury dla stowarzyszenia Helper i samorządowców z gmin, na terenie których działały ŚDS. W tym prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza, choć on i wójtowie od początku przekonują, że działali w dobrej wierze i zgodnie z prawem. Obecność samorządowców na liście oskarżonych to – przynajmniej formalnie – przyczyna, dla której sędziowie nie chcą prowadzić tej sprawy, aby nie być posądzonym o stronniczość. Do tego dochodzą powiązania Tomasza K. z miejscowymi liderami PiS, w tym z posłanką Iwoną Arent, choć im bliżej było do zakończenia śledztwa, tym szybciej były agent CBA tracił sprzymierzeńców.

Jednak według opinii obserwatorów głównym powodem uchylania się sędziów jest objętość materiału dowodowego oraz tłum uczestników procesu. 42 osoby na ławie oskarżonych, 900 świadków, do tego media! Oznacza to chaos i ugrzęźnięcie składu sędziowskiego w procesie na długie miesiące, jeśli nie lata. Zrozumiałe więc, że olsztyńscy sędziowie chcą podrzucić to kukułcze jajo kolegom z innego regionu. Zdaniem jednego z prawników sprawę Helpera najlepiej byłoby podzielić na kilka wątków i osobno sądzić sześcioosobową grupę głównych sprawców (w tym małżeństwo K.), osobno pozostałych oskarżonych i osobno samorządowców. Wtedy byłaby szansa na sfinalizowanie sprawy.

Tomasz K. z rodziną prowadzi stateczne życie w ekskluzywnej dzielnicy Olsztyna i pewnie z ironią komentuje bezradność wymiaru sprawiedliwości.

Tymczasem taka sytuacja jest chyba na rękę Tomaszowi K., który z rodziną prowadzi stateczne życie w ekskluzywnej dzielnicy Olsztyna i pewnie z ironią komentuje bezradność wymiaru sprawiedliwości. ■

eprasa.pl 2dbe3b5146

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

A co ja mogę zrobić na przyjazd prezydenta Bidena?

W pięknych, potwornych, cudnych, przerażających latach 90. zakochaliśmy się w kapitalizmie. Lud nasz środkowoeuropejski, poradziecki ujrzał Zachód jako skrzynię z bogactwami i uznał, że teraz będzie czas gromadzenia i nabywania. Był jak dzieci słuchające baśni i wierzące bez żadnych wątpliwości w kieszenie bez dna z talarami, niewyczerpywalne sakiewki, krzewy ze złotymi monetami. Tylko przez chwilę trzeba będzie zacisnąć pasa i ciężko się natrudzić. A tymczasem działo się to, co zawsze – zmieniał się hegemon, zmieniała się stolica, której płacisz lenno, zmieniał się język dominacji, nazwiska nowych królów, carów, prezydentów wyparły poprzednie z pierwszych stron gazet (bo gazety jeszcze były ważne). Zwalił się mur berliński, bo takie mury zawsze w końcu się walą. Do czeskiej Pragi przyjechali Stonesi. Stare sojusze wojskowe rozsnuły się w niebycie, Układ Warszawski interesował już tylko historyków, którzy jeszcze się nie pojawili. Ale było NATO. No i USA, nasza nowa ziemia obiecana, wyśniona kraina wolności, dolarami płynąca, piękna i nieskalana. Polacy pokochali USA na zabój, bezprzytomnie. Jak pierwszą szkolną miłością. I z tych oparów nie mogą się otrząsnąć do dzisiaj.

Do Czech, gdzie prezydentował niedawny więzień polityczny, dramaturg i pisarz Václav Havel, zamierzał się wybrać „młody" prezydent Bill Clinton. Rozpoczął się już polityczny proces zasysania (ze strony NATO) i zawierzania (ze strony poradzieckich sierot). Nazywało się to, jakżeby inaczej, kiedy idzie o sprawy wojenne – Partnerstwem dla Pokoju.

Havel wymyślił, żeby zainscenizować „naturalny" spacer dwóch prezydentów z zamku na Hradczanach przez Most Karola na ulicę Husa, gdzie w legendarnej gospodzie U Zlatého tygra mieli wypić kufel czeskiego, pilzneńskiego piwa, a do ich stołu miał się spontanicznie przysiąść Bohumil Hrabal, jeden z najświetniejszych pisarzy czeskich, bywalec Tygra. Tak się stało. Ale wcześniej Hrabal opublikował w dzienniku „Rudé právo" krótki tekst „Partnerstwo dla pokoju albo czekając na Godota". W tekściku Hrabal z grupą przyjaciół zastanawiają się, jak przyjąć Clintona. Tekst przedrukował „Magazyn Gazety Wyborczej" w tłumaczeniu jednego z najlepszych polskich bohemistów, Jana Stachowskiego. Mariusz Szczygieł, omawiając tę miniaturę literacko-publicystyczną, pisał tak: „W opowiadaniu »Partnerstwo dla pokoju albo czekając na Godota« bywalczyni Złotego Tygrysa, Julcia, pucuje sobie »kobiece narządy płciowe« na przyjazd prezydenta Clintona. Ten z prezydentem Havlem ma zjawić się w knajpie, aby poznać Hrabala osobiście. W wigilię przybycia gości postanawiają »uhonorować jej biust« i ustalają, że »Julcia elegancko pokaże cycki«... No i tajniacy wpadli w zachwyt, jak to zamierzamy powitać pana prezydenta Clintona, i że oni to tu zabezpieczą...". Dziennik „Rudé právo" opublikował także zdjęcie samego pisarza ssącego wspomnianą pierś.

Dyskusja nad tym, jakim polskim słowem oddać słowo użyte przez pisarza i przez znającego czeski jak najprawdziwszy Czech z Žižkova Stachowskiego, była jedną z najdłuższych debat redakcyjnych, w jakich w swoim długim życiu redaktorskim brałem udział. Wyraz użyty przez Hrabala nie pozostawiał żadnych złudzeń, jak powinien brzmieć jego polski, raczej ewidentnie wulgarny, odpowiednik. Pizda. Ale musi być „kulturalnie". A więc może zdrobnić, ale jeśli zdrobnić, to które zdrobnienie jest już akceptowalne? Może wykropkować, a może dać pierwszą i ostatnią literę? Nawet nie pamiętam, na czym stanęło.

Polskie władze, w tym prezydent Duda, który zasłynął brakiem gratulacji dla nowo wybranego Bidena, gdy ten pokonał Trumpa (ulubieńca PiS), już się pucują na wizytę. Na ustach zapewnienia o kolejnych miliardach wyrzuconych na zakup amerykańskiej broni. Nie ma dla władzy przyjemniejszego ognia, przy którym może się ogrzać, niż rozbudzanie strachu przed wojną, przed obcymi; strachu, który władza uśmierzy koniecznymi zbrojeniami. Kosztem opieki zdrowotnej (w tym nad dziećmi, które najczęściej w Europie popełniają samobójstwa), zmniejszenia kwot dla edukacji, śmierci budownictwa publicznego.

Oficjalny, ponadpartyjny przekaz brzmi dzisiaj tak, że Rosja nie zasiądzie do żadnych innych rozmów niż bezwarunkowa kapitulacja po ostatecznej klęsce. Każdy, kto ośmieli się twierdzić inaczej, jest ruską onucą, zdrajcą, głupkiem. Taki to finał naszej przygody z partnerstwem dla pokoju.

Biden spotka się z mieszkańcami Warszawy. Pewnie nie uda się zadać mu pytania o wysadzenie rurociągu Nord Stream na Bałtyku, o co oskarża Amerykanów (pamiętacie Radka Sikorskiego „dziękujemy"?) legenda amerykańskiego dziennikarstwa, laureat Pulitzera, człowiek, który ujawnił amerykańskie zbrodnie wojenne w Wietnamie i kulisy nieludzkiego funkcjonowania więzienia Guantanamo, Seymour Hersh. Według niego planowano tę operację już od 2021 r., przewidując inwazję Rosji na Ukrainę.

Powtórzę, co już miałem okazję tu pisać: *Si vis pacem, para pacem,* chcesz pokoju, szykuj się do pokoju. Nie do wojny.

Nie będę witał Bidena z uśmiechem i oklaskami wdzięczności. A na pewno z tego powodu niczego sobie nie wypucuję. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

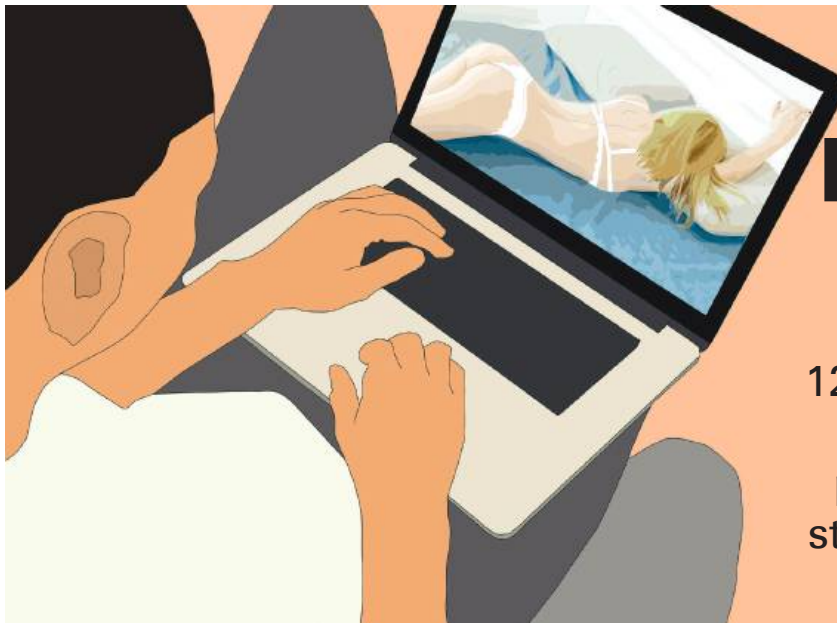

Porno, dzieci i dopamina

12 lat. To średnia wieku, w którym nastolatki po raz pierwszy mają styczność z pornografią

Anna Stachowiak

Państwowy Instytut Badawczy NASK opublikował niedawno raport „Nastolatki wobec pornografii cyfrowej". Wnioski z tego opracowania są alarmujące przede wszystkim dla rodziców, ale na zagrożenia płynące z dostępu do pornografii w tak młodym wieku zwracają uwagę zarówno fundacje zajmujące się prawami dziecka, jak i psycholodzy.

– Nie jestem zaskoczona wynikami, potwierdzają one wcześniejsze badanie, które na zlecenie Ministerstwa Zdrowia w 2018 r. przeprowadziła Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. W mojej praktyce zawodowej spotykam się z dużo młodszymi dziećmi, które, mając nieograniczony dostęp do internetu, stykają się z pornografią. Z punktu widzenia psychologii rozwojowej widzę tu kilka podstawowych zagrożeń – mówi psycholożka Justyna Żukowska-Gołębiewska.

Porno wszędzie

Wniosek pierwszy: pornografia jest powszechnie dostępna. „Od kilku lat systematycznie obniża się wiek inicjacji internetowej dzieci, a co za tym idzie – coraz młodsi użytkownicy sieci mają możliwość natrafienia na treści o niepożądanym charakterze. (...) Badani pierwszy raz mieli styczność z pornografią średnio w wieku 12 lat", piszą eksperci. Podkreślają też, że „dzieci korzystające z pornografii, szczególnie tej znalezionej w internecie, mają niższy stopień integracji społecznej, a wyższy poziom zachowań niepożądanych". Dodatkowo częściej występują u nich objawy depresyjne i słabsza jest więź emocjonalna z opiekunami. Oglądanie pornografii wiązane jest także z różnymi formami przemocy, agresji i nękania.

Z wywiadów, które przeprowadzili autorzy i autorki raportu, wynika, że co czwarty nastolatek codziennie ogląda pornografię, a 20% chciałoby, żeby dostępność do takich treści była jeszcze większa. Już nawet 10-letnie dzieci widziały pornograficzne treści w internecie. Ponad 70% dzieci i młodzieży otwarcie mówi, że w sieci bardzo łatwo trafić na porno. Większość korzysta w tym celu z wyszukiwarek i specjalnych stron pornograficznych. Łatwo natknąć się na nie również w mediach społecznościowych.

Powszechnym zjawiskiem jest seksting, czyli wysyłanie i otrzymywanie wiadomości o charakterze seksualnym, także ze zdjęciami. Akceptuje to prawie 20% badanych, a takie wiadomości wysyłają i otrzymują zarówno dzieci, jak i nastolatki. 14% respondentów wysyła takie materiały, by sprawić przyjemność swojemu chłopakowi lub dziewczynie, a wskaźnik ten wzrasta z wiekiem (wśród młodzieży prawie 31%). Co piąty 12-, 14-latek potwierdza, że otrzymuje żądania lub propozycje przesłania własnych nagich albo półnagich zdjęć innym osobom. Wśród starszych respondentów odsetek ten skacze do 41,5%.

Dopaminowy haj

Łatwość dostępu do porno i rozpowszechnienie tego typu treści powodują pierwsze z zagrożeń, o których mówi Żukowska-Gołębiewska. Uzależnienie.

– Być może rodzice nie wiedzą, jak działa mózg dziecka w wieku 10-12 lat. Kiedy do mózgu docierają bodźce, które uruchamiają układ nagrody (a pornografia jest takim bodźcem), wydziela się dopamina – hormon przyjemności. W odpowiedzi na różnorodne bodźce, np. pyszne jedzenie, grę w planszówkę z bliskimi, uprawianie sportu czy słuchanie przyjemnej muzyki, wydziela się określona ilość dopaminy. Kiedy bodziec ustaje, jej poziom spada. Seks, a także jego oglądanie silnie stymuluje układ nagrody, co prowadzi do wydzielania dopaminy na poziomie o 200% większym niż zazwyczaj – to poziom porównywalny do stanu po zażyciu morfiny. Z czasem dziecko sięga po tego typu bodźce częściej, jednocześnie wycofując się z innych, alternatywnych źródeł przyjemności – wyjaśnia psycholożka. Dlaczego? – Bo nawet spędzanie czasu z bliskimi przy jedzeniu np. pizzy albo granie w piłkę nożną nie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2dbe3b5146

daje porównywalnej dawki dopaminy. Te aktywności stają się dla mózgu dziecka po prostu nudne. Podobne zjawisko obserwuję, gdy dzieci do 13. roku życia kompulsywnie grają w gry komputerowe. Pornografia i często jej towarzysząca kompulsywna masturbacja stają się dla dziecka bodźcem bardziej pożądanym i sprzyjają rozwojowi uzależnienia – tłumaczy.

Żadnego pozytywnego wpływu

Wniosek drugi: obniża się średnia wieku, w którym dzieci po raz pierwszy są narażone na kontakt z pornografią w internecie. Dziś to niecałe 11 lat. Nieco starsza młodzież deklaruje, że do inicjacji doszło w wieku 12 lat. Zdarza się jednak, że na takie treści trafiają jeszcze młodsze dzieci.

Łatwy dostęp do pornografii nawet małym dzieciom umożliwiają smartfony. Dla 35% właśnie smartfon był narzędziem, dzięki któremu porno stało się dostępne. To z kolei sprawia, że nastolatki są narażone na rozmaite zaburzenia w rozwoju, m.in. dotyczące percepcji własnego ciała i norm zachowań.

– Zagrożony jest rozwój seksualny i emocjonalno-społeczny dziecka – wyjaśnia Justyna Żukowska-Gołębiewska. – Pornografia utrwala patologiczne rozumienie seksualności i negatywnie kształtuje zachowania oraz oczekiwania wobec tej sfery. My, dorośli, wiemy, że seks zazwyczaj nie wygląda tak, jak przedstawiają go filmy pornograficzne, a kobiety czy mężczyźni nie zawsze mają takie ciała czy kształt piersi lub penisa. Z reguły potrafimy oddzielić własne doświadczenia od tych, które widzimy na filmie. Owszem, niektórzy czerpią z filmów inspirację do ożywienia pożycia seksualnego. Natomiast pornografia nie ma żadnego, podkreślam: ŻADNEGO, pozytywnego wpływu na rozwój dziecka. Czerpanie wiedzy o seksualności człowieka z filmu pornograficznego, a to potwierdzają badania, sprawia, że dziecko może mieć tendencję do zbyt wczesnej inicjacji seksualnej, stworzyć nierealistyczny obraz swojej seksualności, może to wpływać na jego poczucie własnej wartości, wzbudzać niepokój o właściwy rozwój w tym zakresie („Czy mój penis jest wystarczająco duży?"). Wiadomości dotyczące seksu powinny być podawane dziecku adekwatnie do jego rozwoju i wiedzy naukowej. Jedno jest pewne – i tu chciałabym uspokoić niektórych rodziców – dziecko z pornografii nie nauczy się być nieheteronormatywne. To preferencja, która kształtuje się jeszcze w życiu prenatalnym.

Rodzice nie reagują

Podobne badania przeprowadzono niedawno w Wielkiej Brytanii, a wyniki są zbliżone do wniosków badaczy z NASK. Połowa respondentów w wieku 16-21 lat pytanych o pierwszy kontakt z pornografią zadeklarowała, że doszło do niego, zanim ukończyli 13. rok życia, a 38% trafiło na tego rodzaju treści przypadkiem. Co wyjątkowo niepokoi, 79% zetknęło się z treściami, w których występowała przemoc. Brytyjska komisarz ds. dzieci Rachel de Souza powiedziała: „Nie powinno być tak, że małe dzieci przypadkiem znajdują pełne przemocy, mizoginiczne treści pornograficzne w internecie, także w mediach społecznościowych". De Souza podkreśliła, że konieczna jest większa kontrola rodzicielska.

Zgadza się z tym Justyna Żukowska-Gołębiewska: – Oczywiście mamy możliwości zatrzymać to niepokojące zjawisko. Wszystko w rękach dorosłych! Rodziców, którzy być może potrzebują poszerzyć swoją wiedzę, by na ujawniony fakt używania przez dziecko pornografii reagować nie impulsywnie, ale z rozwagą, empatią i zrozumieniem. Właścicieli portali publikujących filmy pornograficzne, którzy w mojej ocenie również ponoszą odpowiedzialność za to, że są dostępne dla dzieci. Najwidoczniej umieszczenie komunikatu: „Treści tylko dla osób powyżej 18. roku życia" nie wystarcza. Oraz ustawodawców, którzy powinni zadbać o lepsze narzędzia prawne służące ochronie dzieci przed pornografią.

Tu dochodzimy do trzeciego wniosku, który płynie z raportu: rodzice nie mają kontroli nad tym, co ich dzieci oglądają w internecie. Tak twierdzi prawie 60% badanych dzieci i nastolatków. Dodają, że nigdy nie rozmawiali z rodzicami o oglądaniu pornografii ani skutkach kontaktu z takimi materiałami. 23,9% deklaruje, że rodzice nigdy nie zakazali im śledzenia takich treści, a prawie 35% nie umiało powiedzieć, jaki stosunek do tego typu aktywności mają ich rodzice.

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę radzi, jak się zachować, gdy się okaże, że dziecko w jakiś sposób konsumuje pornografię: czy to biernie, oglądając ją, czy aktywnie, np. wysyłając wiadomości i zdjęcia. Nie oceniaj, nie reaguj nerwowo, stwórz przestrzeń do rozmowy i pomóż dziecku zrozumieć, że porno to nie rzeczywistość. Chodzi o to, by czuło się bezpieczne, a nie oskarżane, zawstydzone czy obciążone stresem i emocjami rodzica.

Na razie tylko tyle – i aż tyle – można zrobić. Pod koniec 2022 r. ukazał się wprawdzie na stronie Rządowego Centrum Legislacji projekt ustawy o ochronie dzieci w internecie przed niepożądanymi treściami, szczególnie pornografią, lecz ma on wiele braków. Nie definiuje np., czym są treści pornograficzne, zostawiając dostawcom internetu określenie „treści nieodpowiednich". Ustawodawca nie wskazuje również, jak dokładnie treści pornograficzne mają być blokowane. A to stwarza pole do swobodnych interpretacji. Przewidziano jednak obowiązek raportowania do ministerstwa oraz kary pieniężne i kontrole.

– Liczymy na to, że usługa, która będzie obowiązkowa dla operatorów, ale też bardzo prosta i bezpłatna dla rodziców, wzmocni ochronę dzieci – mówiła Barbara Socha, wiceminister rodziny i polityki społecznej, na konferencji w październiku 2022 r., prezentując nowe rozwiązania. Prace nad nimi trwały od 2019 r. ■

Co piąty 12-, 14-latek potwierdza, że otrzymuje żądania lub propozycje przesłania własnych nagich albo półnagich zdjęć innym osobom.

eprasa.pl 2dbe3b5146

Ludziom należą się podwyżki inflacyjne

Do obniżek cen na stacjach paliwowych czy w marketach dołożył się podatnik, a zyski zgarnęły wielkie koncerny

Rozmawia Jakub Dymek

Do niedawna jeszcze straszono Polaków spiralą płacowo-inflacyjną. Tym, że rosnące płace będą się przekładać na rosnące ceny i nakręcać mechanizm, który tylko zwiększy inflację. Ty dowodzisz, że nic podobnego się nie stało, a płace Polaków spadły w skali niewidzianej od lat 90.

– Ja patrzę trochę inaczej na gospodarkę. Nas, ekonomistów odwołujących się do ekonomicznej heterodoksji, zwykle wiązanej z bardziej lewicowymi poglądami, interesują inne rzeczy – mniej skupiamy się na wzroście gospodarczym lub wydajności przedsiębiorstw, choć i one są ważne. Niekoniecznie jesteśmy przekonani o znaczeniu różnych spiral wskazywanych przez modele teoretyczne. Jesteśmy bardziej ciekawi tego, jak skutki różnych procesów gospodarczych rozkładają się na różne kategorie społeczeństwa – na klasy, mówiąc wprost.

Kto bierze większy kawałek tortu?

– Właśnie. Trudno więc mówić o jakiejś nakręcającej się spirali podwyżek, skoro widzimy, że pracownicy dostają dziś coraz mniejszy kawałek tortu. Mimo że cały tort się powiększa, także dzięki inflacji, bo polski PKB nominalny przebije w tym roku 3 bln zł. A do brzuchów pracowników trafia – trzymając się metafory kulinarnej – mniej kalorii. Bo tym są spadające realne wynagrodzenia w rosnącej gospodarce.

DR MICHAŁ MOŻDŻEŃ
– ekonomista, politolog, doktor nauk ekonomicznych

Ekonomiści głównego nurtu patrzą na płace w gospodarce głównie w kategorii kosztów. My mówimy: siła monopolistyczna albo siła oligopolistyczna, jaką mają firmy, decyduje o tym, kto jest w stanie wyrwać jaki kawałek tortu. Pokazujemy, że ktoś może dzięki większej sile przetargowej wyrwać więcej dla siebie. I patrząc na inflację z tej perspektywy, widzimy, że są firmy kontrolujące istotne rynki zbytu lub dostęp do kluczowych łańcuchów dostaw, które pozwalają...

...osiągnąć w realiach kryzysu olbrzymie marże!

– I widzimy to w energetyce, artykułach spożywczych, dobrach konsumpcyjnych. W dodatku najwięksi gracze są w stanie nie tylko narzucić większe marże, ale i pomimo kryzysu prowadzić ekspansję kosztem mniejszych firm.

To co robią te wielkie sieci?

– Podwyższają ceny. Dlaczego? Bo mogą. Kontrolują kluczowe rynki, a konsumentowi trudno znaleźć w pobliżu miejsca pracy czy zamieszkania tańszą alternatywę.

Dlaczego Orlen podniósł marżę?

– Bo jest monopolistą na rynku paliw. Transport paliw kosztuje, więc dobrze mieć rafinerię blisko. Orlen ją ma, toteż ma przewagę nad sprzedawcami detalicznymi. Podwyższa zatem marżę hurtową do poziomu, który nie spycha detalistów pod kreskę, ale zarazem jest tak wysoki, że niweluje większość ich zysków. I kontroluje ceny. Bo detaliści podnoszą ceny, na czym tracą konsumenci. Orlen zaś na swoich stacjach ma marżę

Michał Możdżeń – adiunkt w Katedrze Polityk Publicznych na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Prowadzi badania z zakresu ekonomii politycznej, polityki fiskalnej, administracji publicznej i rynku pracy. Współzałożyciel Polskiej Sieci Ekonomii.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2dbe3b5146

stosunkowo niską, ale odbija to sobie wielką marżą hurtową. W tym kryzysie Orlen zachowuje się jak absolutny monopolista. Ciekawe będzie jednak to, co będzie się działo dalej.

To znaczy?

– Można mieć podejrzenia, że te zyski zostaną wykorzystane do „wymasowania" inflacji w przyszłym roku – to znaczy obniżenia cen paliwa dla konsumentów dzięki obniżeniu marż hurtowych i utrzymaniu niskich marż detalicznych na stacjach.

No to może Orlen robi dokładnie to, czego lewica i zwolennicy większej państwowej kontroli nad gospodarką by chcieli?

– Spokojnie. Na razie jesteśmy w połowie drogi. Wiemy, że gdy zostały obniżone stawki VAT i akcyzy na oleje i paliwa silnikowe, to rzeczywiście udało się utrzymać inflację cen paliw na średnim czy nawet niższym od średniego jak na Europę poziomie. Gdy jednak spojrzymy na ceny netto, to one wzrosły w UE najbardziej! A więc rząd obniżył VAT, który obniżył dochody budżetu państwa, ale te pieniądze były z kolei transferem z kieszeni konsumentów do państwowej spółki! Czy to jest lewicowe albo prospołeczne? Wątpię. Działanie Orlenu przysłużyło się przede wszystkim interesom na linii rząd-Orlen, a dopiero w drugiej kolejności może pomóc ludziom. Ale cały mechanizm tego transferu był bardzo nieprzejrzysty, a społeczeństwo nadal nie wie, czy dodatkowe zyski Orlenu posłużą do ulżenia konsumentom w kraju, czy np. do zmonopolizowania innego rynku, chociażby na Węgrzech.

A sektor spożywczy?

– Gdy zajmujemy się działaniem dużych sieci detalicznych w Polsce – nie wymieniając nawet konkretnych marek, bo różne sieci to robią – zauważamy coś podobnego. Podwyższają one marże, bo mają podwójną siłę: monopolistyczną i monopsonistyczną. Co to znaczy? Mają przewagę i nad nabywcami, i nad swoimi dostawcami. Nad nabywcami dlatego, że gdy już w jakimś miejscu jest ten dyskont spożywczy – z małymi kolejkami, kasami automatycznymi, dużym wyborem i często zmieniającym się asortymentem atrakcyjnych towarów – to on wycina konkurencję. I może to osiągnąć przy dużo większych marżach, niż mają lokalne, rozproszone sklepiki.

Jak to możliwe?

– Po pierwsze, oczywiście dlatego, że ma dużą zdolność obniżania kosztów dzięki skali. Ale po drugie – i w tym kontekście może nawet ważniejsze – bo ma dużą siłę przetargową wobec rolników i przetwórców. Oni nie mają za bardzo alternatywy. Ceny dla końcowego konsumenta są więc niskie, marża wysoka, a dociskany jest rolnik.

A kiedy rząd zapowiada obniżkę VAT, tuż przed tym dyskont podwyższa ceny towarów, żeby sobie zwiększyć zyski w sposób pozornie neutralny dla klienta?

– Tak, choć sądzę, że nawet gdyby nie było tej obniżki VAT, udałoby się umiejętnie sprowadzić te ceny do tego samego poziomu netto. Z drugiej strony na rynku paliw czy energii skala obniżek podatków wyraźnie koreluje z dynamiką cen netto. To jest sprawa, która nas czegoś uczy: polski rząd i rządy właściwie całej UE, próbując zwalczyć inflację, w efekcie prawdopodobnie przerzuciły część kosztu na konsumenta oraz firmy, które, zużywając paliwa, płacą ceny netto.

Podatnik zatem finansuje transfer pieniędzy do wielkich korporacji, które jeszcze w nagrodę podnoszą mu ceny usług?

– Można tak powiedzieć. Mamy dane, które pokazują, że obniżki stawek podatku odbyły się przynajmniej częściowo kosztem podatnika, czyli nie obniżyły cen brutto w pełnej skali. Skąd to wiemy? Eurostat od jakiegoś czasu raportuje ceny różnych dóbr i usług w ujęciu nominalnym (czyli po prostu ceny na półkach) oraz po uwzględnieniu skali zmian stawek podatkowych (czyli w uproszczeniu „dodaje" z powrotem obniżki podatków do cen). Na tej podstawie możemy sprawdzać dynamikę cen dla krajów o różnej skali obniżek podatków. No i okazuje się, że na rynkach energii czy paliw, które korzystają z największych obniżek, dynamika cen netto była najwyższa. W przypadku żywności trudno jednak przeprowadzić taką analizę, ponieważ na jakiekolwiek obniżki stawek podatkowych w tym sektorze zdecydowały się jedynie trzy kraje UE: Bułgaria, Chorwacja i Polska, przy czym w naszym przypadku skala obniżki była największa.

Widzimy jednak, że Polacy wciąż mają pieniądze na konsumpcję, a tradycyjne metody walki z inflacją, opierające się na schłodzeniu gospodarki czy obniżeniu popytu, na razie zawodzą. Skąd u rodaków te pieniądze – z postpandemicznych oszczędności?

– Do pewnego stopnia tak. Polacy nigdy nie oszczędzali dużo ze względu na relatywnie niskie pensje. Teraz można zaobserwować, że aby poradzić sobie z rosnącymi cenami, zaczynają konsumować oszczędności, które mieli, lub oszczędzają mniej. W ten sposób chronią się przed spadkiem

W przypadku żywności na obniżki stawek podatkowych zdecydowały się trzy kraje UE: Bułgaria, Chorwacja i Polska, przy czym w naszym przypadku skala obniżki była największa.

eprasa.pl 2dbe3b5146

realnego dochodu – następuje tzw. wygładzanie konsumpcji. Kosztem oszczędności staramy się utrzymać stopę życiową, do której jesteśmy przyzwyczajeni. Ale są już zwiastuny, że to paliwo się wyczerpie – silnik nie może przecież tak pracować w nieskończoność. Zasoby ludzi nie są nieograniczone.

„Przejadanie oszczędności" nabiera w Polsce dosłownego znaczenia?

– Polacy wciąż jeszcze nabierają oszczędności w skali makro, ale bardzo, bardzo powoli – ten strumień wysycha. W niektórych kategoriach gospodarstw bez wątpienia dochodzi już wprost do wyboru: kupić to albo to. Zrezygnować z jednej rzeczy, a próbować utrzymać ten sam poziom życia w innej dziedzinie.

Czyli walka z inflacją odbywa się kosztem zwykłych konsumentów i pracowników – tak czy nie?

– Ta inflacja jest niezwykła. Albo przynajmniej inna niż wcześniejsze i ma przede wszystkim przyczyny podażowe, związane z zaburzeniami na rynkach energii i w mniejszym stopniu żywności, które nałożyły się na okołopandemiczne wąskie gardła w dostawach niektórych towarów oraz przesunięcie struktury konsumpcji bardziej na dobra trwałego użytku, kosztem usług. A przydarzyła się nam w świecie niezwykle słabych związków zawodowych i niezwykle słabych pracowników. W konsekwencji widzimy – nie tylko w Polsce, ale i na całym Zachodzie – że silni dostają więcej, a słabi mniej.

Rząd powinien dać podwyżki inflacyjne?

– No oczywiście, że powinien dać! Dlaczego nie? Mamy umowę społeczną związaną z tym, że ludzie dostają jakąś wypłatę i pracują np. dla państwa: urzędnicy, lekarki, nauczyciele. I oni nagle zaczynają zarabiać mniej, bo mają specyficzne kompetencje, które trudno wykorzystać u innego pracodawcy niż państwo, więc nie mogą po prostu zmienić pracy. Jak to nazwać, jeśli nie złamaniem tej umowy? Tak nie może być! Tym bardziej że podnoszona jest płaca minimalna, co będzie trudniejsze dla małych przedsiębiorstw, bo duże mają większy margines zysku i swobodę podnoszenia marż i cen. Rząd w tym momencie powinien świecić przykładem jako pracodawca i podnosić płace zatrudnionym w sektorze publicznym, a nie czekać, aż jedyne podwyżki dla pracowników sektora budżetowego będą wynikały z ustawy o płacy minimalnej.

Nie zapominajmy też, że ludzi dotykają rosnące koszty najmu.

– Tak, rosnące przynajmniej od marca 2022 r. koszty wynajmu to koszmar. I tu widać, że nie da się uciec od teorii wpływu siły przetargowej na inflację!

Ci, którzy dysponują dobrem koniecznym do życia – paliwem, żywnością, mieszkaniem – podnoszą ceny. A ludzie nie mają wyboru.

– Regularnie rozmawiam o tym ze studentami na zajęciach. I oni mówią, że wynajmujący im mieszkania podnoszą czynsze, powołując się na rosnące koszty kredytu. I tu należy powiedzieć, trochę obcesowo: „A co mnie to obchodzi?!". Najemca nie generuje większych kosztów krańcowych, nie zaczął nagle, z miesiąca na miesiąc, niszczyć tego mieszkania o połowę bardziej, prawda? A ceny rosną. Nie jest tymczasem winą najemców, że na polskim rynku dominują kredyty ze zmienną stopą i teraz ktoś płaci więcej za kredyt albo rosną mu koszty życia. Właściciel podnosi ceny najmu, żeby utrzymać stałą stopę zwrotu z posiadanego aktywa, czyli mieszkania. Ma przewagę, bo wie, że obecnie bardzo trudno wynająć mieszkanie, ponieważ po prostu ich brakuje, co nakłada się na koszty psychiczne i uciążliwości związane z przeprowadzką. Może więc sobie pozwolić na podnoszenie czynszów.

Kim są zwycięzcy i przegrani tej sytuacji?

– Mówiąc fachowo, siła przetargowa warunkuje zdolność zabezpieczenia się przed kosztami inflacji. Inflacja podnosi koszty i wszystkich wpędza w stan niepewności, ale tylko najsilniejsze podmioty mają zdolność zabezpieczenia odpowiedniego strumienia dochodów, by tę niepewność zneutralizować. Tak samo robią firmy, prawda? Niektóre mogą regulować pensje pracowników np. premiami, a nie trwałymi podwyżkami, tłumacząc, że sytuacja jest tak rozchwiana, że nie mogą się wiązać stałym zobowiązaniem wobec pracowników, bo nie wiadomo, co czeka za rogiem. Te zdolności zabezpieczenia się przed skutkami inflacji są w Polsce niezwykle zróżnicowane między podmiotami. Zasadniczo lepsze możliwości mają te firmy, które kontrolują kluczowe zasoby bądź kluczowe rynki.

Kosztem oszczędności staramy się utrzymać stopę życiową, do której jesteśmy przyzwyczajeni.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Z głębokim żalem i smutkiem żegnamy

Profesora
Andrzeja Skrzypka

historyka i pedagoga akademickiego
wielu uczelni krajowych i zagranicznych

Pani Aleksandrze Tobiasz-Skrzypek,
córce, rodzinie i bliskim
składamy wyrazy współczucia

Arkadiusz i Pelagia Koperowie, Ryszard Marcinkowski

eprasa.pl 2dbe3b5146

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Gdy ziemia drży

Od ogłoszenia alarmu każdy ma zaledwie kilka sekund

Silne trzęsienia ziemi dotknęły ostatnio Turcję i Syrię. Są to znane od lat tereny aktywne sejsmicznie, ale według specjalistów nie da się przewidzieć czasu ani dokładnej lokalizacji wstrząsów. Można jedynie podejrzewać, że wystąpią. Tym razem w centralnej Turcji i północnej Syrii nastąpiło bardzo silne trzęsienie ziemi o magnitudzie 7,8. Epicentrum zlokalizowane było ok. 30 km od Gaziantep. Kilka godzin później nastąpiło drugie, prawie tak samo silne trzęsienie. Katastrofa skutkująca wieloma tysiącami ofiar była najtragiczniejsza od 1939 r.

DR PRZEMYSŁAW KOWALSKI
– sejsmolog z Państwowego Instytutu Geologicznego

Jaka jest nasza wiedza o obszarach sejsmicznych, które może dotknąć tak tragiczna katastrofa? Skąd bierzemy informacje o potencjalnych zagrożeniach?

– Za nami jest ponad 150 lat wykonywania prac badawczych, w tym drobiazgowe obserwacje trwające przez cały wiek XX. Tego typu kataklizmy nie są więc zaskoczeniem dla naukowców. Rejon południowo-wschodniej Turcji i północno-zachodniej Syrii jest aktywny sejsmicznie. Z powodu ukształtowania terenu często dochodzi w nim do wstrząsów. Dobrze wiemy, gdzie są krawędzie płyt tektonicznych. Trzęsienia ziemi, do których doszło 6 lutego, są skutkiem interakcji między płytą anatolijską, będącą częścią płyty euroazjatyckiej, a płytą arabską. Płyta arabska napiera na anatolijską. Ich krawędzie przesuwają się względem siebie.

Czy to napieranie następuje szybko i niespodziewanie?

– Wręcz przeciwnie, bardzo wolno. Możemy tylko próbować określić prawdopodobieństwo takiego ruchu tektonicznego, ale operujemy dziesiątkami lat. Geologia, geofizyka mają to do siebie, że mamy do czynienia z niesłychanie powolnymi procesami. Trzeba wiedzieć, że szybko przemieszczająca się płyta kontynentalna przesuwa się 6 cm na rok. Dopiero po iluś latach naprężenia narastają tak znacząco, że w którymś miejscu tego obszaru sejsmicznego następuje uwolnienie olbrzymiej energii. Można zatem podejrzewać, że jeśli gdzieś nastąpiło duże trzęsienie ziemi, o magnitudzie 7-8 w skali Richtera, to w ciągu najbliższych kilkunastu czy kilkudziesięciu lat w tym samym miejscu raczej nie nastąpi drugie tak duże, bo naprężenia muszą się skumulować, aby znów wywołać zjawisko na tak ogromną skalę.

Ale to nie znaczy, że przez kolejne dekady nic na tym obszarze się nie dzieje?

– W każdym razie drgania nie są tak silne i niszczące. Ich lokalizację wykrywa aparatura, ale także w innych miejscach na kuli ziemskiej dochodzi do różnych mniejszych lub większych ruchów tektonicznych.

Nawet w Polsce?

– Tak. W 2012 r. odnotowaliśmy dosyć łagodne (urządzenia wskazały ok. 4 st.) trzęsienie ziemi w okolicach Jarocina. Trzęsły się szyby, dzwoniły szklanki, spadło kilka dachówek i gdzieniegdzie powstały szczeliny w budynkach, na szczęście nie doszło do poważnego uszkodzenia budynków ani infrastruktury drogowej. To wynik wstrząsów śródpłytowych, które

Do naszych sejsmometrów, np. obsługiwanych przez Państwowy Instytut Geologiczny, docierają z daleka wstrząsy już od 4 st. Richtera.

eprasa.pl 2dbe3b5146

w naszym obszarze geograficznym są i tak niezmiernie rzadkie. Wcześniej, w 2004 r., doszło do silniejszego trzęsienia (5 st. Richtera) z epicentrum w obwodzie kaliningradzkim, które było też odczuwalne przez mieszkańców Pomorza, głównie Lęborka, Gdyni, Gdańska, Sopotu, Wejherowa, Redy, Elbląga i Suwałk. Sporo o różnych wstrząsach mogą powiedzieć np. tatrzańscy górale, ponieważ okolice przedgórza Podhala to nasza strefa aktywności sejsmicznej. Tutaj orogeneza alpejska, trwająca od 240 mln lat, nie jest jeszcze do końca wygaszona. Wstrząsy są jednak proporcjonalnie słabe, a w zabudowie drewnianej nie czynią większych szkód, bo są to konstrukcje z elastycznie zachodzących na siebie bali. U nas nie buduje się obiektów przygotowanych na silne zjawiska sejsmiczne, bo to jest po prostu bardzo drogie.

Wróćmy do metod badania i rejestrowania wstrząsów. Czy w Polsce także odnotowano wstrząsy, które nastąpiły w Turcji?

– Tak. Do naszych sejsmometrów, np. obsługiwanych przez Państwowy Instytut Geologiczny, docierają z daleka wstrząsy już od 4 st. Richtera, więc te mające miejsce w Turcji też zostały u nas zarejestrowane. Urządzenia są wykorzystywane do różnych celów i stanowią część ogólnoświatowej sieci. W ten sposób dokonywana jest wymiana informacji. Prócz tego każda kopalnia węgla ma własną sieć rejestrującą drgania wywołane przez prace górnicze.

Skoro nawet do nas docierają sygnały z daleka, czy rejestratory i sejsmometry znajdujące się bliżej nie mogą zawczasu ostrzec ludzi, że zbliża się silny ruch tektoniczny?

– Istnieje również system wczesnego ostrzegania, ale jego skuteczność zależy od odległości od epicentrum wstrząsów. Jeśli takie urządzenie jest relatywnie blisko i zarejestruje wzbierającą falę wstrząsów, to mieszkańcy mają zaledwie kilka sekund na reakcję. Gdy rozlegną się syreny alarmowe, mogą uciec z budynku lub w ostateczności położyć się pod stołem. Pamiętajmy jednak, że o ile do wzrostu naprężeń między płytami tektonicznymi dochodzi dosyć wolno, o tyle fala wstrząsów, jeśli już wystąpi, posuwa się z prędkością 6 km na sekundę.

A jak było w Turcji? Ponoć nawet pomoc po trzęsieniu była bardzo spóźniona. W innych miejscach świata ogromne fale wywołane odległymi od lądu wstrząsami podmorskimi zaskakiwały ludzi przebywających np. na plażach.

– Jeśli myślimy o katastrofalnym tsunami, które w 2011 r. uszkodziło japońską elektrownię jądrową Fukushima i pociągnęło za sobą prawie 16 tys. ofiar, to gdyby nie system wczesnego ostrzegania, straty mogły być jeszcze większe. (Minutę przed największym wstrząsem 11 marca specjalny japoński system ostrzegania, odbierający sygnały z około tysiąca sejsmografów na terenie kraju, spowodował nadanie informacji alarmowej w transmisjach telewizyjnych. Uchroniło to wielu Japończyków od tragicznych konsekwencji – przyp. BT).

Czy był pan osobiście świadkiem trzęsienia ziemi? Przebywał pan w rejonach objętych takim kataklizmem?

– Choć zjawiskami sejsmicznymi zajmuję się już 20 lat, nigdy nawet niegroźnego trzęsienia ziemi osobiście nie przeżyłem. Nie byłem też w miejscach, gdzie doszło do takich katastrof.

Bronisław Tumiłowicz

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Skąd wiemy, gdzie są obszary, na których może dochodzić do silnych trzęsień ziemi? Czy mamy dokładną wiedzę o tych strefach?

– Granice bloków tektonicznych, płyt litosferycznych (tektonicznych) zostały określone, paradoksalnie, za sprawą trzęsień ziemi. Od lat 60., dzięki zastosowaniu maszyn liczących, mamy pełną dokumentację trzęsień ziemi i dokładnie wyznaczone w ten sposób granice płyt tektonicznych. Fizycznie obserwuje się zjawisko uwolnienia nagromadzonej przez wiele lat energii na powierzchniach uskoków, choć hipocentra trzęsień ziemi znajdują się głęboko pod ziemią. Śledzimy aktywność sejsmiczną na tych wszystkich obszarach na różnych kontynentach także przy użyciu zdjęć satelitarnych, radarowych, jak również poprzez badania terenowe prowadzone wzdłuż uskoków, które możemy prześledzić na powierzchni. Tylko tam można rozpoznać kinematykę uskoków, nawet wtedy gdy nie mamy informacji o kinematyce z danych uzyskanych podczas trzęsienia ziemi.

Uskok, który się uaktywnił w czasie trzęsienia ziemi z 6 lutego, ma cechy uskoku przesuwczego. Krawędzie takich uskoków przesuwają się w przeciwnych kierunkach, np. w kierunku północ-południe. Ale to z reguły dosyć skomplikowane i nie

Poprzednie tragiczne trzęsienie ziemi w Turcji, o ogromnej sile 7,6 st. w skali Richtera, które nastąpiło 17 sierpnia 1999 r., trwało zaledwie 37 sekund. Nawiedziło północno-zachodni obszar kraju, więc jego epicentrum znajdowało się na przeciwległym krańcu Turcji, w Gölcük, niedaleko Izmitu. Zginęło wtedy, według oficjalnych danych, ponad 18 tys. osób, co czyni ów kataklizm największą katastrofą w Turcji od zakończenia II wojny światowej. Zawaliło się wiele domów budowanych szybko, bez odpowiednich uprawnień, często stawianych w ciągu jednej nocy. Rannych zostało 43 tys. osób, uszkodzonych 214 tys. budynków mieszkalnych i 30 tys. budynków handlowych. Kompletnie zawaliło się 20 tys. obiektów.

Trzęsienie ziemi z 6 lutego br. odsłoniło smutną rzeczywistość nowego budownictwa mieszkaniowego, pełnego wad, będących być może rezultatem świadomych oszustw. Na zdjęciach widać, że na tym samym osiedlu jedne budynki nie miały większych uszkodzeń, a drugie złożyły się jak domki z kart. Winę ponoszą zapewne deweloperzy, którzy nie dopilnowali warunków stawiania domów w strefie sejsmicznej. Specjaliści od budownictwa twierdzą, że właśnie nowe budynki zawaliły się, a powinno być odwrotnie. Gospodarka turecka w ostatnich dekadach w dużej mierze opierała się na budownictwie.

eprasa.pl 2dbe3b5146

Zapadanie i wypiętrzanie

Za groźne dla ludzi uważa się trzęsienia o sile ponad 6 st., gdyż to one niszczą budynki

można narysować prostej kreski ruchu wzdłuż uskoku, bo jest tu mnóstwo mniejszych stref tektonicznych, co powoduje, że w jednym miejscu obszar się zapada, a w innych wypiętrza itd. Na YouTubie można znaleźć film, na którym widać, jak w wyniku tego katastrofalnego trzęsienia ziemi cały sad oliwny na naszych oczach zapada się 30 m w dół. Układ geometryczny strefy uskokowej wskazuje, że są to tereny predestynowane do zapadania się i wypiętrzania.

Czy to wszystko jest konsekwencją ruchów w skorupie ziemskiej, w wyniku których powstawały i powstają góry?

– Tak, choć oczywiście góry powstają w tym czasie w nieco innym miejscu. To procesy trwające miliony lat i wcale nie są jeszcze zakończone. W przypadku trzęsienia ziemi w Turcji jest to efekt nacierania i kolizji Arabii (płyty arabskiej) z Eurazją (płytą euroazjatycką). Cofając się o kilka milionów lat, tak zaczęły powstawać góry widoczne wzdłuż Zatoki Perskiej, należące do większej jednostki geologicznej, czyli orogenu Zagrosu w Iranie, także obszaru częstych trzęsień ziemi. Ruch Arabii w kierunku Eurazji był i ciągle jest powodowany otwieraniem się ryftu Morza Czerwonego rozdzielającego Afrykę i Arabię. Morze Czerwone wciąż się powiększa i z czasem powstanie w tym miejscu ocean, bo Arabia jest odsuwana od Afryki, a ona z kolei naciera na Eurazję. Ten stały ruch powoduje przesuwanie się płyt litosferycznych w tempie do kilku centymetrów na rok, co wywołuje silną aktywność sejsmiczną w tym obszarze, zlokalizowanym wzdłuż granic poszczególnych płyt.

W katastrofie, która nawiedziła południową Turcję i północną Syrię, ucierpiały różne miasta, czasem dosyć odległe, jak Gaziantep i Aleppo.

PROF. ANDRZEJ KONON
– kierownik Katedry Tektoniki i Kartografii Geologicznej, Wydział Geologii UW

– Tureckie miasta, m.in. Antakya (Antiochia), miasteczka i wsie dotknięte ostatnim trzęsieniem ziemi są położone w pobliżu uskoku tektonicznego zwanego wschodnioanatolijskim. Uskok ten wraz z drugim uskokiem, przebiegającym wzdłuż północnej granicy Turcji w kierunku Stambułu, ułatwia bardzo szybkie przemieszczanie się bloku tektonicznego nazywanego Anatolią (to jest teren dzisiejszej Turcji – przyp. BT) w kierunku Morza Egejskiego. Za jakiś czas teoretycznie można oczekiwać takich zjawisk w okolicach Stambułu, cała płyta bowiem, na której leży m.in. Turcja, jest poddawana ciągłemu naciskowi Arabii. Całe to terytorium ulega powolnemu przesuwaniu. Ostatnie tragiczne trzęsienie ziemi w Turcji miało miejsce w 1999 r. i objęło İzmit, leżący niedaleko od Stambułu. To potwierdza tezę, że rejon północnej Turcji również jest poddawany napierającym siłom tektonicznym. Stambuł leży przy dużym uskoku tektonicznym, wzdłuż którego dostrzega się migracje trzęsień ziemi w kierunku zachodnim.

A więc w przypadku takich katastrofalnych zjawisk historia lubi się powtarzać?

– Tak. Prześledziłem dane historyczne sięgające jeszcze starożytności. W roku 115 n.e., tj. za czasów cesarza Trajana, który wówczas przebywał właśnie w Antiochii, było wielkie trzęsienie ziemi, które pochłonęło ponad 200 tys. ofiar. Cesarz jednak się uratował. Kolejne, o podobnej sile ponad 7 st., nastąpiło 400 lat później, w 526 r. Kroniki wspominają, że ofiar było prawie ćwierć miliona. A teraz dane dotyczące Aleppo w dzisiejszej Syrii. Ogromne trzęsienia ziemi z setkami tysięcy ofiar były w roku 1138 i 1822.

Morze Czerwone wciąż się powiększa i z czasem powstanie w tym miejscu ocean, bo Arabia jest odsuwana od Afryki, a ona z kolei naciera na Eurazję.

Był pan świadkiem trzęsienia ziemi?

– W zasadzie podczas mojego pobytu w mieście Tabas w Iranie doszło do słabego, niegroźnego wstrząsu, o sile ok. 4,5 st. Nie zauważyłem niczego, bo nastąpiło w nocy, gdy spałem. Za groźne dla ludzi uważa się trzęsienia o sile ponad 6 st., gdyż to one niszczą budynki. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2dbe3b5146

Zabójstwo, które nie odmieniło SŁOWACJI

Po pięciu latach zleceniodawcy zabójstwa dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, archeolożki Martiny Kušnírovej, nadal nie zostali skazani

Łukasz Grzesiczak

Martinę Kušnírovą pochowano 2 marca 2018 r. w niewielkiej wsi Gregorovce pod Preszowem. 27-letnią archeolożkę ubrano w białą suknię (za dwa miesiące, 5 maja, poszłaby w niej do ślubu) i włożono do białej trumny. W kościele żałobnicy usłyszeli piosenkę Jaromira Nohavicy „Sarajewo", przy której młoda para planowała zatańczyć swój pierwszy taniec. Ostrawski bard, popularny także w Polsce i na Słowacji, śpiewa: „Jeszcze płonie ogień i szumi drzewo / a przed nami noc i sen / za najbliższym wzgórzem jest Sarajewo / tam jutro miła pobierzemy się" (tłumaczenie Renaty Putzlacher).

Dzień później trumnę z ciałem Jána Kuciaka złożono do grobu 250 km dalej, we wsi Štiavnik obok Żyliny. Stosunkowo blisko polskiej granicy. Na początku uroczystości pogrzebowych odczytano wiersz miłosny, który Kuciak napisał dla Kušnírovej. Mieli być pochowani we wspólnym grobie, ale ostatecznie nie zgodzili się na to najbliżsi. Rok później na cmentarzu stał już charakterystyczny grobowiec, na którym leży kałamarz i stalówka, symbol profesji młodego dziennikarza. W dolnym prawym rogu nagrobka znajduje się ich wspólne zdjęcie z napisem: #AllForJan. Hasłem, które – tak się zdawało – na zawsze odmieni słowacką politykę.

Media z całego świata pisały o Kuciaku jako o dziennikarzu śledczym, więc wyobraźnia podpowiadała obrazy reportera śledzącego bohaterów swoich tekstów. W rzeczywistości Kuciak zajmował się dziennikarstwem danych, pracował na otwartych, czyli ogólnodostępnych źródłach. Sprawdzał informacje o przetargach, dotacjach, śledził przepływ pieniędzy i powiązania między podejrzanymi biznesmenami i słowackimi politykami. Bardziej niż film Agnieszki Holland, w którym Gareth Jones na własne oczy poznaje tragedię Hołodomoru w Ukrainie, przypominało to żmudną pracę śledczych serwisu Bellingcat, którzy, korzystając jedynie z otwartych źródeł, ujawnili odpowiedzialność prorosyjskich separatystów za zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines.

Od 2015 r. Ján Kuciak był dziennikarzem serwisu Aktuality.sk, ale pierwsze kroki stawiał m.in. w działającej do dziś słowackiej organizacji factcheckingowej Demagog. Jak pisze dziennikarz i szef Kuciaka Marek Vagovič w książce „Umlčaní: príbeh Jána Kuciaka a Martiny Kušnírovej" (Uciszeni: historia Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej), młody dziennikarz prywatnie interesował się sportem i – jak przystało na Czecha lub Słowaka – grał w unihokeja, na Słowacji i w Czechach nazywanego raczej florbalem. Cenił Ernesta Hemingwaya i słowackiego prozaika Dominika Tatarkę.

Na zlecenie

Tego zabójstwa dokonał profesjonalista. W środowy wieczór 21 lutego 2018 r. Ján Kuciak usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy otworzył, zginął od wystrzału z pistoletu z tłumikiem. Po nim zginęła Martina Kušnírová. Tragedia rozegrała się w jednorodzinnym domu w niewielkiej miejscowości Veľká Mača, ok. 60 km od Bratysławy. Przy dobrych wiatrach w 40 minut można stąd dostać się do centrum stolicy. Narzeczeni remontowali dom, w którym chcieli spędzić życie. Dom na prowincji z możliwością stosunkowo szybkiego dojazdu do Bratysławy to częsty wybór Słowaków, którzy w obliczu szalonych cen stołecznych nieruchomości wybierają dojazdy. Niektórzy nawet – to nie pomyłka – kupują stare domy na przedmieściach Bratysławy już po austriackiej stronie.

Ciała zamordowanych znaleziono po kilku dniach. Od początku było jasne, że 27-latkowie zginęli w związku z dziennikarską pracą Jána Kuciaka. Z miejsca przyznał to szef słowackiej policji Tibor Gašpar, w tym kierunku działała prokuratura. „Atak na dziennikarza odbieram jako atak na ojczyznę. Praca dziennikarzy powinna być szanowana. To smutne, kiedy dziennikarz zostaje doceniony dopiero po tragedii", mówił nad trumną Kuciaka abp Stanislav Zvolenský, metropolita bratysławski. Wiedzieli to również Słowacy – na czele wielotysięcznej demonstracji, która w obronie mediów przeszła ulicami Bratysławy, nieśli transparent: „Atak na dziennikarzy = atak na nas wszystkich".

W ostatnim tekście opublikowanym przed śmiercią Kuciak pisał o Mariánie Kočnerze. To kontrowersyjny słowacki biznesmen działający w branży inwestycyjnej i nieruchomości. Kočner groził Kuciakowi, dziennikarz zgłosił to słowackim służbom, a te zbagatelizowały niebezpieczeństwo. Kočner trafił do więzienia, ale nie za zlecenie zabójstwa Kuciaka. Został skazany na 19 lat za sfałszowanie weksli o wartości

eprasa.pl 2dbe3b5146

węgierska (Most-Híd) i eurosceptyczna Słowacka Partia Narodowa (SNS). Słowacy już nas przyzwyczaili do egzotycznych, przynajmniej na pierwszy rzut oka, koalicji. Fico był premierem od 2006 r., z krótką przerwą na lata 2010-2012, kiedy zastąpiła go prawicowo-liberalna koalicja, która z hukiem upadła, a wyborcy znów oddali władzę liderowi socjaldemokracji.

Robert Fico uchodził za postępowego i proeuropejskiego polityka. Za jego rządów w 2009 r. Słowacja jako pierwszy i, jak wiemy, jedyny na razie kraj Grupy Wyszehradzkiej zamieniła swoją walutę na euro (decyzję podjęli poprzednicy, Fico przeprowadził Słowację przez ten proces). Gdy w Polsce odbywały się demonstracje przeciwko PiS w obronie sądów, a w Budapeszcie Orbán wieszał antysemickie plakaty z karykaturą

kilkudziesięciu milionów euro. Jeśli chodzi o morderstwo dziennikarza, sąd z braku wystarczających dowodów uznał Kočnera za niewinnego. Sąd Najwyższy zakwestionował wyrok i zwrócił sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Tekst, nad którym Ján Kuciak pracował w chwili śmierci (później został opublikowany przez media na całym świecie), rzucał podejrzenie na polityków. Kuciak opisał proceder kradzieży unijnych funduszy na wschodzie Słowacji przez włoską mafię, która miała kontakty z osobami w otoczeniu ówczesnego premiera Roberta Ficy. Jednak odpowiedzialności żadnego polityka za śmierć Kuciaka nie udało się potwierdzić przed sądem. Po pięciu latach w jednej z najgłośniejszych kryminalnych spraw u naszych sąsiadów nie udało się skazać zleceniodawców ani ludzi powiązanych z nimi, w tym ewentualnie polityków. Za kratami przebywają jedynie Miroslav Marček, który pociągnął za spust, i dwie powiązane z nim osoby.

Twarze Ficy

Wydawało się, że zabójstwo Jána Kuciaka i Martiny Kušnírovej odmieni Słowację. Na ulice nie tylko w Bratysławie wyszły masowe demonstracje. Protestujący demonstrowali pod hasłem: „All For Jan" i „Za przyzwoitą

Od początku było jasne, że 27-latkowie zginęli w związku z dziennikarską pracą Jána Kuciaka.

Słowację", nosili europejskie flagi, domagali się odnowy moralnej polityki i społeczeństwa. Ján i Martina byli symbolem, z którym łatwo było się utożsamić. W 27-latkach ojcowie i matki widzieli swoje dzieci, które w każdej chwili mogli stracić. Rówieśnicy dostrzegali w nich siebie i swoich przyjaciół. Być może właśnie wtedy część młodych Słowaków po raz pierwszy zainteresowała się polityką, a starsi obudzili się z letargu. To na fali tego poruszenia Zuzana Čaputová miała szansę zaistnieć w słowackiej polityce i w konsekwencji zwyciężyć w wyborach prezydenckich.

Początkowo demonstranci domagali się dymisji Roberta Kaliňáka, ministra spraw wewnętrznych i prawej ręki urzędującego wówczas premiera Roberta Ficy, lidera socjaldemokratycznej partii Smer. Fico czuł się silny i nie spełnił początkowych żądań ulicy. A ta wkrótce chciała i jego głowy. Kiedy wreszcie odwołał Kaliňáka, było już za późno, by uratował swój stołek.

Robert Fico to utalentowany polityk. Gdy doszło do zabójstwa Kuciaka, stał na czele rządu, który tworzyły socjaldemokracja (Smer), mniejszość

George'a Sorosa, Fico prezentował się jako prawdziwy demokrata szanujący liberalne wartości. Kiedy w tradycyjnie eurosceptycznych Czechach ówczesny prezydent Miloš Zeman otwarcie mówił, że jeśli Bruksela wprowadzi limity uchodźców, nie należy ich przyjmować, nawet kosztem utraty unijnych pieniędzy, Robert Fico brylował na unijnych salonach. „Bezrobocie spada. Płaca minimalna rośnie. Stabilne ceny energii. Nie obowiązują nas limity uchodźców", chwalił się wtedy.

Jednocześnie, co oglądali na co dzień Słowacy, stał się twarzą oligarchizacji kraju. W 2018 r. Słowacja w rankingu postrzegania korupcji stworzonym przez Amnesty International została sklasyfikowana na 57. miejscu (na 180). Polska znalazła się na 36. pozycji, Czechy – na 38. Fico zarządzał państwem niczym swoim folwarkiem. Afera goniła aferę, ale dopóki nie zginął Kuciak, Robert Fico wydawał się wieczny.

I wtedy wszystko się zmieniło. Mimo protestów ulicznych koalicja rządowa przetrwała do terminowych wyborów w 2020 r., jednak w marcu 2018 r. premiera Ficę na dwa lata

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2dbe3b5146

zastąpił partyjny kolega Peter Pellegrini. Wydawało się, że Fico wszystko ma pod kontrolą i będzie rządził z tylnego siedzenia. W rzeczywistości Pellegrini zagrał o pełną stawkę, rzucił mu rękawicę i chciał przejąć Smer, a gdy to się nie udało, odszedł i założył drugą socjaldemokratyczną słowacką partię, Hlas, czyli Głos.

Jest, jak było

Reakcja społeczeństwa na zabójstwo Kuciaka zmusiła Ficę do zmiany programu politycznego. Wydaje się, że byłego premiera przez lata określały nie poglądy, ale chęć zdobycia i utrzymania władzy za wszelką cenę. Kiedy wyborcy proeuropejscy i progresywni znaleźli swoją reprezentację np. w Progresywnej Słowacji, z której wywodzi się prezydentka Zuzana Čaputová, Fico musiał zawalczyć o głosy wyborców antysystemowych, o skrajnych poglądach, często zawiedzionych ofertą liberalnej demokracji.

Symbolicznym momentem słowackiej polityki była chwila, kiedy Zuzana Čaputová tuż po informacji, że zwyciężyła i zostanie prezydentką, wymknęła się na moment ze swojego sztabu wyborczego, by oddać hołd Jánowi Kuciakowi i Martinie Kušnírovej pod upamiętniającą ich tablicą w centrum Bratysławy.

W 2020 r. Fico przegrał wybory parlamentarne, a władzę przejęła szeroka konserwatywno-liberalna koalicja z premierem Igorem Matovičem na czele. Warto nadmienić, że partia Čaputovej, czyli Progresywna Słowacja, nie przekroczyła progu wyborczego w wyborach parlamentarnych. Liderowi ugrupowania Zwyczajni Ludzie (OĽaNO) władzę dała krytyka korupcji rządu Smeru, w tym osobiste ataki wymierzone w Roberta Ficę. Koalicja Matoviča niemal od początku miała wielkie problemy z rządzeniem. Okazało się, że koalicjantów niewiele łączy, poza nienawiścią do Ficy. Nie pomógł także COVID-19. Matoviča zastąpił jego partyjny kolega Eduard Heger, co i tak rządowej koalicji nie uratowało. We wrześniu odbędą się przedterminowe wybory.

Sondaże pokazują, że największym poparciem Słowaków cieszą się partia Petra Pellegriniego Hlas i… Smer Roberta Ficy. Wieloletni premier gra obecnie na antyukraińskiej i antyamerykańskiej nucie. Atakuje rząd za pomoc ukraińskim uchodźcom, wysyłanie broni do Ukrainy i kryzys gospodarczy, który jest wynikiem – jak przekonuje – niepotrzebnych sankcji wobec Rosji. Być może Peter Pellegrini i Robert Fico po wrześniowych wyborach mimo politycznych sporów zbudują wspólny rząd; sondaże pokazują, że gdyby wybory odbyły się teraz, koalicja dwóch socjaldemokratycznych – przynajmniej z nazwy – partii mogłaby liczyć na większość parlamentarną. Część słowackich ekspertów widzi nawet w Ficy nowego premiera.

Co potwierdziłoby, że przez pięć lat na Słowacji musiało się zmienić niemal wszystko, by wszystko znów mogło być po staremu.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Most nad cieśniną pułapek

Wygląda na to, że za budowę przeprawy między Sycylią a kontynentalnymi Włochami zapłacą państwo i Unia, a zarobi na tym mafia

Zuzanna Muszyńska

Rząd włoski zbuduje najdłuższy na świecie most wiszący między Sycylią a kontynentalnymi Włochami. Wicepremier oraz minister infrastruktury i transportu Matteo Salvini sprzedaje w Brukseli swój czołowy projekt jako „ostatni etap budowy korytarza europejskiego łączącego Morze Śródziemne ze Skandynawią". Szacuje się, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wydano ponad miliard euro na planowanie inwestycji w jednym z miejsc o największym zagrożeniu sejsmicznym. W 1908 r. trzęsienie ziemi w Cieśninie Mesyńskiej zniszczyło Mesynę i Reggio di Calabria oraz pochłonęło 120 tys. ofiar.

Salvini jednak nie widzi „żadnego ryzyka w przypadku trzęsienia ziemi", gdyż elastyczna i wysoka konstrukcja mostu ma przetrwać kataklizm. Dla wicepremiera prawdziwym problemem jest „znalezienie pieniędzy na trwałe zjednoczenie Sycylii z Włochami". Wygląda na to, że zapłacą państwo i Unia, a zarobi… mafia.

Pływające pociągi

Jako jeden z priorytetowych korytarzy transeuropejskiej sieci transportowej TEN-T most mesyński mógłby otrzymać finansowanie z UE. Europejska komisarz ds. transportu Adina Vălean nie wyklucza unijnej pomocy, na razie wyłącznie na etapie projektu.

Zwolennicy mostu twierdzą, że jego powstanie rozkręci sycylijską gospodarkę, przyczyniając się do niwelowania różnic w zamożności między północą a południem Włoch. Towary docierające do sycylijskich portów skróconą drogą morską opuszczałyby wyspę po przeładowaniu na pociągi, które wreszcie nie byłyby wtaczane na promy kolejowe. Teraz część statków omija wyspę i płynie Cieśniną Mesyńską ku lądowym Włochom, kursując na linii północ-południe nawet 15 tys. razy w ciągu roku. Ich trasę przecinają promy, które wykonują ponad 100 tys. kursów (średnio co pięć minut) pomiędzy Sycylią a Kalabrią, przewożąc 10 mln pasażerów, 1,8 mln samochodów osobowych i 400 tys. ciężarowych. Cieśnina jest jednym z najniebezpieczniejszych na świecie miejsc do żeglugi.

Most stanąłby w najwęższym miejscu cieśniny (3,1 km) – tam, gdzie dziś dominują w krajobrazie najwyższe na świecie pylony (232 m), zbudowane w 1957 r. jako podpory linii energetycznej poprowadzonej z Kalabrii na Sycylię, zastąpionej pod koniec zeszłego stulecia podwodnym kablem.

Jak twierdzi część włoskich inżynierów, nie da się zbudować mostu łączącego oddalające się od siebie brzegi cieśniny.

Pylony mostu miałyby po 382 m, a jego jednoprzęsłowa konstrukcja o długości 3,3 km i szerokości 60 m prześcignęłaby most Çanakkale 1915, dwukilometrowego rekordzistę znad Cieśniny Dardanelskiej.

Oprócz czterech pasów ruchu dla zmotoryzowanych, dwóch torów kolejowych (dla 200 pociągów dziennie) i dwóch pasów dla pieszych na moście, na brzegach cieśniny powstałoby 20 km nowych połączeń drogowych i tyle samo kolejowych, prowadzących do autostrad w kierunku Salerno, Katanii i Palermo oraz do planowanej linii kolejowej dużych prędkości Neapol-Reggio Calabria. Powstaniu jednego sycylijsko-kalabryjskiego Miasta Cieśniny (Città dello Stretto) od lat sprzeciwiają się sycylijscy nacjonaliści.

Wracający pomysł

W Stretto di Messina spotykają się dwa morza – Tyrreńskie od północy i Jońskie od południa. Kiedy z południa nadchodzi przypływ, na północy zaczyna się odpływ – różnica poziomów wody sięga 30 cm, powstają potężne wiry pionowe, które przyczyniły się do narodzin legendy o Scylli i Charybdzie. Przez cieśninę przelewa się nawet 1 mln m sześc. wody w ciągu sekundy. Silny wiatr powoduje duże fale. Dla konstruktorów mostu największym problemem jest stabilność płyty pomostu w czasie wiatru i aktywności sejsmicznej.

Krytycy projektu wymieniają oprócz ryzyka konstrukcyjnego gigantyczne koszty oraz wpływ na środowisko. W 2003 r. Światowy Fundusz na rzecz Przyrody (World Wide Fund for Nature, WWF) złożył skargę do Komisji Europejskiej za niepodjęcie przez państwo włoskie działań w celu uniknięcia niszczenia siedlisk ptaków na obszarach chronionych wokół cieśniny. Według ekologów budowa zagraża nie tylko lokalnym ekosystemom, ale również walorom krajobrazowym miejsca – przyrodę zaleje beton.

Zieloni i partie lewicowe postulują, by zamiast wydawać 8,5 mld euro na ekstremalnie niebezpieczny most, wyremontować drogi na Sycylii, skracając czas dojazdu na wybrzeże. Dla ciężarówek, które docierają do portów Sycylii i Kalabrii wąskimi uliczkami, przygotować nowe trasy. A produkty rolne transportować na północ kraju z byłego lotniska NATO w Comiso, przekształconego w terminal handlowy. Ale premier Meloni

eprasa.pl 2dbe3b5146

już reaktywowała kontrakt dla firmy Webuild (wcześniej Salini Impregilo), odpowiedzialnej za budowę mostu.

Koalicja Meloni-Salvini-Berlusconi ożywiła w ten sposób odwieczne marzenie. Starożytni Rzymianie mieli zbudować w najwęższym miejscu cieśniny pomost z łodzi i beczek, po którym przetransportowano 140 słoni przejętych z rąk Kartagińczyków w I wojnie punickiej. Po 2 tys. lat plany budowy mostu wskrzesił Benito Mussolini. Od czasów powojennych most pojawia się na listach obietnic wyborczych polityków prawicy.

Ziemia drży

Gdy Turcję i Syrię nawiedziło trzęsienie ziemi o sile 7,8 st. w skali Richtera, Agencja Ochrony Cywilnej we Włoszech wydała ostrzeżenie przed tsunami. Mieszkańcom nadmorskich miejscowości polecono udać się na wyższe tereny. Wysokie fale zaobserwowano w pobliżu Syrakuz. Na Sycylii oraz w Kalabrii i Apulii wstrzymano na pół godziny ruch kolejowy.

Do tsunami dochodzi wskutek wstrząsów tektonicznych pod dnem morza. Zjawiska sejsmiczne w rejonie Cieśniny Mesyńskiej związane są z zapadaniem się pod dużym kątem oceanicznej płyty jońskiej pod dość cienką płytę kalabryjską. Całe Włochy leżą na „szwie" płyt afrykańskiej i euroazjatyckiej. W układance płyt oceanicznych i kontynentalnych następują przesunięcia o kilka centymetrów rocznie. Z badań wynika, że Sycylia i Kalabria mogą dodatkowo stanowić obracające się w przeciwne strony kry litosfery. Jak twierdzi część włoskich inżynierów, nie da się zbudować mostu łączącego oddalające się od siebie brzegi cieśniny.

Sycylia od stuleci cierpi z powodu katastrof naturalnych. W 1693 r. po wybuchu Etny zatrzęsła się ziemia na wschodzie i południu wyspy. Zginęło 60 tys. osób, runęło 45 miast, m.in. Syrakuzy, Comiso, Noto. Dwukrotnie więcej ofiar pochłonęło trzęsienie w Mesynie i Reggio di Calabria.

Wstrząsy sejsmiczne w Cieśninie Mesyńskiej z 28 grudnia 1908 r. o sile 7,2 st. w skali Richtera były największą katastrofą naturalną, jakiej doświadczyła Europa w ubiegłym stuleciu. Trzęsienie ziemi nastąpiło o świcie, główny wstrząs trwał 20 sekund. W ciągu dnia doszło do 20 wstrząsów wtórnych. W Mesynie śmierć poniosła ponad połowa ze 120 tys. mieszkańców i zawaliło się 90% budynków. Większość ofiar zginęła podczas snu. Epicentrum znajdowało się w pobliżu najwęższego odcinka cieśniny. Około 10 minut po trzęsieniu morze gwałtownie się cofnęło, po czym w wybrzeże uderzyły trzy fale tsunami, zabierając ze sobą tych, którzy ratowali się ucieczką z pobliskich domów. W sumie w ciągu dwóch i pół miesiąca odnotowano 293 wstrząsy. Port w Mesynie wypełniły wraki łodzi oraz ciała ludzi i zwierząt. Zniszczeniu uległo historyczne centrum, zbudowane na piaszczystej glebie. Runęła m.in. normańska katedra, która przetrwała poprzednie kataklizmy, oraz inne kościoły, szkoły, pałace, koszary, dwie stacje kolejowe, szpitale. Zginęli lekarze, pielęgniarki, naukowcy, pisarze, politycy, prokurator generalny Mesyny, większość urzędników, prawie cała policja i żołnierze garnizonu. W mieście przebywało akurat wielu gości, którzy zjechali się na przedstawienie „Aidy" Giuseppe Verdiego. Zginął tenor wraz z rodziną, a węgierska sopranistka, która wystąpiła w roli Aidy, wyskoczyła z okna hotelu, łamiąc sobie przy upadku obie ręce.

W Reggio kataklizm przetrwało raptem 50 domów. Ze zburzonego więzienia uciekli osadzeni. By zapobiec rabunkom, ogłoszono stan wojenny. Groźby rozstrzeliwania szabrowników dotknęły ocaleńców poszukujących wśród ruin pożywienia albo swoich bliskich. Mesynę planowano odbudować w innym miejscu, ale spotkało się to z gwałtownymi protestami mieszkańców. Nowe miasto powstało na planie szachownicy, składało się z budynków jednakowej wysokości. Bezdomni, którzy zdążyli wywędrować do najdalszych zakątków Sycylii albo do Włoch kontynentalnych, powracali do pracy na budowach. Trzy lata od kataklizmu liczba ludności była wyższa niż przed nim.

W czasie II wojny światowej nowa Mesyna znowu legła w gruzach na skutek największych alianckich bombardowań. Mówi się, że jest „miastem bez pamięci".

Prezent dla mafii

Po lądowaniu na Punta Raisi pod Palermo, jednym z najniebezpieczniejszych lotnisk świata, przykuwa wzrok krajobraz kontrastów – na lewo tafla Morza Tyrreńskiego, na prawo ściana skał. U stóp tych właśnie gór młody Giuseppe „Peppino" Impastato poprowadził wywłaszczonych chłopów z Cinisi przeciwko buldożerom, gdy mafia zażyczyła sobie budowy trzeciego pasa startowego lotniska. „Peppino" nie bał się jej, choć zabiła mu ojca i wuja. Kpił z mafijnych bossów w radiu i w prasie. Skończył na torach kolejowych, z ładunkiem wybuchowym przywiązanym w pasie. Tragiczna śmierć dziennikarza sprawiła, że coś drgnęło w jego otoczeniu, od pokoleń związanym z mafią. Jego pogrzeb w Cinisi przerodził się w antymafijną demonstrację. Następnie jej uczestnicy oddali głosy na zmarłego, który przed śmiercią kandydował na radnego. Był rok 1978, na Sycylii nie nadużywano słowa mafia.

Włochy siedzą na bombie podłożonej przez mafię. Jest nią katastrofalny stan infrastruktury.

Kiedy mniej więcej dekadę później inny dziennikarz, Nino Calarco, został prezesem spółki Stretto di Messina, Sycylijczycy usłyszeli od niego, że „jeśli mafia jest w stanie zbudować most, dajcie jej zbudować most". Calarco wyjaśnił co prawda, że „to tylko żart", ale rozwścieczeni działacze antymafijni nie odpuścili i zażądali zbadania, czy wykonawcy zakontraktowani do budowy mostu mesyńskiego nie mają powiązań z przestępczością zorganizowaną.

Mieli i mają do dziś, co od lat dokumentuje Antonio Mazzeo, dziennikarz i wykładowca na uniwersytecie w Mesynie. Dwie wieże z betonu i stali, ich fundamenty,

eprasa.pl 2dbe3b5146

Most przez Cieśninę Mesyńską o długości 3,3 km będzie najdłuższym na świecie mostem wiszącym.

40 km połączeń drogowych i kolejowych (wiadukty i tunele), megawysypiska, kamieniołomy, biura, sklepy i inne elementy „ekologicznego potwora" miałyby zająć obszar ponad 75 ha, pochłonąć miliony metrów sześciennych materiałów budowlanych. Wszystko za co najmniej 10 mld euro według obliczeń obywatelskiego stowarzyszenia No Bridge Network. Taki gigant nie mógł ujść uwagi organizacji przestępczych w kraju i za granicą.

Temat infiltracji projektu przez kalabryjską 'ndranghetę i sycylijską cosa nostrę pojawiał się od 1998 r. w comiesięcznych raportach składanych przez Departament Śledczy ds. Mafii (DIA). Jak wykazali jego funkcjonariusze, klany kalabryjskie zamierzały wejść w partnerstwo z uznanymi, „czystymi" firmami budowlanymi w centrum i na północy kraju. Ministerstwo Robót Publicznych zleciło w 2000 r. własne badanie „przestępczego wpływu mostu". Rezultaty utrzymywano w tajemnicy przez dekadę. Według tego opracowania aż 40% robót budowlanych zagrożonych było wpływami mafii, a w przypadku budowy dróg, ramp dojazdowych i linii kolejowych wpływ ten byłby jeszcze większy. Od ochrony placu budowy, poprzez zarządzanie łańcuchami dostaw i transport pracowników, po działalność spekulacyjną podczas wykupu gruntów pod budowę – wszędzie było (i jest) pole do działania mafii. Autorzy raportu zauważyli jedynie, że z powodu zaawansowanej technologii przy pracach konstrukcyjnych mafia może napotkać pewne bariery.

Mazzeo powołał się też na opinię Umberta Santina, prezesa Sycylijskiego Centrum Dokumentacji „Giuseppe Impastato", dotyczącą działalności finansowej mafii. Mafijna burżuazja to cenny partner finansowy dla zaangażowanych w budowę firm. Cieśnina Mesyńska jest według Mazzea prawdziwą „wolną strefą", w której można zaobserwować ekspansję ojców chrzestnych, spekulantów i oszustów, grających role bankierów i inżynierów. Zagrożenie stanowi również status projektu jako strategicznego celu rządu, władza bowiem będzie dążyła do rozluźniania przepisów, dopuszczania do prac firm poza przetargiem lub rezygnacji z tzw. zaświadczeń antymafijnych, które muszą posiadać podmioty startujące w przetargach.

Każdy, kto podróżował po Sycylii, zna fatalny stan tamtejszych dróg. Na trasie A20 z Mesyny do Palermo jest 130 wiaduktów. Jedzie się nimi nad przepaścią, z myślą, że budowano je tanio i szybko. W 2014 r. wiadukt w Mezzojuso pod Palermo zawalił się zaledwie 10 dni po oddaniu do użytku. Kosztował ponad 200 mln euro, przynajmniej tyle wydali na niego podatnicy. Osobom odpowiedzialnym za fuszerkę zarzucono m.in. wymuszenia i fałszerstwa. Takich miejsc jest we Włoszech wiele. Po tym, jak w 2018 r. runął w Genui most Morandi, oddany do użytku z wielką pompą w 1967 r., media rozpisywały się o 2 mln domów zagrożonych katastrofą budowlaną i 156 szkołach, w których zapadły się sufity (dane agencji Istat z lat 2013-2018). Morandi (39 ofiar) był 12. mostem, który zawalił się od 2004 r. I znów przypomniało się opinii publicznej, że Włochy siedzą na bombie podłożonej przez mafię. Jest nią katastrofalny stan infrastruktury, odkąd w czasie hossy budowlanej w latach 60. powstawały drogi, mosty, szkoły i szpitale. Mafia dawała radę tam, gdzie państwo nie mogło. Mafia była państwem.

Wicepremier Salvini powiedział po niedawnym aresztowaniu szefa cosa nostry Mattea Messiny Denara, że „kolejnym punktem zwrotnym dla Sycylii" będzie budowa mostu. To kosztowny prezent – dla mafii. Salvini, manewrujący przez cieśninę pełną pułapek niczym Odyseusz u Homera, zna prawdziwą cenę tego podarunku: jeśli uratuje statki przed paszczą Charybdy, Scylla upomni się o swoje ofiary. Dostarczą ich mafie zjednoczone mostem albo kolejny kataklizm naturalny.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2dbe3b5146

Między demokracją a tyranią

Zatrudnienie Radosława Sikorskiego jest jedynie niewielkim elementem długofalowej strategii Zjednoczonych Emiratów Arabskich

Jakub Katulski

Fakt, że politycy biorą udział w organizowaniu międzynarodowych konferencji, nie dziwi raczej nikogo. W końcu na tego rodzaju spotkaniach wyrażają swoje poglądy i/lub reprezentują interesy swoich narodów czy wyborców. Bardziej zaskakiwać może to, że czynni politycy zarabiają krocie na podobnych aktywnościach. Na przykład Radosław Sikorski, słynący z pouczania, jak powinna wyglądać demokracja, ale inkasujący 93 tys. euro rocznie od rządu Zjednoczonych Emiratów Arabskich – państwa bynajmniej nie demokratycznego. Za co? Za uczestnictwo w radzie doradczej organizującej dość tajemniczą konferencję Sir Bani Yas Forum.

Tajemniczą, bo niewiele o niej wiadomo. Wikipedia o Sir Bani Yas Forum nie wspominała w żadnym języku aż do 12 lutego br., kiedy powstał dość skąpy tekst po polsku. By wejść na stronę konferencji, trzeba mieć specjalny login i hasło, a niezarejestrowani odwiedzający proszeni są o kontakt z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i Współpracy Międzynarodowej ZEA. Na każdej edycji konferencji pojawiają się politycy z całego świata (zarówno z państw demokratycznych, jak i autorytarnych), by dyskutować o istotnych tematach polityki światowej. Ambasady i ministerstwa spraw zagranicznych lubią chwalić się tym, że czołowi oficjele ich państw wezmą udział w Sir Bani Yas Forum i będą rozmawiać za zamkniętymi drzwiami, skąd do dziennikarzy docierają jedynie przecieki, których nie wolno przypisywać konkretnym postaciom. Taka forma, choć może się wydawać nieprzejrzysta, pozwala na poczynienie pewnych ustaleń, które stają się później fundamentem konkretnych porozumień, jak chociażby mocno promowane przez Izrael i Stany Zjednoczone porozumienia abrahamowe. W ubiegłym roku na konferencji pojawił się Siergiej Ławrow, szef rosyjskich dyplomatów, a także minister spraw zagranicznych Turcji Mevlüt Çavuşoğlu i jego grecki odpowiednik Nikos Dendias. W przeszłości bywali tam palestyński prezydent Mahmud Abbas czy premier Wielkiej Brytanii Tony Blair.

Fakt, że Sikorski bierze udział w takim projekcie, z jednej strony może być szokujący, ale z drugiej świadczy o tym, że organizatorzy konferencji uznali go za postać istotną dla relacji ZEA i Unii Europejskiej. W końcu, chociaż Sikorski przekonuje, że nie należy łączyć jego funkcji europarlamentarzysty z udziałem w radzie doradczej konferencji, na jego profilu na stronie PE można przeczytać, że np. w listopadzie spotkania związane z Sir Bani Yas Forum odbywał jako deputowany. Skoro tak jest, to należy się przyjrzeć relacjom Unii Europejskiej ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, będącymi według tłumaczeń Sikorskiego „najbardziej liberalnym krajem Zatoki Perskiej".

> By funkcjonować w Emiratach, Amazon blokuje w swoich serwisach wyszukiwanie takich produktów jak flagi czy książki o tematyce queerowej.

Hipokryzja gwiazd Hollywood

Komentując doniesienia holenderskiej gazety „NRC", która pierwsza napisała o kontaktach Sikorskiego, Adrian Zandberg powiedział, że powinno to zakończyć wszelkie spekulacje, czy europarlamentarzysta zostanie ministrem spraw zagranicznych, i wymienił jednym tchem główne zarzuty wobec Zjednoczonych Emiratów Arabskich: karę więzienia za homoseksualizm, karę ukamienowania za zdradę małżeńską, brak wolności słowa. Mógłby jednak przytoczyć o wiele dłuższą listę, na której znalazłaby się kafala, system nazywany współczesnym niewolnictwem z powodu sposobu, w jaki wiąże zagranicznych pracowników ze sponsorami odpowiedzialnymi za ich wizę (pisałem o tym w PRZEGLĄDZIE nr 28/2021). Albo stosowanie tortur wobec więźniów czy porwania, po których znikają bez śladu dysydenci, a nawet obywatele obcych krajów.

Wolności nie mają nawet członkowie rodzin królewskich, o czym przekonały się dwie córki emira Dubaju, Muhammada ibn Raszida al-Maktuma, Latifa i Szamsa, które przebywają w izolacji, po tym jak próbowały zbiec od ojca. Gdy księżniczka Latifa z pomocą byłego oficera francuskiej marynarki w 2018 r. próbowała uciec z Dubaju (po raz drugi w życiu), rozegrały się sceny jak z filmu sensacyjnego. Na jacht, którym wypłynęła w morze, miał wedrzeć się oddział żołnierzy, spacyfikować wszystkich na łodzi, a księżniczkę skrępować i dostarczyć emirowi. Niektórzy przekonują, że cała historia została wymyślona jedynie po to, by zamieszane w nią osoby mogły wyłudzić pieniądze od szejka Muhammada, lecz rok później z Dubaju zbiegła też jego

eprasa.pl 2dbe3b5146

W ubiegłym roku na Sir Bani Yas Forum pojawił się m.in. minister spraw zagranicznych Turcji Mevlüt Çavuşoğlu.

żona, Haja bint Husajn, siostra jordańskiego króla Abd Allaha. Mediom tłumaczyła, że bała się o swoje życie.

Turystom pełen przepychu Dubaj może się jawić jako raj na ziemi, zwłaszcza jeśli uwierzyć takim spotom reklamowym jak ten z 2019 r., do którego zatrudniono hollywoodzkie aktorki Gwyneth Paltrow, Kate Hudson i Zoe Saldanę. Spot jest wręcz groteskowo sztuczny, ale szczytem hipokryzji jest fakt, że wymienione gwiazdy przedstawiają się jako sojuszniczki społeczności LGBTQ+, mimo to nie mają problemu z promowaniem kraju, który tę społeczność traktuje wrogo.

Zjednoczone Emiraty Arabskie w swoich kodeksach przewidują bowiem karę więzienia dla homoseksualistów, choć nie stosują jej bezpośrednio, co może być efektem starań o kreowanie wizerunku pasującego do oczekiwań zachodnich partnerów. Emiraty mogą być krajem dość liberalnym, jak na standardy regionu, ale ich obywatele wciąż są przywiązani do tradycji wynikającej z kultury i reguł islamu. Koran i hadisy, podstawowe źródła prawa islamskiego, mają jasne stanowisko wobec homoseksualizmu. Tradycyjne społeczeństwa Bliskiego Wschodu uznają go za dewiację, a tym samym obowiązujące normy prawne, nierzadko oparte właśnie na zasadach religijnych, nakazują go karać. Praktyka pokazuje jednak, że w ZEA od kilku lat nie zapadły wyroki więzienia dla homoseksualistów za to, kim są. Można pomyśleć, że to znaczący postęp, lecz w istocie karani są za inne przestępstwa i wykroczenia, takie jak „nieprzyzwoitość" czy „publiczna nagość". Co więcej, emirackie instytucje blokują strony internetowe i aplikacje, które skierowane są do społeczności LGBTQ+. Zachodnie biznesy decydują się zatem na autocenzurę, by funkcjonować w tym kraju. Na przykład Amazon blokuje w swoich serwisach wyszukiwanie takich produktów jak flagi czy książki o tematyce queerowej. Gdy w czerwcu zachodnia społeczność LGBTQ+ celebruje Pride Month, korporacje często zmieniają swoje logotypy na tęczowe, szczególnie w mediach społecznościowych. Wyjątkiem są logotypy na ich kontach z treściami przeznaczonymi dla odbiorców z regionu. Aktywiści przyłapali na takiej hipokryzji m.in. BMW, BP, Visę czy Bethesdę, choć lista jest znacznie dłuższa.

Nie oznacza to, że w ciągle rozwijającym się Dubaju społeczność LGBTQ+ nie istnieje. Należą do niej przede wszystkim zachodni rezydenci o wysokich kwalifikacjach. Według opublikowanych w 2021 r. w czasopiśmie „Geoforum" badań Ryana Centnera z London School of Economics i Manoela Pereiry Neta z Uniwersytetu Harvarda korzystają oni ze swojej pozycji finansowej i przywilejów jak z tarczy, która umożliwia im relatywnie swobodne wyrażanie ich seksualności, mimo że teoretycznie może im grozić więzienie lub deportacja i zakończenie lukratywnych kontraktów. Społeczność funkcjonuje dzięki zamkniętym imprezom organizowanym w luksusowych hotelach, dostępnych dla tych, którzy mogą sobie na to pozwolić.

W kwestii kamienowania za zdradę małżeńską prawo podpiera się tradycją religijną (ale nie Koranem, który nie zawiera takiego nakazu, w przeciwieństwie choćby do Tory). Wyroki ukamienowania zapadają, ale trudno znaleźć informacje o ich wykonaniu. W Emiratach preferowaną opcją wykonania kary śmierci jest rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny, natomiast bardzo rzadko się ją wykonuje. Ostatnią egzekucję odnotowano w 2017 r., choć nawet w kwietniu ub.r. na śmierć skazano 43-letnią Izraelkę palestyńskiego pochodzenia Fidę Kiwan. W jej przypadku przestępstwem miało być posiadanie niemal pół kilograma kokainy. Kiwan przekonywała, że narkotyki nie należały do niej i podłożono je w jej mieszkaniu. Po apelacji w czerwcu sąd zdecydował się zmienić karę na dożywotnie pozbawienie wolności.

Sojusznik Rijadu

Podejście państwa do praw człowieka na własnym terytorium samo w sobie może wywoływać pewną

FOT. HTTP://WWW.MFA.GOV.TR

eprasa.pl 2dbe3b5146

nieufność wobec takiego partnera w relacjach międzynarodowych, lecz emirowie nie ograniczają się do ojczystej ziemi. Zjednoczone Emiraty Arabskie mają ambicje zostać mocarstwem regionalnym, do spółki z saudyjskim sojusznikiem. Przejawem tej polityki jest zaangażowanie ich sił zbrojnych, wspieranych przez USA, w jemeński konflikt domowy, trwający już niemal od dekady. Ścierają się tam w wojnie zastępczej z Iranem, stojącym za szyickimi rebeliantami Huti. Rijad i Abu Zabi w tym konflikcie wspierają jemeńskie siły rządowe, prowadząc jednocześnie brutalne bombardowania. Według Yemen Data Project w ponad 25 tys. nalotów rannych lub zabitych zostało ponad 19 tys. cywilów. Saudyjsko-emiracki udział w wojnie nie przyniósł dotychczas znaczących sukcesów. W ubiegłym roku negocjatorom ONZ udało się wypracować zawieszenie broni, lecz nie zanosi się na trwały pokój. Obowiązująca rezolucja Rady Bezpieczeństwa nr 2216 z 2015 r. wzywa jedynie ruch Huti do wycofania się z zajętych terenów, ale dzisiaj zdaje się oczywiste, że nie zniknie on z Jemenu. Saudyjsko-emiracka koalicja po ustaniu walk straciła jednak wiarę we wspieranego dotąd prezydenta Abd Rabbuha Mansura Hadiego. Zastąpiono go siedmioosobową radą, której przedstawiciele reprezentują głównie interesy Saudyjczyków i Emiratczyków. Sam Hadi został umieszczony w areszcie domowym w Rijadzie.

Hollywoodzkie aktorki Gwyneth Paltrow, Kate Hudson i Zoe Saldana, które przedstawiają się jako sojuszniczki społeczności LGBTQ+, nie mają problemu z promowaniem kraju, który tę społeczność traktuje wrogo.

Unia Europejska mogłaby w tym konflikcie odegrać bardziej aktywną rolę, wywierać naciski na Rijad i Abu Zabi, by te ograniczyły wsparcie dla jednej ze stron, umożliwiając rozpoczęcie prawdziwego procesu pokojowego między Jemeńczykami. Niewykluczone, że takie właśnie stanowisko europejscy politycy wyrażają za zamkniętymi drzwiami podczas spotkań w rodzaju konferencji Sir Bani Yas Forum, choć trudno nam dojrzeć, co rzeczywiście dzieje się w tych miejscach.

Sportowy wybielacz

Relacje gospodarcze z państwami Półwyspu Arabskiego są dla Unii Europejskiej kluczowe, aczkolwiek traktowany do tej pory jako oczywisty sojusz Emiratów i Arabii Saudyjskiej z Zachodem okazał się dość chwiejny w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę. Oba państwa są kluczowymi producentami ropy naftowej i mają istotne związki z Moskwą poprzez kartel OPEC+, który ustala kwoty produkcji ropy, wpływając na cenę tego surowca na światowych rynkach. A zarówno Rijad, jak i Abu Zabi potrzebują funduszy na rozmaite projekty transformujące gospodarkę oraz na inwestycje, które zwiększają ich wpływy w Europie.

Jedną z najważniejszych operacji wizerunkowych tego typu było nabycie większości udziałów w City Football Group, holdingu będącym właścicielem klubu piłkarskiego Manchester City i licznych innych klubów (lub udziałów w nich) w Europie i Stanach Zjednoczonych. 81% udziałów w tym holdingu posiada Abu Dhabi United Group, należąca do szejka Mansura ibn Zajida an-Nahajjana, brata obecnego emira Abu Zabi.

Pieniądze płyną też na mocy umów sponsorskich od popularnych linii lotniczych Emirates, będących własnością rodziny królewskiej Dubaju, do licznych klubów piłkarskich, takich jak Arsenal FC, AC Milan czy Real Madryt. Firma nie ogranicza swojego portfolio do piłki nożnej i finansuje np. mistrzostwa świata w rugby oraz wydarzenia tenisowe (Australian Open, US Open czy French Open), jest poza tym globalnym partnerem wyścigów Formuły 1. Mniej znana, ale również luksusowa linia lotnicza Etihad z Abu Zabi także sponsoruje sportowców na całym świecie. Inwestycje w sport są o tyle ważne dla wizerunku Emiratów, że co roku gala Globe Soccer Awards, nagród przyznawanych przez Europejskie Stowarzyszenie Klubów, odbywa się w Dubaju i zjawiają się na niej największe gwiazdy piłki nożnej. W 2021 r. nagrodę Maradony odebrał tam Robert Lewandowski.

To pozwala na prezentowanie Emiratów jako nowoczesnego i dynamicznie rozwijającego się kraju. Monarchie Półwyspu Arabskiego chcą też dostosowywać się do nowych warunków, gdyż zdają sobie świetnie sprawę z tego, że ropa, na której zbudowały swoje bogactwo, kiedyś się skończy. A najlepszą lokatą na przyszłość jest mocniejsze związanie się umowami i strategicznym partnerstwem z innymi krajami. Nie tylko z Unią Europejską, ale i ze Wschodem, w tym z Moskwą. Dlatego warto wydać drobne 93 tys. euro na budowanie dobrej atmosfery. Może nam się to nie podobać, lecz naftowe monarchie po prostu starają się wykorzystać te zasoby, które umożliwiają im skuteczne prowadzenie polityki zagranicznej. Głównym zaś zasobem, jaki mają, są właśnie pieniądze.

Jakub Katulski

eprasa.pl 2dbe3b5146

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Trzymając diabła za ogon

Czy można żyć, trzymając diabła za ogon? Miłośnicy i znawcy horrorów odpowiedzą: bądźcie ostrożni, można srogo się zawieść i stoczyć w otchłanie, z których nie ma już powrotu. Są jednak i tacy, którzy udzielą odpowiedzi twierdzącej czy zgoła przekonywać będą, że istnieją korytarze, w których nieustannie snują się pokusy. Są to znawcy realiów polityki.

Zaznaczmy też: ten pogląd wcale nie musi wynikać z odkrywczej brawury – wystarczy przypomnieć sobie ewangeliczną scenę kuszenia i słowa Kusiciela, zapewniającego, że władza nad ziemskimi królestwami właśnie jemu została „dana i przekazana".

Czy ludzie władzy – politycy – zdają sobie sprawę z rozmiarów daniny, którą składać muszą na ołtarzu własnych ambicji? Diaboliczny aspekt polityki jest zagadnieniem przeświecającym nieustannie przez tkankę naszych najrozmaitszych interpretacji dotyczących władzy, historii, polityki.

Rzecz ciekawa, narodziny kultury wolności w dużej mierze wiązały się z podejrzliwością wymierzoną w triumfalne pasaże ludzkiej pychy, mającej źródła w ambicjach związanych z władzą. U zarania amerykańskiego eksperymentu, który ostatecznie doprowadził do narodzin demokracji – w okresie, gdy na mapie Ameryki wciąż jeszcze widniały brytyjskie kolonie – obecność diabła w świecie polityki traktowano z najgłębszą i pełną obaw powagą. Całe dynastie bostońskich kaznodziejów drążyły tę kwestię – nieustępliwi sygnaliści, jak dziś moglibyśmy powiedzieć, ostrzegali i apelowali: polityka jest ulubionym gospodarstwem diabła. On zaś jest mistrzem intrygi i omamienia – siewcą ułudy. „Ojcem kłamstwa", jak mówili w XVII w. mieszkańcy Nowej Anglii. Sprowadza naiwnych na złą drogę, sącząc swe podszepty, starając się ukryć zło pod pozorami dobra, pod osłoną szlachetnych z pozoru ambicji i wzniosłych nadziei. A przecież wszelkie ambicje mają w sobie konieczną dozę miłości własnej. Stąd już tylko krok do królestwa pychy i do miejsca, w którym na spragnionych sukcesu czeka równia pochyła.

Żur z kiełbasą też może uderzać do głowy.

W Ameryce rodziła się podejrzliwość wobec polityki, wobec ludzi władzy. Już w XVII w. powstała w Nowej Anglii rozprawa, której autor, John Cotton, ostrzegał przed ambicjami polityków. Nosiła on znamienny tytuł „On Limitation of Government" (O ograniczaniu władzy). Cotton wzywał: nie ufajmy „Bestii mówiącej o wspaniałościach". Wielkie słowa rozpalają płomień ludzkiej pychy, na tym polegają diabelskie fortele. Puenta Cottona była następująca: „Należy dążyć do tego, by wszelka władza na ziemi była ograniczona". Podejrzliwość stała się znamiennym rysem amerykańskiego porządku wolności, jedną z dźwigni, które ostatecznie uruchomiły mechanizm checks and balances (kontroli i równowagi).

W miarę upływu czasu zmieni się oczywiście styl namysłu i styl obrazowania – polityk kaznodziejów odziany w suknie diabelskie ustąpi miejsca „cezarom" nowoczesności, o których mówił Max Weber. W sposób najbardziej sugestywny diaboliczny wątek rozwinął Weber w słynnym wykładzie „Polityka jako zawód i powołanie". Mówił: „Dawni chrześcijanie wiedzieli bardzo dokładnie, że świat jest rządzony przez demony i że kto obcuje z polityką, to znaczy używa władzy i przemocy jako środków, ten zawiera pakt z mocami diabelskimi". Otóż to – przed nami monumentalny temat perfidnych pokus związanych z władzą. Obserwatorów szaleństwa ukrytego w fałdach ludzkich ambicji było wielu – purytańscy kaznodzieje, Weber, oczywiście Goethe i Mann.

My zachowujemy niewinność – nie mieliśmy Tomasza Manna. Nie zaglądamy na dno studni, ale wypada wyzbyć się przekonania, że nasza swojskość stanowi osłonę przed diabolicznymi fanaberiami. Żur z kiełbasą też może uderzać do głowy. Skromność (rzekoma) jest jednym z ulubionych przebrań Prowokatora. A całkiem serio – wiemy, widzimy, że nasza polityka nasycona jest kłamstwem. Zmienia się nieuchronnie w widowisko perwersyjnego zakłamania, w wielkie szalbierstwo przepojone miazmatami iluzji.

Jak to wszystko może się skończyć? Zajrzyjmy na moment do Bułhakowa – w „Mistrzu i Małgorzacie" jest przepyszna scena rozgrywająca się w teatrze Variétés – popis czarnej magii. Z sufitu sypią się pieniądze, magicy otwierają na scenie „damski sklep". Paryskie sukienki, jedwabne pończochy, wykwintne pantofelki. Zdumienie i radość – obfite dary. I nagle… wszystko pękło jak bańka mydlana. Już po występach trupy Wolanda, na ulicy, szykowne stroje ulotniły się, pozostawiając uczestniczki pokazu, ku ich wstydowi i rozpaczy, w bieliźnie. Pieniądze zmieniły się w skrawki papieru.

Diabeł przechadzał się po Moskwie, czy mamy pewność, że nie zaglądał do Warszawy? Zakończmy apelem: Towarzyszki i Towarzysze, po pończochy należy udać się do sklepu, a nie do teatru. Przed wyborami warto być może o tym pomyśleć.

Prof. Stanisław Filipowicz – historyk myśli politycznej i prawnej, członek rzeczywisty PAN, wiceprezes PAN (2019-2022). Związany z Wydziałem Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UW. Autor książek i podręczników, takich jak „Historia myśli polityczno-prawnej", „O władzy grzechu i grzechach władzy. Rozważania o rodowodzie amerykańskiego antyutopizmu", „Pochwała rozumu i cnoty. Republikańskie credo Ameryki", „Demokracja. O władzy iluzji w królestwie rozumu", „Prawda i wola złudzenia".

eprasa.pl 2dbe3b5146

Wina białego człowieka

Każdy turysta mówi, że chciałby w RPA zamieszkać. Ja marzę, żeby stąd wyjechać. Dokąd? Gdzieś, gdzie chociaż prąd miałabym bez przerw

Mateusz Mazzini
Korespondencja z Republiki Południowej Afryki

Przejazd bulwarem Nelsona Mandeli nie jest ani specjalnie skomplikowany, ani przesadnie atrakcyjny. Nie da się go jednak za bardzo ominąć, gdy wjeżdża się do centrum Kapsztadu. To część wielkiej, kilkupasmowej obwodnicy, na której – jak na taką metropolię – w wieczornych godzinach o tej porze roku ruch jest raczej skromny. Trwa południowoafrykańskie lato, a dokładniej – jego turystyczny szczyt, przypadający zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Te zaś, nawet zredukowane do popkulturowego ornamentu, są w RPA mało widoczne. Sporadycznie gdzieś w hotelowym lobby stoi jeszcze choinka, taksówkarz na pożegnanie rzuci: „Niech Bóg nad Tobą czuwa w te święta". Przy temperaturze plus dwudziestu kilku stopni i wietrze kradnącym czapki łatwo zapomnieć, że Europa w tej chwili przebija się przez zero na termometrze.

Kto przybywa tu pierwszy raz, może myśleć, że ulica nosząca imię noblisty, ojca współczesnego wielorasowego społeczeństwa RPA powinna się znajdować w centrum miasta. Tymczasem prowadzi mnie ona monotonnym szlakiem z lotniska do hotelu. Jak później się przekonam, to w tym kraju podstawowa zasada symboliki przestrzennej. Zjeżdżając sporą jego część w kolejnych tygodniach, w każdym większym mieście natknę się na autostradopodobne serpentyny nazwane na cześć bohaterów transformacji i antyapartheidowego ruchu oporu. Na rogatkach Johannesburga czy Pretorii podobnie jak w Kapsztadzie witać mnie będą czarnoskóra aktywistka Albertina Sisulu, były szef Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) Oliver Tambo, ostatni przywódca czasów segregacji rasowej Frederik de Klerk czy kilkukrotnie sam Mandela.

Mandela łączy

Choć od upadku apartheidu minęły już trzy dekady, a ANC, partia Mandeli i innych supergwiazd opozycji, sprawuje od tego czasu władzę w kraju bez przerwy, nie da się współczesnych, licznych problemów RPA rozpatrywać z pominięciem kwestii nierówności rasowej. Z wielu przyczyn, począwszy od tych najbardziej błahych, takich jak europocentryczna w dalszym ciągu wersja historii czy powszechna dostępność skomercjalizowanych symboli dominacji białych nad czarnymi, zarówno z czasów apartheidu, jak i wcześniejszych lat, gdy ziemie te podzielone były pomiędzy brytyjskie władze kolonialne i niezależne republiki burskie, założone przez niechętnych wyspiarskim metodom zarządzania krajem potomków osadników z Holandii. Kolonializm może jest już pieśnią przeszłości, a Tęczowy Naród, jak dziś nazywa się obywateli RPA, próbuje powoli budować swoją tożsamość na pojednaniu i patrzeniu w przód, a nie w tył, lecz nie ma co udawać, że kolor skóry i pochodzenie przestały się liczyć.

Jedną z niewielu rzeczy, które mimo wszystko ludzi tu łączą, jest właśnie Mandela. Nie tylko z powodu jego globalnej rozpoznawalności, ale i dzięki temu, najzwyczajniej w świecie, że na jego wizerunku można zarobić. Bo noblista jest tu dosłownie wszędzie, nie zawsze w należnym majestacie. Można jechać bulwarem jego imienia, spotkać się na jego placu, kupić magnes w kształcie jego twarzy. Tyle Kapsztad.

Johannesburg popkulturowy kult jednostki wyniósł na wyższy poziom. Imieniem Mandeli nazwał zamknięty dziedziniec największego kompleksu handlowego na kontynencie afrykańskim. Otoczony z czterech stron relatywnie drogimi restauracjami i wejściami do butików, wita turystów szerokim, rozpoznawalnym chyba wszędzie uśmiechem byłego prezydenta. Dalej jest jeszcze lepiej, bo poustawiane w ciągach komunikacyjnych naturalnej wielkości figury Mandeli i jego drugiej żony, Winnie, wyglądają tak prawdziwie, że omyłkowo można by je zapytać o drogę do toalety w tej świątyni późnego kapitalizmu.

> Kolonializm może jest pieśnią przeszłości, ale nie ma co udawać, że kolor skóry i pochodzenie przestały się liczyć.

Cała sytuacja jest tym bardziej groteskowa, że ustawione są one obok sklepu o wiele mówiącej nazwie Presidential, w którym kupić można, a jakże, kurtki z konturem twarzy Mandeli albo typowe dla jego stylu luźne koszule w krzykliwych kolorach. Z jednej strony, nie ma co się zżymać na taką komercjalizację jego wizerunku, to proces zachodzący pod każdą szerokością geograficzną. W Gdańsku przecież także nietrudno o koszulkę czy magnes z twarzą Wałęsy.

eprasa.pl 2dbe3b5146

Z drugiej, ani Lech, ani Danuta nie witają jeszcze klientów przed trójmiejskimi (czy jakimikolwiek innymi) fastfoodami.

Ta najnowsza historia RPA jest autentycznie wszechobecna, bo przedstawiciele właściwie wszystkich stronnictw, z wyjątkiem gasnącej, rasistowskiej, skrajnej prawicy, są z niej bardzo dumni. Na ślad dalszej przeszłości natrafić w Kapsztadzie bardzo trudno, ale jeśli już się pojawi, przybyszów z Europy może wprawić w kulturowy szok. Jedną z głównych atrakcji miasta, wymienianą w przewodnikach czy rekomendacjach od miejscowych, jest Company Garden, Ogród Kompanii, dawniej należący do Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, najważniejszego gracza w kolonialnej historii tych ziem. To przepiękny, dobrze utrzymany park publiczny, na brytyjską modłę otoczony płotem i zamykany na noc. Nazwy nikt mu nie zmienił, mimo że to Kompania przyniosła na te tereny handel niewolnikami, podbijając ziemię rdzennych mieszkańców przylądka i trwale zmieniając jego demografię. W dodatku w środku parku stoi pomnik Cecila Rhodesa, człowieka instytucji w procesie kolonialnego podboju Afryki przez Brytyjczyków. Tu się uchował, stoi w najlepsze, wznosząc prawą rękę w geście niebezpiecznie przypominającym salut rzymski. Choć od prawie dekady jego podobizny, symbole przemocy i opresji na tle rasowym, sukcesywnie są usuwane z przestrzeni publicznej – jak chociażby z nieodległego kampusu University of Cape Town – temu Rhodesowi nic się nie stało.

Historia tych, których Kompania, Rhodes i im podobni zakuli w kajdany, opowiedziana jest kilkaset metrów dalej, w sposób mniej majestatyczny. Slave Lodge, dawny budynek należący do holenderskich kolonizatorów, dziś muzeum, w metodyczny sposób prowadzi zwiedzających przez chronologię wydarzeń z dziejów Afryki, ale też pokazuje procesy, które ją ukształtowały.

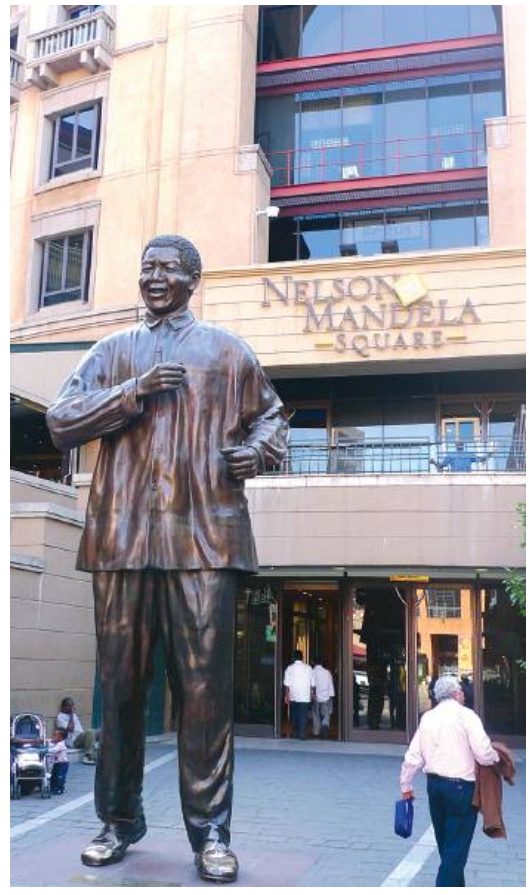

Sześciometrowy pomnik Nelsona Mandeli w Johannesburgu.

Miejsce to jest jednym z najstarszych w Kapsztadzie, powstało de facto jako magazyn, z tym że „przechowywani" w nim byli ludzie. Slave Lodge jednocześnie zamieszkiwało – aczkolwiek słowo to wydaje się nadużyciem – nawet 900 osób, których Kompania ściągała tu przed sprzedażą na targu niewolników na dziedzińcu. Dlatego na ścianach całego budynku wymalowano równoległe osie czasu: rozwoju cywilizacji ludu Khosa, głównej grupy etnicznej zamieszkującej środkową część dzisiejszej RPA przed przybyciem Europejczyków, przebiegu kolonizacji i wojen autochtonów z przybyszami oraz rozwoju globalnego handlu niewolnikami. Ta ostatnia jest być może najważniejsza, jeśli chce się zrozumieć dzisiejszą Afrykę Południową.

Większość niewolników, w tym niegdysiejsi rezydenci Slave Lodge, z południowym krańcem Afryki nie miała pierwotnie nic wspólnego. Lokalne plemiona – zwłaszcza Zulusi, z którymi Europejczycy bili się w pierwszej połowie XIX w. w głębi kraju – były nad wyraz sprawne w walce i niespecjalnie skłonne handlować szklanymi paciorkami w zamian za darmową dla białych siłę roboczą. Dlatego Burowie, jak z czasem zaczęli się nazywać potomkowie holenderskich emigrantów, sprowadzali niewolników, skąd tylko się dało. Z Zanzibaru, Mozambiku, Somalii, ale też innych posiadłości kolonialnych, w tym Republiki Batawskiej, pokrywającej sporą część dzisiejszej Indonezji i będącej kluczowym ośrodkiem handlowym dla holenderskiego imperium. Między innymi stąd wzięli się tzw. Koloredzi, druga najliczniejsza obecnie grupa etniczna w RPA. Czarnoskórych mieszkańców jest 80%, białych 8,4%. Niemal 9% stanowią potomkowie małżeństw mieszanych, których zbiorczo wrzuca się do tej jednej, koloredzkiej kategorii. Ich przodkowie przybyli tu z Indii, Chin, Indonezji, Mauritiusu czy Madagaskaru. Na różnych etapach historii kraju mieli różny status społeczny, w czasach apartheidu każdy z takich przypadków rozpatrywano oddzielnie, nadając mu odpowiednią klasyfikację rasową.

Polski ślad

W Slave Lodge jest też polski ślad. Ponieważ oś opisująca wydarzenia w RPA dochodzi aż do transformacji ustrojowej i upadku segregacji rasowej oraz wczesnych lat demokracji, po raz pierwszy w czasie mojego pobytu tutaj widzę nazwisko Janusza Walusia. Ten polski emigrant przeszedł do miejscowej historii jako wykonawca zamachu na Chrisa Haniego, nazywanego wówczas trzecią najważniejszą osobą w ruchu opozycyjnym. Waluś zastrzelił Haniego przed jego domem, na spokojnym osiedlu klasy średniej w miasteczku Boksburg, 10 kwietnia 1993 r. W różnych miejscach w RPA przeczytam jeszcze o Walusiu łącznie kilkunastokrotnie, za każdym razem jednak narracja będzie nieco inna. Oprócz tego, że błędy w nazwisku utrudniają jego identyfikację, bywa on opisywany

eprasa.pl 2dbe3b5146

jako „ekstremista", „radykał", „rasista", a czasami neutralnie – „emigrant", „przedsiębiorca".

Z kolei w Muzeum Apartheidu w Johannesburgu, gdzie w ekspozycji stałej pojawia się aż siedem razy, w pewnym momencie nazwany został „polskim neonazistą". W rzeczywistości, co wnikliwie opisał Cezary Łazarewicz w poświęconej życiu Walusia książce „Nic osobistego", sprawa przedstawiała się znacznie bardziej prozaicznie. Był on po prostu emigrantem zarobkowym, który z PRL, via Wiedeń, uciekł do RPA – głównie dlatego, że nienawidził komunistów. Nie za kwestie tożsamościowe czy ideologiczne, ale za nieustanne przeszkadzanie jemu i jego rodzinie w prowadzeniu prywatnych biznesów. Zradykalizował się już tutaj, na miejscu, głównie pod wpływem Clive'a Derby'ego-Lewisa, lidera nowo powstałej wówczas Partii Konserwatywnej, świeżej siły na afrykanerskiej prawicy, robiącej wszystko, by zatrzymać proces upadku apartheidu i przyznania czarnym pełni praw wyborczych.

Sukcesem afrykanerskich nacjonalistów, renegatów z rządzącej krajem w czasach apartheidu Partii Narodowej, wówczas już dla nich zbyt mało rasistowskiej i zbyt koncyliacyjnej, było przekonanie Walusia, że Hani i Mandela zaprowadzą w RPA komunizm. A na to on nie mógł pozwolić. Zastrzelił więc Haniego z broni, którą dał mu Derby-Lewis. Najwięcej o jego stosunku do tego morderstwa mówił jednak cytat z rozprawy – Waluś zapytany, dlaczego nie zastrzelił też kobiety, która była świadkiem zamachu i spisała numery rejestracyjne jego samochodu, odparł, że nie zrobił tego, bo „nie jest mordercą". Widać, zabicie Haniego nie oznaczało dla niego zakończenia życia innego człowieka.

Korupcja, czyli polityka

Dopiero po wizycie w Slave Lodge sensu nabiera skład etniczny Kapsztadu. To tutaj i w okalającej go dawnej Prowincji Przylądkowej Zachodniej najwięcej jest wspomnianych Koloredów. Stanowią tu najliczniejszą grupę, czarnych spotyka się na ulicach niewielu, nawet dalej od bogatszych, centralnych dzielnic. Jeśli już się pojawiają, to często są uchodźcami, bo RPA stała się w ostatnich latach coraz popularniejszym kierunkiem dla tych, którzy uciekają przed wojną, zmianami klimatycznymi i kryzysem.

Wokół Stellenbosch produkuje się najwięcej wina, same winnice to zresztą główna atrakcja dla turystów.

Większość mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej kieruje się na północ, do Europy, ale rośnie liczba tych, którzy ciągną na południe – głównie z Etiopii, Somalii, Sudanu i Konga. Oficjalne dane UNHCR mówią o 1,1 mln uchodźców na terenie kraju, ale realne liczby mogą być wyższe nawet o kilkaset tysięcy. Udają się oni najczęściej do wielkich miast, gdzie trafiają do *townships* – gigantycznych osiedli biedy, w których brakuje podstawowej infrastruktury, a rządzi często zorganizowana przestępczość. Bywają również ofiarami afrofobii, prześladowań z powodu ich narodowości i koloru skóry, nierzadko ciemniejszej niż miejscowych.

Migrantów nie chce tutaj wielu ludzi, z władzą na czele, bo ta dawno porzuciła powszechne kiedyś w ANC idee panafrykanizmu, dryfując w kierunku populistycznych haseł i protekcjonizmu gospodarczego. Tu, w Kapsztadzie, uchodźców widać przede wszystkim w okolicach stacji kolejowej. I niestety ich obozowisko nie różni się niczym od tych, w których koczują na północy Paryża, w Calais czy na Sycylii. Kilka namiotów i śpiworów to jedyne trwałe obiekty w masie śmieci i gruzu, w której tu żyją. A bulwar Nelsona Mandeli, świeckiego świętego wszystkich czarnych mieszkańców Afryki, zaczyna się raptem kilkaset metrów dalej.

Im dalej w głąb prowincji, tym silniejsze można odnieść wrażenie, że segregacja rasowa w jakiejś formie panuje tu w dalszym ciągu. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Kapsztadu są bowiem miasta, które z miejsca mogłyby zostać wykorzystane jako plan filmowy produkcji kostiumowych umieszczonych w czasach kolonializmu. Tak jest w Kirstenbosch, gdzie mieści się piękny ogród botaniczny i w którym w czasie dwugodzinnej przechadzki można nie spotkać ani jednej czarnej osoby, i przede wszystkim w Stellenbosch.

To miasteczko tak wypolerowane, że wygląda na nierealne. Założone w 1679 r. przez burskiego gubernatora prowincji, Simona van der Stela, pełne jest pastelowych budynków rodem z filmów Wesa Andersona. Konstrukcje są tu najwyżej kilkupiętrowe, jedną z najwyższych jest akademik miejscowego uniwersytetu. Trwa przerwa semestralna, kampus jest pusty, podobnie jak całe Stellenbosch. Jednopiętrowe pensjonaty zamiast wielkich hoteli, domy bez drutu kolczastego czy prywatnej ochrony, knajpy z ogródkami otwartymi do późna – więcej w tym Europy niż krajobrazu typowego dla RPA. Lokalne jest tylko wino, bo wokół Stellenbosch produkuje się go najwięcej. Winnice to zresztą główna atrakcja dla turystów, nawet tych niepijących. Chociażby Vergelegen, dawna posiadłość

FOT. SHUTTERSTOCK, MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 2dbe3b5146

rodziny van der Stel, gdzie oprócz dwóch restauracji, ciągnących się po horyzont krzewów winorośli, biblioteki, archiwum i stajni jest budynek mieszkalny, dziś przerobiony na muzeum. A w nim zdjęcia Mandeli z Billem Clintonem i królową Elżbietą II. Brakuje natomiast wzmianek o niewolnikach, których praca pozwoliła van der Stelowi i jego potomkom zbudować ten raj na ziemi, wyglądający jak udany przeszczep Oksfordu na grunt afrykański.

Im dalej na wschód kraju, tym mniej romantycznego postkolonialnego krajobrazu, który zmienia się w obszar walki o przetrwanie, często dosłownie. Tematem numer jeden w rozmowach mieszkańców RPA jest teraz *loadshedding*, skomplikowane pojęcie określające po prostu przerwy w dostawach prądu. Tutejszy monopolista energetyczny, firma Eskom, operuje mocno przestarzałą infrastrukturą, a popyt na prąd znacznie przewyższa podaż. W związku z tym cały kraj raz energię ma, raz jej nie ma. I nie jest to przesadą, bo przerwy w dostawach zdarzają się nawet kilka razy dziennie, często są nie do przewidzenia. W dużych miastach i na bogatych, strzeżonych osiedlach nie stanowi to problemu, bo hotele, banki czy instytucje państwowe mają najczęściej własne generatory. Jadąc samochodem na wschód, usłyszę w radiu, że w kończącym się wtedy roku 2022 przeciętne gospodarstwo domowe miało w RPA 80 dni z przerwami w dostawach zasilania. Kiedy później wspomnę tę liczbę w rozmowie przy kawie z jedną z towarzyszek podróży, zostanę wyśmiany. Bliższe prawdy okaże się 200 dni, choć moja rozmówczyni twierdzi, że niepełne dostawy energii ma codziennie od półtora roku. A rozmowę ze mną zakończy słowami: – Każdy turysta mówi, że chciałby w RPA zamieszkać na stałe. Ja marzę, żeby stąd wyjechać. Dokąd? Gdzieś, gdzie chociaż prąd miałabym bez przerw.

Drugim najważniejszym tematem jest tu korupcja, która dla wielu stała się po prostu synonimem polityki. ANC jest nią tak przeżarty, że nikt, nawet liderzy partii, nie udają, że chodzi im o reprezentowanie obywateli, najważniejsze jest rozdawanie synekur i pilnowanie, by regionalne frakcje mogły realizować swoje interesy. Sylwestrowe wydanie „Sunday Timesa", największego dziennika w kraju, tematom korupcyjnym poświęciło aż osiem stron. Połowę zajęła dość zabawna w tym kontekście publicystyczna futurologia. Dziennikarze snuli scenariusze polityczne dla kraju na 2023 r. Wymyślili trzy, różniące się od siebie tylko tym, jak wielu polityków ANC okaże się zamieszanych w skandale korupcyjne. Z obecnym prezydentem Cyrilem Ramaphosą na czele. Głowa państwa wciąż w przekonujący sposób nie wytłumaczyła się z 600 tys. dol. w gotówce, znalezionych przypadkiem w sofie w jego letniej rezydencji. Ramaphosa nie wytłumaczył się mediom ani wyborcom, członkom ANC już tak, bo ci w grudniu, wbrew eksperckim przewidywaniom, wybrali go ponownie na lidera partii.

Jak przystało na kraj tak ogromny i zróżnicowany, mieszkańcy RPA mają problemy wspólne, przede wszystkimkorupcję czy *loadshedding,* ale i lokalne. I tak na wschodzie, przy granicy z Mozambikiem, mówi się głównie o kłusownikach działających na zlecenie azjatyckich mafii oraz o chińskiej ekspansji w Afryce. W Pretorii pomruk niezadowolenia wzbudza wciąż pomnik Wielkiego Treku, gigantyczna struktura upamiętniającą ekspansję Burów w głąb terytorium Zulusów, która w środku ma wystawę gloryfikującą kolonistów i robiącą z nich podwójne ofiary: brytyjskiego prześladowania i zuluskiej przemocy. W Johannesburgu to z kolei paniczny wręcz strach przed przebywaniem w jakiejkolwiek przestrzeni publicznej wywołany napadami rabunkowymi. Kiedy po przyjeździe tam zapytam recepcjonistę w hotelu, którą trasą przespacerować się na oddalony o 800 m Mandela Square, on, przerażony, odpowie: – Hotel pana zawiezie, mamy specjalny autobus. Oczywiście za darmo. Nie rekomendujemy spacerów i chyba nie muszę panu tłumaczyć dlaczego.

Im dalej w głąb prowincji, tym silniejsze można odnieść wrażenie, że segregacja rasowa panuje tu w dalszym ciągu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

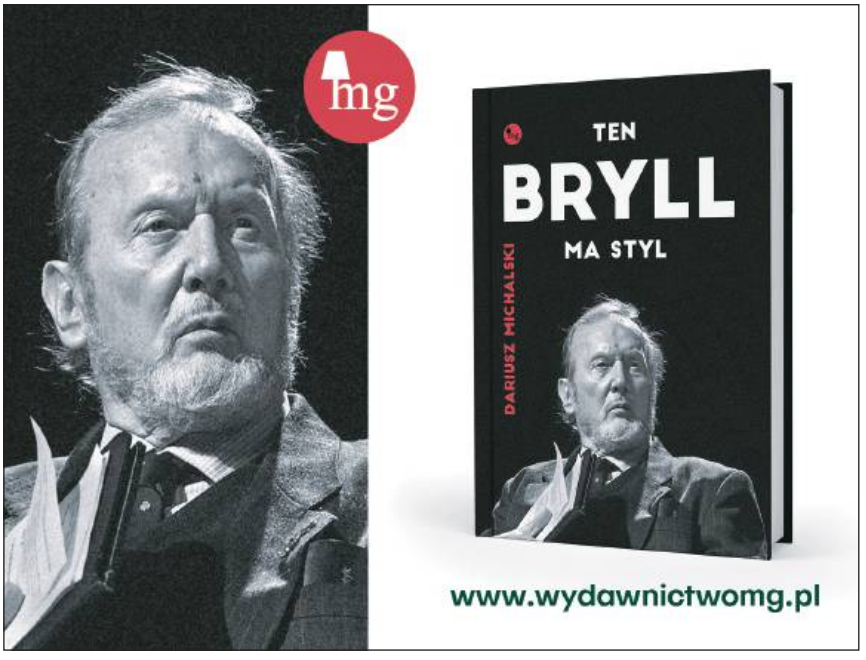

eprasa.pl 2dbe3b5146

Marcin Ogdowski

Zrobieni w balona

Obiektów zestrzelonych nad USA nie wysłali obcy. Głos w sprawie zabrał nawet Biały Dom

Słowa pilota z udostępnionej korespondencji radiowej brzmiały jak w filmie science fiction. „Balonem bym tego nie nazwał. Nie wiem czym. Widzę to na własne oczy. Wygląda na coś…", skonfundowany lotnik zawiesił głos. „Jakiś przedmiot, taki rozdęty… Trudno powiedzieć jaki. Jest dość mały", opisywał siedzący za sterami myśliwca F-16 Amerykanin. Chwilę później – zgodnie z rozkazem – posłał w stronę „rozdętego czegoś" rakietę. Tego samego dnia, w niedzielę 12 lutego br., Pentagon poinformował o zestrzeleniu czwartego obiektu latającego, licząc od początku miesiąca, który wdarł się w przestrzeń powietrzną USA. Do zdarzenia doszło nad jeziorem Huron (na granicy z Kanadą). Cel, jak wynika z oficjalnego komunikatu, poruszał się na wysokości ponad 6 km. Miał „ośmiokątną strukturę ze zwisającymi sznurkami, ale bez dostrzegalnego ładunku". Wykryto go wcześniej, nad Montaną, i uznano za zagrożenie dla ruchu lotniczego – stąd decyzja o zestrzeleniu.

Ziemianie odetchnęli

Amerykański internet – a za nim sieci społecznościowe na całym świecie – spuchł od domysłów i teorii spiskowych. Spośród szalonych spekulacji największą popularnością cieszyły się twierdzenia o rychłej inwazji obcych. Tylko pierwszy strącony obiekt władze Stanów Zjednoczonych uznały za chiński balon szpiegowski – pochodzenie reszty pozostawało tajemnicą. Lapidarny komunikat sił powietrznych USA – „nie wiemy, co to jest" – dolał oliwy do ognia. „Rząd próbuje coś ukryć!", ostrzegano się głównie na Twitterze, a panikarskie nastroje podkręcane były doniesieniami o kolejnych „dziwnych balonach" obserwowanych w innych krajach (co ostatecznie w miażdżącej większości okazało się wyssanymi z palca bzdurami). W tej narracji trzęsienie ziemi w Turcji i Syrii nie było przypadkowe – wywołali je obcy, testując możliwości własnej technologii militarnej przed generalnym uderzeniem. Co ciekawe, ów kataklizm nieco wcześniej tłumaczono próbami „broni geofizycznej HAARP", znajdującej się rzekomo w arsenale amerykańskiej armii.

Gorączkowe nastroje w sieci – podsycane przez część tradycyjnych mediów – zmusiły Waszyngton do reakcji. „Wiem, że pojawiły się pytania i obawy w tej sprawie, ale ostatnie zestrzelenia nie mają związku z obcymi czy pozaziemską aktywnością", zapewniała 13 lutego na briefingu Karine Jean-Pierre, rzeczniczka Białego Domu.

Również John Kirby z Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy amerykańskim prezydencie odniósł się do sytuacji: „Nie sądzę, by Amerykanie musieli się martwić o kosmitów w odniesieniu do tych statków. Kropka". Dzień później wrócił do tematu. Powiedział, że nie ma wątpliwości co do chińskiego pochodzenia balonu zestrzelonego 4 lutego u wybrzeży Karoliny Południowej. A jeśli chodzi o trzy pozostałe obiekty, ostateczne wnioski będzie można wysnuć po wydobyciu szczątków spoczywających w zamrożonych wodach Oceanu Arktycznego, w górzystym Jukonie i na dnie jeziora Huron. „Ale wywiad jest zdania, że były to po prostu balony powiązane z jakimś komercyjnym celem. Na pewno nie należały do rządu USA i obecnie nic nie wskazuje na powiązanie z chińskim programem balonów szpiegowskich". Ziemianie odetchnęli z ulgą.

> W zeszłym roku świat obiegły informacje o 140 niezidentyfikowanych obiektach, z którymi zetknęli się amerykańscy piloci wojskowi w ciągu 17 lat.

Szok jak po Sputniku

Z sondażu Pew Research Center z 2021 r. wynika, że aż 65% Amerykanów wierzy w istnienie inteligentnego życia na innych planetach. Wedle badań YouGov z 2022 r. co trzeci obywatel USA (34%) uważa, że niezidentyfikowane obiekty latające (Unidentified Flying Object, UFO) to statki obcych. Szukając innych powodów opisanego wzmożenia, wskażmy działalność agencji rządowych i władz. Nie dalej jak w styczniu tego roku Wywiad Narodowy USA odtajnił raport poświęcony niezidentyfikowanym zjawiskom powietrznym (Unidentified Aerial Phenomena, UAP). Odnotowano w nim, że w latach 2004-2022 stwierdzono 510 przypadków obserwacji UAP, spośród których 171 uznano za wymagające dalszych analiz. W zeszłym roku, po raz pierwszy od półwiecza, w Kongresie doszło do wysłuchania publicznego w sprawie UAP. Świat obiegły wtedy informacje o 140 niezidentyfikowanych obiektach, z którymi zetknęli się amerykańscy piloci wojskowi w ciągu minionych 17 lat.

Temat UAP/UFO regularnie wraca do mediów głównego nurtu w Stanach. Jak pisze Peter Bergen, analityk bezpieczeństwa pracujący dla szacownej CNN, „Amerykanie mają prawo wiedzieć, dlaczego w naszej przestrzeni powietrznej latają obiekty, których Pentagon i społeczność wywiadowcza nie potrafią zidentyfikować".

eprasa.pl 2dbe3b5146

Wydobycie balonu zestrzelonego 4 lutego br. u wybrzeży Karoliny Południowej. Pozostałe trzy obiekty spoczywają w wodach Oceanu Arktycznego.

Jest jeszcze jedno wyjaśnienie nieco panikarskich nastrojów, będących następstwem wykrycia balonów – związane nie z kosmitami, ale z kosmosem. Wystrzelenie przez ZSRR Sputnika w 1957 r. wywołało w Stanach powszechny szok. Okazało się wówczas, że Rosjanie, których nie podejrzewano o możliwość zagrożenia „bezpiecznemu amerykańskiemu niebu", wysłali w przestrzeń nad Ziemią aparat teoretycznie zdolny do przenoszenia ładunku jądrowego. „Jesteśmy odkryci i bezbronni!", alarmowała prasa. W 2023 r. pojawiające się nagle balony – w dodatku jeden za drugim w dość krótkim czasie – zrodziły podobne obawy, demolując ponownie przekonanie o nienaruszalności „naszego nieba".

Przekonanie naiwne, gdyż obiekty tego typu – przede wszystkim meteorologiczne, ale ich szpiegowskiego charakteru nie sposób wykluczyć bez dokładnego zbadania konkretnego urządzenia – nie uznają granic przestrzeni powietrznych. Wysyłane przez jeden kraj, wlatują, celowo bądź nie, nad inny – zwykle jednak tego nie widzimy. Balony obserwacyjne operują poza zasięgiem nieuzbrojonego oka, gdy mowa o szpiegowskich, jest to zwykle wysokość 30-35 km. Balon strącony 4 lutego z jakichś powodów zszedł na pułap o połowę niższy, więc dało się go zobaczyć. Kolejne trzy leciały jeszcze niżej, a w ich wykryciu pomogło – jak to ujął John Kirby – „większe wyczulenie radarów", przestrojonych, gdy wędrujący nad Stanami „chińczyk" stał się narodową sensacją.

Bliżej i dłużej

„Chiński balon zestrzelony u wybrzeży Karoliny Południowej był częścią dużego programu obserwacji i nadzoru, który Chiny prowadzą od lat", mówił kilka dni temu Pat Ryder, sekretarz prasowy Pentagonu. Zdaniem amerykańskich służb ów program obejmuje nie tylko USA, ale także ponad 40 krajów w basenie Morza Wschodniochińskiego i przede wszystkim Południowochińskiego, do którego Pekin rości sobie pretensje, uznając je za własne. Waszyngton zaś ma tam kilku bliskich sojuszników i „żywotne interesy". Tylko dlaczego Chiny, dysponujące 250 systemami satelitarnymi, sięgają po tak archaiczne rozwiązanie?

Balony szpiegowały „od zawsze". Amerykanie, nim wprowadzili do użytku wysokościowy samolot rozpoznawczy U-2 (w służbie od połowy lat 50. XX w. do dziś!), posyłali nad Związek Radziecki właśnie „dmuchanych szpiegów". Kreml głośno protestował, a efekty wywiadowcze były marne – w tamtych czasach urządzenie musiało wrócić z informacją/trafić z nią w bezpieczny rejon, bo zdalny przesył dopiero raczkował. A że terytorium ZSRR było rozległe, USA ostatecznie porzuciły tę praktykę. Współczesne balony nadal cechuje podstawowa wada ich poprzedników – ograniczona sterowalność i podatność na wiatry. Lecz naszpikowane nowoczesną technologią – wyposażone w kamery, aparaturę rejestrującą aktywność radiową i telekomunikacyjną, jak również panele słoneczne, które umożliwiają długie funkcjonowanie tego sprzętu – mają zasadniczą przewagę nad satelitami. Są kilku-kilkunastokrotnie bliżej obserwowanych obiektów i mogą nad nimi przebywać dłużej, w efekcie pozwalają zobaczyć więcej.

A co chciał zobaczyć chiński balon nad USA? Sądząc po oficjalnych publikacjach ośrodków badawczych armii ChRL, balony świetnie się nadają do testowania obrony przeciwlotniczej potencjalnych przeciwników. Urządzenie może „indukować i mobilizować systemy defensywne, stwarzając warunki do realizacji rozpoznania elektronicznego, oceny zdolności wczesnego ostrzegania systemów obrony powietrznej i zdolności reagowania operacyjnego". Tyle teorii. Balon zestrzelony 4 lutego wcześniej leciał m.in. nad Montaną, gdzie znajdują się baza lotnicza i wyrzutnie międzykontynentalnych pocisków balistycznych, stanowiących element amerykańskiej triady nuklearnej.

Incydent nad wyspą Hajnan

Chiny nie wyparły się pierwszego strąconego balonu. Pekin zapewnił, że to aparat meteorologiczny, który niefortunnie „wyrwał się" nad USA. Amerykańską reakcję określił zaś mianem nieadekwatnej. Nieco ponad tydzień po incydencie Wang Wenbin, rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych ChRL, oskarżył z kolei Stany Zjednoczone o naruszenie chińskiej przestrzeni powietrznej – także przy

FOT. U.S. NAVY/TYLER THOMPSON

eprasa.pl 2dbe3b5146

użyciu balonu. Przy tej okazji nazwał USA „krajem numer jeden w zakresie szpiegowania i inwigilacji".

„Amerykańskie okręty i samoloty prowadzą częste rozpoznanie Chin – twierdził Wenbin. – Na samym Morzu Południowochińskim doszło do 657 takich przypadków w zeszłym roku i 64 w styczniu 2023 r. Takie zachowanie podważa bezpieczeństwo naszego kraju oraz pokój i stabilność w regionie".

Po tej deklaracji Wenbin wrócił do kwestii balonów. „W ubiegłym roku ponad dziesięć razy przeleciały nad chińską przestrzenią powietrzną bez naszego zezwolenia. Stany Zjednoczone muszą zastanowić się nad własnym zachowaniem i zmienić kurs, zamiast atakować innych i podsycać konfrontację", grzmiał rzecznik MSZ. Do tych słów błyskawicznie odniósł się John Kirby. „Absolutnie nie jest to prawdą", zapewnił.

Ale Amerykanie swoje za uszami mają. Deklaracje dyplomatyczne nie zmienią faktu, że prowadzą wokół Chin własne operacje szpiegowsko-rozpoznawcze. W kwietniu 2001 r. jedna z takich akcji zmieniła się w poważny kryzys. Wyspa Hajnan to silnie zmilitaryzowana prowincja Chin, znajdują się na niej bazy morskie i lotnicze. Amerykańskie samoloty zwiadowcze EP-3 Orion pojawiały się w okolicy na tyle często, że Chińczycy postanowili się bronić. I podrywali w powietrze myśliwce, by te przeganiały oriony. Podczas jednego z takich manewrów chiński J-8 podleciał za blisko i został zassany przez wiry wytwarzane przez śmigła EP-3. Łopaty uszkodziły myśliwiec na tyle poważnie, że maszyna wpadła do oceanu. Pilota nigdy nie odnaleziono.

W zderzeniu ucierpiał też EP-3. Jak wynika z relacji zamieszczonej sześć lat temu w serwisie The Intercept, orion obrócił się do góry nogami i zaczął gwałtownie spadać. Dziury w kadłubie wywołały nagłą dekompresję, która pogłębiła chaos na pokładzie. „Spadaliśmy jak kamień. Wszyscy byliśmy przekonani, że zaraz zginiemy", opowiadał jeden z członków załogi.

Pilotom udało się ustabilizować samolot, ale przekonani, że nie zdołają wrócić na Okinawę, postanowili lądować na Hajnanie. Chińczycy aresztowali załogę na 11 dni; wojskowych zwolniono dopiero po oficjalnych przeprosinach Departamentu Stanu. Samolot zwrócono zaś po dwóch miesiącach i wnikliwym przebadaniu jego zawartości. Kilka lat później okazało się, że załoga oriona nie zniszczyła aparatury używanej do szpiegowania, nie pozbyła się też tajnych ksiąg i dokumentów. Chińczycy zyskali m.in. dostęp do oprogramowania analizującego zaszyfrowane sygnały ich wojska, kody do odbiorników GPS i kompletne informacje na temat stacji radarowych we wszystkich krajach NATO. Była to kompromitująca wpadka amerykańskiej marynarki i zarazem dowód na szeroko zakrojone szpiegowanie Chin.

Tyle że w tej materii Amerykanów cechuje moralność Kalego – gdy ich szpiegują, to źle, gdy oni szpiegują, „to już zupełnie inna sprawa".

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Oko w oko

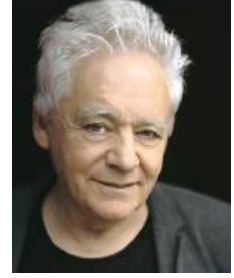

Tomasz Jastrun

Pożeracze owadów

Widzę poruszenie w internecie na wiadomość, że Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności wydał pozytywną opinię na temat larwy chrząszcza mącznika młynarka jako nowego produktu spożywczego. Komisja Europejska umieściła owada w prowadzonym przez nią katalogu „nowej żywności". Larwy mącznika młynarka będzie można kupić w całości, w postaci suszonej albo zjeść ciastka czy lizaka z tym owadem w składzie. Oczywiście najwięcej jest kpin i głosów oburzenia ze strony prawdziwych Polaków. Unia zmusza nas do jedzenia robaków! To jest schemat. Wszystko, co nowe, co niezgodne z tradycją, jest złe i szkodzi narodowemu duchowi. Rzeczywiście, obraz prezesa, Ziobry czy Suskiego wcinających robaki nie mieści się w głowie. A ja bardzo chętnie. Czyli, jak mawia Czarnek, tylko komuniści i lewactwo będą żreć unijne robaki. A to przecież kwestia przyzwyczajenia i tradycji.

Na zdrowy rozum naprawdę obrzydliwe i niemoralne jest jedzenie mięsa. Wystarczy pomyśleć, że jagnięcina to mała owieczka, a cielęcina to ciało nieszczęsnego cielaczka. Oswoiliśmy się i nie myślimy o tym, że te rozkoszne zwierzęce dzieci trzeba najpierw zarżnąć. Czyli mięso i narządy wewnętrzne istot, które budzą naszą sympatię, nawet czułość, pożeramy z apetytem, a owady uważamy za niejadalne. Szukaj tu konsekwencji, jak wiatru w polu.

•

Viola, moja przyjaciółka z Jerozolimy, przeżywa dramat, jak wszyscy światli Izraelczycy. Pisze z Ziemi Świętej: „Miesiąc po wyborach czarne chmury zawisły nad Izraelem. Połowa narodu wybrała Netanjahu na premiera. To ludzie głównie z peryferii, zwykle pochodzenia wschodniego, starozakonni, mesjaszowe oszołomy. A druga połowa, czyli inteligencja, high-tech, akademicy etc., łapie się za głowę. W liberalnych mediach pisze się, że ma miejsce polski prawicowy scenariusz. Spadamy z wysokości na głowę jak Polska, tak krzyczą ludzie w demonstracjach. A setki tysięcy ludzi wychodzą na ulice. Premier Netanjahu ma założone trzy poważne sprawy i wiele czasu spędza w sądzie. Panicznie boi się paki i zrobi wszystko, żeby go nie wsadzili. Dlatego sprzedał duszę i liberalny Izrael prymitywnym oszołomom. Ministrem spraw wewnętrznych jest gość, który za korupcję już odsiedział w pace dwa lata. Jest nawiedzony i stoi na czele partii podobnych do siebie, przebranych za europejskich starozakonnych, z pejsami i w czarnych kapeluszach na łbach. Kochają Netanjahu i są przekonani, że pochodzi od Mojżesza. Pierwszym zadaniem nowego rządu jest rozwalenie na czynniki pierwsze obecnego sądownictwa. Sędziowska czołówka będzie wybierana przez polityków. Chyba nie trzeba więcej dodawać".

No tak, skąd my to znamy. Tylko my nie mamy na karku setek milionów Arabów, a z Rosją walczą za nas Ukraińcy.

•

Prezydent Duda wetuje ustawę o Sądzie Najwyższym wymęczoną przez PiS. Ten dramatyczny i bolesny kompromis miał odblokować unijne pieniądze dla Polski. Duda jednak twierdzi, że ustawa ogranicza jego kompetencje, więc umywa ręce i śle ją do Trybunału Konstytucyjnego. Konstytucyjność niekonstytucyjnej ustawy dotyczącej sądownictwa będzie więc badać niekonstytucyjny trybunał. Oto gwałcący konstytucję strzegą przedmiotu gwałtu. W trybunale na dodatek toczy się zaciekła wewnętrzna wojna. Chaos się pogłębia, a pieniędzy dla Polski nie ma. Ziobro zadowolony, prezes wściekły na Dudę, bez tych pieniędzy PiS pewnie przegra wybory. Duda to osobliwa postać, można nie mieć charakteru, ale cierpieć na takie wzdęcia godnościowe, które pozbawią Polaków miliardów euro.

W trybunale toczy się zaciekła wewnętrzna wojna. Chaos się pogłębia, a pieniędzy dla Polski nie ma.

•

W warsztacie samochodowym w staruszku chryslerze wymiana rozrusznika. Spory zakład, szef antypisowiec, ale okazuje się, że nie inaczej mechanik pan Grzegorz. Głównie o tym rozmawiamy, gdy montuje mi rozrusznik. Duże emocje. Człowiek z ludu, lud też podzielony. Ciekawe, że ten podział budzi takie emocje, że nigdy nie jest letni, zawsze gorący. To chyba nie tylko kwestia rozumu, ale także jakiegoś pionu moralnego i intuicji.

Właściwie wszyscy ludzie, jakich znam, są wściekli na opozycję, że się kłóci, że nie pójdzie jednym blokiem do wyborów. To wściekłość zrodzona z lęku, że znowu przegramy wybory. I nadal będziemy żyć w Polsce niszczonej przez PiS, ekonomicznie, moralnie, bezczelnie rozkradanej, wciskanej w zatęchły konserwatywny gorset. Wiem, że ta wspólna lista byłaby trudną operacją, biorąc pod uwagę, jak duża jest Polska, przy takim systemie wyborczym, przy takim zróżnicowaniu ideowym. Ale przecież sytuacja jest dramatyczna, PiS nie może dłużej rządzić, więc naczelną, dominującą ideą wszystkich partii musi być wygrana, wszystko inne nieważne. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Aż 70% systemów, komponentów i części w Superjecie 100 pochodzi z importu.

Rosja z podciętymi skrzydłami

Za sprawą wojny Putina i zachodnich sankcji rosyjskie lotnictwo cywilne jest w stanie postępującej zapaści

Wojciech Łuczak

Pojęcie jesiotra drugiej kategorii świeżości – znane z „Mistrza i Małgorzaty" Michaiła Bułhakowa – jest najlepszą metaforą tego, co dzieje się ostatnio w rosyjskim lotnictwie cywilnym. Liniom lotniczym Azimut dostarczono właśnie z Irkucka 17. już egzemplarz montowanego w syberyjskich zakładach rosyjskiego samolotu pasażerskiego Suchoj Superjet – SSJ100. Był to jeden z 10 odrzutowców regionalnego zasięgu (swego czasu SSJ100 latały na trasie Moskwa-Warszawa) złożonych do końca 2022 r. z dostępnych jeszcze części i pierwszy wyposażony w silniki drugiej kategorii świeżości. Z 20 szumnie zapowiedzianych przez wicepremiera, ministra przemysłu i handlu Denisa Manturowa na pierwszy wojenny rok wyszła połowa. W 2023 r. różne rosyjskie towarzystwa lotnicze mogą się spodziewać dostaw kolejnych 10 maszyn SSJ100, w tym tych z silnikami drugiej świeżości. Rostiech, powołana przez Kreml do nadzorowania i wspomagania produkcji zaawansowanej technologicznie korporacja, którą od 2007 r. włada przyjaciel Putina Siergiej Czemiezow, podaje oficjalnie, że silniki klasy drugiej do SSJ100 są w doskonałym stanie, choć zostały zmontowane z tzw. dostępnych części zamiennych. Być może są to części po regeneracji albo wyprodukowane ad hoc własne elementy, którymi zastąpiono zachodnie. Czy mają konieczne certyfikaty, tego nikt nie wie. Tymczasem linie Azimut pod koniec 2022 r. miały problemy z wprowadzeniem do eksploatacji liniowca z silnikami drugiej kategorii świeżości, bo uparci eksperci z odpowiedzialnej za bezpieczeństwo rosyjskiej Federalnej Agencji Transportu Lotniczego mimo nacisków politycznych nie chcieli wystawić certyfikatu takiemu statkowi lotniczemu. Biurokraci nie wiedzieli ponadto, jak wypełnić dokumentację dla takich silników. Aby nikogo nie denerwować, odpowiednie rubryki pozostawiono czyste.

Postępująca zapaść

Skalę kryzysu rosyjskiego lotnictwa komunikacyjnego ilustruje przykład Superjeta ze stajni Suchoja – znanej przede wszystkim z produkcji większości najnowszych samolotów bojowych Rosji. Kryzys prognozowany był przez ekspertów, także rosyjskich, od lat. A obecnie za sprawą wojny Putina i zachodnich sankcji lotnictwo jest w stanie postępującej zapaści.

Superjet 100 był wielką nadzieją Putina na to, że rosyjskie cywilne skrzydła odzyskają na świecie blask. Pierwszy samolot pasażerski zaprojektowany i budowany seryjnie po upadku ZSRR, eksploatowany jest na liniach rosyjskich od 2011 r., ale jak niemal wszystkie dzisiejsze nowoczesne liniowce zawiera aż 70%

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2dbe3b5146

systemów, komponentów i części importowanych. W najnowszym raporcie rządu dla prezydenta, zatytułowanym „O strategicznych kierunkach działania w nowych warunkach do 2030 r.", czytamy, że zależność całego rosyjskiego przemysłu lotniczego od zachodnich technologii i komponentów sięga 50%. Jest to zrozumiałe, bo dzisiaj nikt na świecie nie zbuduje samolotu wyłącznie własnymi rękami i z własnych podzespołów. Dotyczy to również chińskiego przemysłu lotniczego. Po co projektować swoje podwozia, układy hydrauliczne, hardware i software sterowania komputerowego, skoro można to zamówić u renomowanych dostawców, którzy od dziesiątków lat w tym się specjalizują? Tak też było z Superjetem i tak jest z perspektywicznym rosyjskim samolotem średniego zasięgu MS-21. Ale każdy konstruktor lotniczy wie, że podstawą sukcesu nowej maszyny jest dobry, sprawdzony i niezawodny silnik. W przypadku Superjeta był to francusko-rosyjski SaM146. Z wszelkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Silniki SaM146 od dawna były dobrem deficytowym, podobnie jak podzespoły i części zamienne do superjetów. Z tego powodu i za sprawą opieszałego serwisu rosyjskie samoloty nie podbiły rynków zachodnich (linie irlandzkie i meksykańskie zrezygnowały z nich). W 2019 r. w puli rezerwowej dla całej Rosji znalazło się 17 silników do superjetów. Ale od jakiegoś czasu w ogóle nie ma rezerw. Silniki zostały wysłane do Francji do remontu i po agresji na Ukrainę już nie wróciły. Rostiech podaje oficjalnie, że „sytuacja z częściami zamiennymi jest napięta".

Podpowiedzmy: w jednym z krajów europejskich w magazynach leżą tysiące tzw. bezobsługowych łożysk, specjalnie zaprojektowanych i budowanych dla superjetów u największego producenta na świecie – w USA. Leżą i do niczego innego się nie nadają.

W Rosji teoretycznie powinno latać 148 superjetów – podał oficjalnie minister transportu Witalij Sawieliew. Największym ich operatorem, z 70 maszynami, była linia Rossija z grupy Aerofłot. Do niedawna po 15 miały Azimut i Jamał. IrAero – sześć. W sumie w latach 2019-2021 rosyjskie linie otrzymały 42 superjety. Wytwórnia koncernu Irkut w Komsomolsku nad Amurem może wyprodukować rocznie kilkadziesiąt maszyn i miała je produkować masowo, pobudzana wolą polityczną Kremla. Brakuje jednak importowanych komponentów, silników, a własny popyt, nawet pompowany subsydiowaniem leasingu operacyjnego przez państwo, był niewielki. Do niedawna na Syberii stały gotowe płatowce, ale bez silników. Nie było również chętnych do ich użytkowania, rosyjskie linie lotnicze wolały bowiem niezawodne samoloty zachodnie. Teraz jest jeszcze gorzej, bo do wszystkich problemów doszły sankcje nałożone przez Zachód.

Techniki nie da się oszukać

Rosyjski przemysł od 2018 r. miał stopniowo uruchamiać produkcję własnych części zamiennych do superjetów (na rosyjskich forach można przeczytać, że na razie to fotele i wyposażenie kuchni), a co kilka miesięcy media donosiły o sukcesach w projektowaniu i testowaniu własnych silników PD-8 do tych samolotów. W lotnictwie jednak prawa fizyki i ogólne prawidła techniki bardzo szybko weryfikują złudzenia i zaklęcia polityków.

Dziś już wiadomo, że względnie importoniezależne superjety (ze zmniejszonym do minimum zasobem sprowadzanych komponentów), które mają się nazywać SSJ-NEW, z rosyjskimi silnikami, nie wejdą do eksploatacji wcześniej niż za rok, dwa lata lub jeszcze później. Pismo biznesowe „Wzgliad" w grudniu 2022 r. doniosło o rozpoczęciu prób w locie prototypu silnika PD-8. Droga jest więc daleka. Podobnie jak szlak rozwoju MS-21 – czyli Magistralnogo Samaliota 21 Wieka, z innym silnikiem perspektywicznym, PD-14, mogącego zabierać 132-211 pasażerów. Eksperci – nawet ci w Rosji – przypominają, że najpierw trzeba silniki dopracować, może kilka razy przebudować. Potem je certyfikować, próbować na docelowych samolotach, a w końcu jeszcze raz certyfikować razem z nimi. Na to trzeba lat.

Superjet, który miał być wielkim wyzwaniem dla Zachodu, zawiódł nadzieje także pod względem ceny nabycia i kosztów eksploatacji. Szacowano, że będzie o 20% tańszy od renomowanej konkurencji w klasie samolotów wąskokadłubowych do 103 miejsc pasażerskich, a w obsłudze – o 15% tańszy. Obecnie „Izwiestia" podają, że samolot oferowany pierwotnie za 28 mln dol. kosztował w 2022 r. 32 mln dol., a jego cena może jeszcze podskoczyć do 36 mln dol. Pytanie, czy z silnikami drugiej świeżości.

Superjet 100 był wielką nadzieją Putina na to, że rosyjskie cywilne skrzydła odzyskają na świecie blask.

Czym więc Rosjanie będą latali? Nawet bardzo prokremlowskie „Izwiestia" biadają nad czekającym kraj okresem smuty w lotnictwie cywilnym. Prawda jest taka, że prócz wprowadzonych na siłę superjetów nie ma w Rosji samolotów, których nie obejmowałyby sankcje technologiczne. Bo do dyspozycji są tylko samoloty pasażerskie Boeinga i Airbusa.

Dominacja boeingów i airbusów

Według rejestru z połowy 2022 r. samoloty zagranicznej produkcji stanowiły aż 67,1% rosyjskiej floty cywilnych statków powietrznych. Było ich w sumie 740, ale w ruchu pasażerskim obsługiwały 95% połączeń. Najwięksi, poza sztandarowym Aerofłotem, przewoźnicy: Pobieda, S7, Ural Airlines, UTair, Nordwind i Azur Air, operowali i nadal muszą operować wyłącznie za pomocą maszyn zachodnich. 3 czerwca 2022 r. „Izwiestia" doniosły, że aby wyeliminować wpływ obcych, w domyśle producentów lotniczych i firm

eprasa.pl 2dbe3b5146

leasingujących samoloty Rosjanom, trzeba radykalnie ograniczyć prawnie możliwość posługiwania się samolotami z obcą rejestracją przez firmy rosyjskie. I wręcz nakazać przewoźnikom nabywanie wyłącznie rodzimych maszyn. Próbowano tego już wcześniej, za czasów tzw. młodego Putina. Nic z tego nie wyszło, bo nie było czego kupować u rosyjskich producentów. Dla airbusów i boeingów nie było, nie ma i długo nie będzie alternatywy w Rosji. Rada w radę postanowiono, że takie restrykcje prawne powinny dotyczyć jedynie państwowych przewoźników korzystających z dotacji, aby utrzymać wewnętrzne połączenia. Inni nadal powinni jakoś sobie radzić ze sprzętem zachodnim. Jak?

Rosyjscy eksperci latem 2022 r. zwrócili uwagę, że żadne nakazy nie są potrzebne, bo z braku części zamiennych zagraniczna flota samolotów cywilnych sama stopniowo się wykruszy do końca roku. W czerwcu rząd rosyjski de facto zgodził się na politykę kanibalizacji flot przewoźników odciętych od wsparcia technicznego i części zamiennych do boeingów i airbusów. Czyli na rozbiórkę pewnej części parku latającego, aby pozyskane w ten sposób komponenty umożliwiły eksploatację innych maszyn. Co najmniej do 2025 r. Spójrzmy na Aerofłot, który przed inwazją na Ukrainę miał w dyspozycji 80% maszyn Boeinga i Airbusa, czyli 134 samoloty. Flightradar24 informuje, że od końca lipca 2022 r. nie wzbiło się w powietrze ok. 50 tych maszyn. Czy oznacza to, że 15% z nich zostało skanibalizowanych? Co gorsza, Aerofłot i inne linie szkolą załogi w nawigacji bez dostępu do systemu GPS. Bo nikt nie dostarcza aktualizowanych układów oprogramowania nawigacyjnego, a rosyjski orbitalny system pozycjonowania statków powietrznych GLONASS – jak podają tamtejsze media – nie wystarcza.

Dodajmy do tego wymuszone przez Moskwę płacenie w rublach zachodnim firmom za leasing operacyjny. A także przymusowe przeniesienie leasingowanych maszyn zachodnich do rejestru rosyjskich statków powietrznych, czyli de facto ich zawłaszczenie. Objęło ono 176 samolotów, z czego 80 Aerofłotu. Nowym szokującym zjawiskiem jest objęcie obowiązkowym poborem z koniecznością stawienia się w określonych garnizonach personelu co najmniej pięciu rosyjskich linii lotniczych, w tym Aerofłotu, oraz speców z 10 głównych lotnisk. Niektórzy sądzą, że tzw. częściowej mobilizacji poddano 50-80% fachowców towarzystw przewozowych.

Podstawą połączeń z oddalonymi od cywilizacji, egzotycznymi czasem lądowiskami, jak również dostaw lekarstw, żywności czy ewakuacji chorych są w Rosji jeszcze czechosłowackie dwusilnikowe, 14-miejscowe turbolety L-410. W 2019 r. były one na wyposażeniu aż 10 rosyjskich towarzystw lotniczych. L-410 obsługują sieć komunikacji w obwodach archangielskim, magadańskim, irkuckim, orenburskim, zabajkalskim, kamczackim, krasnojarskim, chabarowskim i w Republice Komi. Przed pandemią przewoziły one rocznie ponad 112 tys. pasażerów. Wytwórcę turboletów – dawny Let Kunowice w Czechach, obecnie Aircraft Industries – przejęła w 2013 r. rosyjska Uralska Spółka Górniczo-Hutnicza. Planowano przeniesienie produkcji do Rosji oraz uruchomienie linii montażowej większego – 44-miejscowego L-610. Obecnie wsparcie techniczne eksploatacji turboletów w Rosji, dostawy części zamiennych i podzespołów – nie istnieją. W sprawozdaniu z konferencji stowarzyszenia lotnictwa syberyjskiego czytamy: „Konieczna jest szybka reakcja na zaistniałą sytuację, bo zasadniczo zaszkodzi to transportowi medycznemu, znacznie ograniczy lub całkowicie zatrzyma ruch lotniczy między odległymi punktami kraju”.

Według rejestru z połowy 2022 r. samoloty zagranicznej produkcji dominowały na rosyjskim niebie. Było ich 740 i w ruchu pasażerskim obsługiwały 95% połączeń.

Zaklinanie rzeczywistości bilionem rubli

Moskwa musiała jakoś zareagować na informacje mediów o sypiącym się lotnictwie cywilnym. Pierwszy propagandowy strzał oddała korporacja Rostiech, przekazując komunikat, że do roku 2030 przemysł dostarczy lotnictwu, bazując jedynie na własnej produkcji, 1000 samolotów pasażerskich i ostatecznie wyeliminuje Boeinga i Airbusa z Rosji. Więcej informacji podano po podpisaniu między Zjednoczoną Korporacją Lotniczą a Aerofłotem listu intencyjnego o chęci zakupu aż 339 nowych samolotów pasażerskich. Główny państwowy przewoźnik ma nabyć 210 MS-21, 89 superjetów w wersji SSJ-NEW oraz 40 średniodystansowych Tu-214. W porozumieniu założono, że pierwsze dwa nowe zrusyfikowane superjety z nowymi silnikami Aerofłot otrzyma jeszcze w tym roku, a sześć pierwszych MS-21, także z nowymi rosyjskimi silnikami, oraz siedem Tu-214 – w roku 2024. Transakcja będzie miała charakter leasingu finansowanego przez państwo i rekordową wartość, przekraczającą bilion rubli. Ciekawostką jest to, że wiążące umowy z konkretnymi producentami miały zostać zawarte do końca 2022 r.

Cóż, w kontekście doniesień o grudniowym starcie testów w powietrzu prototypu pierwszego nowego silnika dla superjeta komentarz jest chyba zbyteczny. Rok 2023 zapowiada się więc na przełomowy dla całego rosyjskiego lotnictwa cywilnego. Bo przecież Grażdanskij Fłot, jak go wyśpiewał swego czasu Wołodia Wysocki, będzie musiał się zmierzyć nie tylko z chciejstwem i politycznym zaklinaniem rzeczywistości, ale też z całkiem poważną perspektywą latania na silnikach drugiej kategorii świeżości.

Wojciech Łuczak

eprasa.pl 2dbe3b5146

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nic, tak wiele

Kto szuka, ten nie znajdzie. To jest żelazna zasada na najbardziej pożądanych rynkach: płci i pracy. Przed 20 laty, u szczytu sławy, Jerzy Pilch wystąpił we „Wtorku" Witolda Adamka, w roli właściciela fabryki krasnali ogrodowych, ale tak naprawdę grał samego siebie, czyli 50-latka o niespożytym libido, cieszącego się zadziwiającym powodzeniem u młodych dziewcząt. Paweł Kukiz zadaje mu w filmie pytanie: „Jurek, jak ty to robisz?", a Pilch udziela legendarnej odpowiedzi: „Nic nie robię. Ignoruję, nie zwracam uwagi, nie odbieram telefonów, nie odpowiadam na listy, nie chodzę na randki. W ogóle nic nie robię w życiu. Nie prowadzę samochodu, nie znam się na komputerze. Może przez to się znam trochę na kobietach. A poza tym, no wiesz: czasy są takie, że wystarczy nie być impotentem, a już się jest w czołówce. Europejskiej". Skądinąd napisy czołowe tego filmu to dziś jedno wielkie epitafium – Jerzy umarł bardzo schorowany, ale na swoich zasadach: pod czułym okiem młodej i pięknej żony, reżyser Adamek też się zabrał z tego świata wkrótce po siedemdziesiątce, raper „Bolec" śmiertelnie się zaplątał w bardzo złe towarzystwo jeszcze przed czterdziestką, a Kukiz od dawna jest trupem, tyle że politycznym.

Wracając jednak do skutecznej strategii „aktywnej bierności" (jeśli dawno uznano istnienie tzw. pasywnej agresji, żaden to już oksymoron): im jawniej pożądasz, tym mniej jesteś pożądany. Kiedy przed bez mała ćwierćwieczem kończyłem studia humanistyczne, panicznie szukałem odpowiedzi na pytanie: „Z czego będziesz żył? Co będziesz jadł?". Starałem się złośliwie błysnąć, odpowiadając tak jak pułkownik, do którego nie ma kto pisać w noweli Marqueza: „Gówno!". Do głowy mi wtedy przyjść nie mogło, że prawie się nie pomyliłem. Aby złagodzić objawy dyskomfortu wykluczenia, jaki przygniatał młodocianego filmoznawcę bez zatrudnienia, gorączkowo pisałem, bez szczególnych nadziei na literacki splendor. Przyszedł znienacka i nieproszony: przez dobrą dekadę żyłem z „Gnoju", najpierw bezpośrednio z bestsellerowej sprzedaży oraz nagród dla tej książki i jej autorskiej adaptacji scenariuszowej, a potem, siłą rozpędu, kolejne lata jako pisarz owiany sławą wyrosłą na debiutanckiej powieści. W czasach, gdy przedsiębiorczy wydawcy starali się mnie nakłonić do intensywnej twórczości, wolałem zajmować się życiem, a gdy wrócił w końcu twórczy głód, okazało się, że już nie moje książki, ale okoliczności kolejnego małżeństwa przysparzają mi niejakiej rozpoznawalności.

Na miłość życia też zresztą wpadłem zupełnym przypadkiem, akurat wtedy, gdy wszelkie o niej rojenia pogrzebałem wraz z kolejnym wieloletnim konkubinatem. Miliony ludzi na świecie ładują sporą część swojej pensji w coachów i psychoterapeutów, bo nie potrafią sobie poradzić z lękiem przed utratą – pracy i miłości. Tak bardzo się lękają, że częstokroć wywołują licho na zasadzie samospełniającego się proroctwa. I wtedy okazuje się, że dziesiątki tysięcy wydawane na asekurację psychologiczną poszły w błoto – jak się kto chce powiesić, ani małżeństwo, ani pieniądze go od tego nie odwiodą. Jak ktoś ma w sobie wolę życia, nie ma takich przeciwności losu, które mogłyby go złamać. Brzmi banalnie, ale działa na froncie zmagań z codziennością – nie tak łatwo jest umrzeć, wciąż jeszcze miliony ludzi na świecie wolą zmagać się z niedostatkiem i odrzuceniem, niźli życie sobie odebrać. Kto nie ma nic, ma jedną wielką przewagę nad wszystkimi: nie ma także literalnie niczego do stracenia. Nie bez powodu jedną z kultowych postaci popkultury pozostaje „Dude" Lebowski z filmu braci Coen – nie da się go nazwać przegrywem, bo o żadną stawkę nie gra (nie licząc zabaw w kręgielni). To loser z wyboru, outsider o zminimalizowanych potrzebach życiowych, antyjapiszon, wałkoń i nierób, który posiadł umiejętność swobodnego dryfu także w sztormowej aurze.

Rzucić wszystko, nim wszystko cię rzuci,
to też nie lada sztuka, niejeden przegapił ten moment.

W metropolitalnym zgiełku męczą się stada znerwicowanych korpoludków, marzących o „rzuceniu wszystkiego i zaszyciu się w Bieszczadach". Całe szczęście na marzeniach poprzestają, bo góry, choć rozległe, nie przyjęłyby takiej armii uciekinierów. Rzucić wszystko, nim wszystko cię rzuci, to też nie lada sztuka, niejeden przegapił ten moment. Najlepiej w porę wyzbyć się oczekiwań. Nie oczekuję niczego i życzę sobie, aby i ode mnie niczego nie oczekiwano. Okazuje się, że nic to bardzo dużo.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Od szczepionki na covid do leczenia raka

Widać postęp w leczeniu nowotworów. Największe nadzieje wiązane są ze szczepionkami przeciw czerniakowi

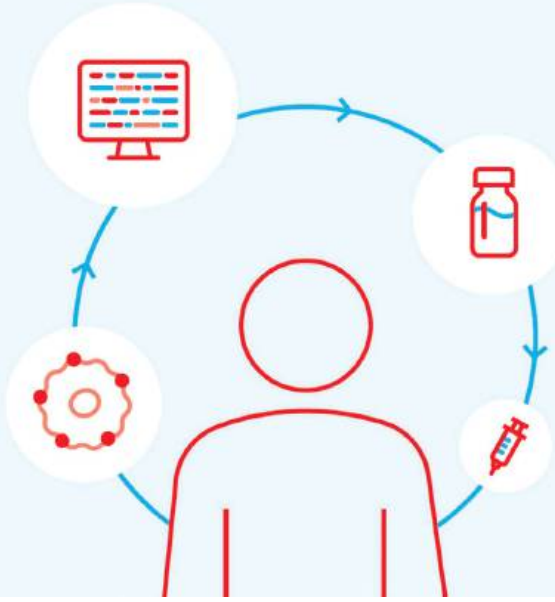

Naukowcy z Moderny pobrali komórki nowotworu, genetycznie je zsekwencjonowali, a następnie korzystając z technologii mRNA, sporządzili szczepionkę.

Marek Czarkowski

Prawie każdy z nas zna lub znał kogoś, kto zmagał się z nowotworem. Według danych WHO w 2020 r. odnotowano niemal 10 mln zgonów, których przyczyną był rak. Od lat uczeni starają się znaleźć skuteczne metody jego leczenia. Chirurdzy, specjaliści od radioterapii i chemioterapii oraz naukowcy z całego świata pracujący nad nowymi lekami dokonali w ostatnich dekadach znacznego postępu.

Doświadczenia z walki z koronawirusem

Ostatnio największe nadzieje i emocje wzbudziły informacje dotyczące prac nad szczepionkami, które mają zwalczać komórki nowotworowe czerniaka. Ten groźny nowotwór złośliwy najczęściej występuje w miejscach narażonych na kontakt z promieniowaniem UV – na rękach, nogach, karku, plecach, ramionach i głowie. Jednak czerniak może też się rozwinąć np. w gałce ocznej albo w nosie. Uczeni nie znają przyczyn jego rozwoju, wiedzą jedynie, że znaczenie mają zarówno czynniki genetyczne, jak i środowiskowe.

Po zakończonych sukcesem pracach nad szczepionką przeciw koronawirusowi SARS-CoV-2 tempa nabrały prace nad szczepionkami przeciwko innym chorobom, w tym nowotworom. Kluczem ma być technologia mRNA, która okazała się tak efektywna w przypadku szczepionki na koronawirusa.

13 grudnia 2022 r. amerykańska firma Moderna ogłosiła, że opracowana wspólnie z koncernem farmaceutycznym Merck spersonalizowana szczepionka przeciwnowotworowa podana 157 osobom z czerniakiem w III lub IV stadium choroby zmniejszyła ryzyko jego nawrotu lub śmierci o 44% w porównaniu ze standardową opieką. Amerykańskie media cytowały wypowiedź prezesa spółki Moderna, dr. Stephena Hoge'a, który powiedział: „Po raz pierwszy w historii mamy dowody na to, że możliwe jest rozwinięcie funkcjonalnej odpowiedzi immunologicznej, która może leczyć raka u pacjentów".

Badania trwały dwa lata. Pacjentów, którym usunięto czerniaka, podzielono losowo na dwie grupy, z których jedna była leczona już istniejącymi lekami, drugiej zaś podano dwa preparaty – Pembrolizumab, czyli humanizowane przeciwciało monoklonalne wytwarzane metodą rekombinacji DNA w komórkach jajnika chomika chińskiego, oraz spersonalizowaną szczepionkę przeciwnowotworową wykorzystującą technologię mRNA. Naukowcy z Moderny pobrali komórki nowotworu, genetycznie je zsekwencjonowali, a następnie, korzystając z technologii mRNA, sporządzili szczepionkę. Identyczny mechanizm został wykorzystany w szczepionce przeciw COVID-19. W tym przypadku jednak organizm chorego miał zostać „nauczony" lokalizacji i niszczenia komórek nowotworowych. Moderna i koncern Merck zapowiedziały kontynuację badań. Novum polega na tym, że szczepionka jest podawana osobom już chorym. To właściwie lek, nie zapobiega powstaniu nowotworu, ale ma pomóc go zlikwidować.

W tej chwili głównym problemem jest wysoki koszt produkcji indywidualnych szczepionek oraz czas, jaki należy temu poświęcić. Pod koniec ubiegłego roku od pobrania komórek nowotworowych do podania choremu spersonalizowanego zastrzyku mijało ponad osiem tygodni. Naukowcy starają się skrócić ten czas o połowę.

Dysponując danymi potwierdzającymi skuteczność terapii, Moderna i Merck planują rozpocząć III fazę badań klinicznych u pacjentów z czerniakiem, a także podjąć prace nad szczepionkami przeciw innym typom nowotworów, takim jak rak płuc czy jelita grubego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2dbe3b5146

BioNTech wkracza do gry

Zaawansowane prace nad lekiem przeciw czerniakowi prowadzi też niemiecka spółka BioNTech, która wspólnie z koncernem Pfizer wyprodukowała szczepionkę Comirnaty przeciw SARS-CoV-2. Ten sukces przełożył się na deszcz pieniędzy oraz kolejne intratne kontrakty. Na początku stycznia 2023 r. założyciele firmy, dr Uğur Şahin, obecnie dyrektor generalny spółki, i jego żona Özlem Türeci, dyrektor ds. medycznych, podpisali umowę z rządem brytyjskim, na mocy której BioNTech ma do 2030 r. zapewnić nawet 10 tys. pacjentów dostęp do spersonalizowanych terapii przeciwnowotworowych. Kluczem również jest technologia mRNA. Umowa z Brytyjczykami zakłada opracowanie immunoterapii przeciwnowotworowej, prowadzenie badań klinicznych oraz dostarczanie terapii komercyjnych, jeśli zostaną one zatwierdzone przez odpowiednie instytucje regulacyjne. W Wielkiej Brytanii spółka BioNTech ma poza tym prowadzić badania związane z innymi chorobami zakaźnymi.

Rząd brytyjski zapewnił jej współpracę z National Health Service (NHS), jednym z czterech publicznych systemów służby zdrowia w Wielkiej Brytanii) przy badaniach nad szczepionkami przeciwnowotworowymi, a także dostęp do zasobów genomiki i danych dotyczących zdrowia Brytyjczyków. Niemcy mają otworzyć nowe centrum badawczo-rozwojowe w Cambridge, zatrudniające ponad 70 naukowców. W perspektywie jest możliwość inwestycji w zakład produkcyjny na terenie Wielkiej Brytanii.

BioNTech z badań nad opracowaniem nowych metod leczenia raka uczynił podstawę swojej dalszej działalności. Wspólnie z koncernem Pfizer prowadzi badania nad substancjami mogącymi znaleźć zastosowanie w leczeniu również innych nowotworów.

Chory będzie otrzymywał przygotowaną z wykorzystaniem sekwencji mRNA szczepionkę, której zadaniem będzie stymulacja odpowiedzi immunologicznej organizmu przeciw komórkom rakowym. Terapia ma być zindywidualizowana – oparta na profilu molekularnym nowotworu konkretnego pacjenta. Innymi słowy, nowa szczepionka przeciwnowotworowa ma być produkowana zawsze dla jednego chorego. Według BioNTechu pierwszy pacjent z Wielkiej Brytanii zostanie włączony do badania klinicznego jednej ze szczepionek przed końcem obecnego roku. Przy czym ma to być pacjent, u którego choroba już się rozwinęła.

Do inwestycji nad Tamizą właścicieli niemieckiej spółki przekonała postawa władz brytyjskich, które w 2020 r. bardzo sprawnie przeprowadziły rejestrację szczepionki przeciw COVID-19 i jako pierwsze rozpoczęły masowe szczepienia. Znaczenie ma też liczne grono wysokiej klasy badaczy pracujących w takich ośrodkach akademickich jak Oksford i Cambridge. No i fakt, że Londyn nadal jest jednym z centrów finansowych świata, więc łatwiej zdobyć środki na działalność.

Niemcy zakładają, że dzięki mniej restrykcyjnym na Wyspach warunkom prowadzenia badań będzie można przyśpieszyć proces opracowywania leków i wprowadzania ich na rynek. Wszak Wielka Brytania nie jest już członkiem Unii Europejskiej i nie musi się przejmować brukselskimi regulacjami.

Szczepionka prof. Mackiewicza

19 marca 2021 r. posłowie Paweł Szramka i Jarosław Sachajko w interpelacji skierowanej do ministra zdrowia pisali: „Efektem prac prof. Mackiewicza jest np. najbardziej zaawansowana szczepionka na czerniaka, która przeszła już szereg faz badań klinicznych, a żadna z 36 tys. podanych dotychczas dawek nie wywołała niepożądanych skutków ubocznych. »Pierwsze dawki podaliśmy w 1997 r. Pacjentom, którzy skorzystali z naszych szczepionek, wydłużyliśmy życie o 20 lat plus« – poinformował profesor".

Przypomnieli tym postać prof. Andrzeja Mackiewicza, który już w latach 90. pracował nad szczepionką przeciw czerniakowi. Rzecz w tym, że od dawna wokół tej sprawy panuje milczenie. Trafiłem na informację, że w latach 2013-2018 spółka BioContract, której udziałowcem był prof. Mackiewicz, otrzymała dotację unijną na projekt „Personalizacja leczenia czerniaka przy użyciu szczepionek terapeutycznych PerMel". Co się stało z tą dotacją, nie wiadomo. Moje próby nawiązania kontaktu z prof. Mackiewiczem zakończyły się fiaskiem.

Więcej informacji na temat szczepionki znajduje się na stronie internetowej Stowarzyszenia Chorych na Czerniaka, które wspiera profesora w dążeniach do rejestracji szczepionki jako leku. Jej autorzy podają, że pierwsi chorzy otrzymali szczepionkę już w roku 1997 r. Pacjenci z zaawansowanym czerniakiem, którym dawano od jednego do 24 miesięcy życia, przeżyli ponad 14 lat, a niektórzy żyją już prawie 21 lat, przyjmując co miesiąc szczepionkę prof. Mackiewicza. Jednocześnie piszą o dramatycznej sytuacji 80 pacjentów, gdyż brakuje pieniędzy na jej wytwarzanie. Zabiegają o to, by szczepionka została zarejestrowana jako lek i stała się dostępna dla każdego potrzebującego. Niestety, w tej sprawie nic się nie zmieniło.

Natomiast w listopadzie 2021 r. Agencja Badań Medycznych ogłosiła wyniki konkursu na rozwój innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA. Granty uzyskało pięć spółek, w tym OncoArendi Therapeutics (dziś Molecure) słynna z opisywanych w mediach związków z braćmi Szumowskimi. Ponadto Celon Pharma, Adamed Pharma, Acellmed oraz Warszawskie Zakłady Farmaceutyczne Polfa. Podzielono ok. 300 mln zł. Na wyniki przyjdzie poczekać kilka lat, lecz nie należy się spodziewać rewelacji. Pieniądze są za małe, a zaplecze naukowe odstaje od czołowych europejskich ośrodków. Wątpliwe, by choć jedna z tych firm podjęła próbę stworzenia szczepionki na czerniaka z wykorzystaniem technologii mRNA. W tym wyścigu się nie liczymy. Niemcom, Brytyjczykom lub Amerykanom szybciej uda się opracować skuteczne szczepionki i terapie przeciw nowotworom. My zaś będziemy mogli je kupić. Wykładając odpowiednią kwotę.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 2dbe3b5146

Artysta nie może być grzeczny

Jestem najdłużej w historii odwoływanym dyrektorem teatru. W dodatku dzieje się to bezprawnie

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Czy odmowa regionalnej izby obrachunkowej wszczęcia postępowania przeciwko panu oznacza koniec tzw. procedury odwoławczej ogłoszonej przez marszałka małopolskiego?

– Procedura mojego odwołania trwa. Początek miał miejsce 17 lutego ub.r. Nigdy nie została zakończona, choć zgodnie z prawem powinna trwać miesiąc, a w szczególnych przypadkach – dwa miesiące. Jak widać, ktoś może łamać prawo i nie ma żadnych szans na pociągnięcie go do odpowiedzialności. Jestem więc, jak sprawdziłem, najdłużej w historii odwoływanym dyrektorem teatru. W dodatku dzieje się to bezprawnie.

Rekord Guinnessa.

– W uchwale z 17 lutego zapisane zostały dwa powody mojego odwołania: po pierwsze, miałem złamać prawo, popełniając jakieś przestępstwo przetargowe, co jest nieprawdą, bo w okresie pandemii działałem zgodnie z obowiązującymi przepisami; po drugie, zgodziłem się na koncert Marii Peszek w murach Słowackiego. Doniesienie, które marszałek złożył do RIO (zaraz po premierze „Dziadów"), stało się dla niego podstawą do rozpoczęcia procedury odwoławczej.

KRZYSZTOF GŁUCHOWSKI
– dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie

FOT. BARTEK BARCZYK

eprasa.pl 2dbe3b5146

Mimo że RIO odmówiła wszczęcia postępowania.

– Wiem o tym od kwietnia.

Wtedy marszałek powinien wycofać zarzuty.

– Ale nie wycofał. Wkrótce przedawni się czyn, który rzekomo popełniłem trzy lata temu. Drugi zarzut budzi zaś zdumienie. Cały czas słyszę, że urząd nie zajmuje się cenzurą – skąd więc zarzut, że wyraziłem zgodę na koncert Marii Peszek? Co to jest, jeśli nie cenzura? Zakazuje mi się w demokratycznym kraju, gdzie panuje wolność słowa, zapraszać uznaną artystkę, bo jej teksty – jak uzasadniano – mogą „wulgaryzować scenę". Polskie prawo nie zna takiego pojęcia. Gdyby je uznać, to znaczyłoby, że nie możemy wystawiać sztuk Witkacego lub Gombrowicza. Można by ścigać nagość, tęczę – my przecież cały czas jesteśmy ścigani za tęczę – od tego w ogóle się zaczęło. Fakty są takie: to trwa, jestem mobbingowany przez organizatora, poddawany codziennej presji. Zmagam się z trudnościami finansowymi, ponieważ pieniądze, które daje organizator, nie są wystarczające. Każdego dnia ktoś może mnie odwołać. Nie znam dnia ani godziny – tak się nie pracuje.

To są wysokie koszty psychiczne.

– Są. Nie mogę np. zatrudnić zastępcy ds. administracyjnych. Od czasu rozpoczęcia tego nacisku pracuję faktycznie na kilku etatach: jestem dyrektorem naczelnym i dyrektorem artystycznym, ale to jeszcze zrozumiałe.

Tak było od początku.

– Nie brałem natomiast pod uwagę, że będę też dyrektorem ds. administracyjnych, bo kto przyjdzie pracować do dyrektora, który jest codziennie odwoływany? Nie ma takich wariatów. Jestem także swoim zastępcą ds. techniki i produkcji. I nadzoruję proces inwestycji. Zajmuję się poza tym walką z moim organizatorem, której nie chcę. Od początku deklarowałem, że nie atakuję organizatora, ponieważ konflikt, który wybuchł – wybuchł wokół „Dziadów" – nie był generowany przez nas, a urząd marszałkowski również został w nim poszkodowany. Zaczęło się od tego, że Ministerstwo Kultury odstąpiło od współprowadzenia Teatru Słowackiego. To był duży cios zarówno dla urzędu marszałkowskiego, jak i dla nas, dlatego że wsparcie rzędu 2-3 mln zł było dla teatru bardzo ważne. Zwłaszcza dla teatru niedokapitalizowanego, który otrzymuje od organizatora pieniądze pozwalające pokryć płace, a pozostałe musi zarobić.

To wszystko dlatego, że dyrektor jest niewygodny, bo raz na Facebooku na stronie teatru pojawiła się tęcza, raz na kurtynie pojawiła się błyskawica, no i ośmielił się wystawić Mickiewicza, a raz wynajął scenę Marii Peszek.

Spodziewał się pan, że na fotelu dyrektora Teatru Słowackiego leży granat z zawleczką, którą w każdej chwili ktoś może wyciągnąć?

– Brałem to pod uwagę, bo dzieje tego teatru pokazują, że tak właśnie bywało. Choćby historia Teofila Trzcińskiego, który ośmielił się wystawić „Klątwę" Stanisława Wyspiańskiego, co w Krakowie wywołało niebywały skandal. W rezultacie nagonki dyrektor stracił stanowisko po przewrocie majowym. Przed domem pierwszego dyrektora tego teatru, Tadeusza Pawlikowskiego, kiedy wystawił „Nowe getto" żydowskiego autora Theodora Herzla, narodowcy urządzili demonstrację z nienawistnymi hasłami.

W naszym teatrze, będącym lustrem nowożytnej historii Polski, wiele jest dowodów, że tu biło sumienie społeczne. Gdyby Wyspiański nie wystawił tu „Dziadów" i „Wesela", może tak by nie było, ale to ma pewne znaczenie w odbiorze społecznym. To, co robi się w tym teatrze, może być przez lata niezauważane, ale w pewnym momencie stanie się ważne. Tak jest teraz.

Gdyby był pan cynicznym menedżerem, mógłby pan nawet wyrazić swego rodzaju wdzięczność dla organizatora.

– Nie jestem cynicznym menedżerem. Premiera „Dziadów" w 120. rocznicę prapremiery, bardzo przemyślana i przedyskutowana z reżyserką, która pracowała nad tym prawie dwa lata, nie zdarzyła się przypadkowo. Bilety, które sprzedawaliśmy promocyjnie od dawna, na parę miesięcy przed premierą, były wyprzedane do końca roku. Bez żadnej afery. Afera wybuchła po premierze, w związku z jakimś bezsensownym tweetem pewnej pani, której nazwiska nie wymieniamy, bo za dużo tej promocji dla kogoś, kto rozumu nie ma. Tweet z głębokiego średniowiecza nie przysporzył promocji czy wpływów. On nam przysporzył wiele kłopotów, doprowadził do zimnej wojny, jaką toczymy z organizatorem, z państwem polskim. To jakiś absurd: ze mnie zrobił krnąbrnego dyrektora, a dla drugiej strony – bohatera, a ja nie chcę być kimś takim jak słynny gen. Walter, który się kulom nie kłaniał. Ten rodzaj romantyzmu mnie nie interesuje, ja jestem poznaniakiem.

Zakazuje mi się w kraju, gdzie panuje wolność słowa, zapraszać uznaną artystkę, bo jej teksty mogą „wulgaryzować scenę".

Czyli na pierwszym planie solidność.

– Tak, budowanie. Dojście do tej pozycji artystycznej, którą teatr ma – że jest świetną maszyną funkcjonującą we wszystkich obszarach – to efekt ciężkiej, siedmioletniej prawie pracy i przywracania właściwego miejsca temu teatrowi. Efekt pracy bardzo wielu ludzi. Nie staliśmy się sławni, bo jakaś pani opublikowała głupiego tweeta. Zwyciężyliśmy z tym mordorem dlatego, że ten zespół był na to gotowy. Wiedziałem, że siadam na krześle, na którym leży odbezpieczony granat. Wiedziałem, że on kiedyś wybuchnie. Ludzie władzy zawsze chcą się przeglądać w teatrze i myślą, że my o nich robimy sztuki, że ich portretujemy, zajmujemy się nimi. A my w ogóle się nimi nie zajmujemy.

eprasa.pl 2dbe3b5146

Niektórzy się zajmują.

– Jest taki rodzaj teatru – teatr polityczny bądź publicystyczny; nie jestem jego wrogiem, ale mnie on nie interesuje. Teatr Słowackiego nigdy tym się nie zajmował. To nie znaczy, że nie zajmujemy się ważnymi sprawami, skoro przypatrujemy się kondycji całego społeczeństwa. My jesteśmy z ducha Wyspiańskiego. To, że Wyspiański portretował konkretne osoby w „Weselu", że opisane wesele jest weselem czwartego dyrektora tego teatru, Lucjana Rydla, ma zupełnie inny wymiar. „Wesele" nie umarło z tymi ludźmi, bo wciąż na nowo odczytywane – jest nadal grane. To tu jest nasza puszka pamięci, nawet jak się idzie do bufetu, wszyscy oni, dawni, nieżyjący dyrektorzy Słowackiego, wiszą na tzw. ścianie umarłych.

W każdym naszym spektaklu jest coś z Wyspiańskiego. Nikt tak nie czuł naszej kondycji.

Czy to codzienne obcowanie z historią nie stanowi pewnego ciężaru, zobowiązania wobec tradycji, która może być obezwładniająca?

– To może być ciśnienie, jeśli człowiek z tym się mierzy. Ale my się nie mierzymy, traktujemy to podobnie jak w sztuce japońskiej – w tamtejszym kinie byty realne i nierealne koegzystują. Z duchami się żyje. To jest takie miejsce. Przypominam, że teatr został wybudowany na jednym z największych i najstarszych cmentarzy, na ruinach klasztorów, szpitali. A my wciąż wychodzimy na tę samą scenę, na której miały miejsce słynne prapremiery, i tu nic się nie zmieniło. To nie jest obciążenie, ale akceptacja, że my z tym żyjemy.

Mimo wszystko to wyzwanie.

– No tak, dlatego się z nimi spieramy. Każdy spektakl „liniowy", ważny dla głównego nurtu, polemizuje z sytuacją społeczną. „Dziady" były/są dialogiem z rzeczywistością społeczno-polityczną, konformizmem całego społeczeństwa. Staliśmy się takimi konformistami, że jakby Rosjanie nas napadli, poddalibyśmy się w 10 minut. Na szczęście są obok Ukraińcy. To mój sąd. Oddajemy władzę byle komu i pozbawiamy się kontroli obywatelskiej. I o tym są „Dziady", po których przyszedł czas na spektakl „1989" – zrobiliśmy coś, co jest przypomnieniem mitu, że Polacy jednak kiedyś potrafili, raz w historii nam się udało. I nikt nie był wykluczony nawet za cenę podania ręki ubekowi. Wszyscy grali do jednej bramki. Dlaczego tego nie świętujemy? Dlaczego czcimy jak wampiry tylko nasze klęski? Powstanie warszawskie czy kampanię wrześniową? Tymczasem mamy w historii Polski pozytywny mit – bezkrwawą rewolucję, która zmieniła układ sił w Europie. A my to chowamy wstydliwie i mówimy, że to była zdrada narodowa. Dlatego zrobiliśmy „1989", chociaż nikt nie dawał za to złamanego grosza.

W tych „liniowych" spektaklach jest podwójne dno. Oprócz tego, że pokazujemy, co się dzieje w naszym narodzie i nie tylko, odnosimy się do historii naszego teatru. Tam są zawsze ukryte znaczenia i zawsze to się łączy z Wyspiańskim. W każdym naszym spektaklu jest coś z Wyspiańskiego. Nikt tak nie czuł naszej kondycji, może jeszcze Mickiewicz. Oni dwaj. Wyspiański jest bardzo z ducha Mickiewicza, tylko że Mickiewicz był romantykiem. Wyspiański był człowiekiem teatru i dlatego podjął się rzeczy niemożliwej, czyli wystawienia „Dziadów", bo wiedział, co chce powiedzieć.

Trochę to odbiega od pańskich deklaracji, że Teatr Słowackiego ma być lustrem. Bo teraz słyszę, że jest lustrem-interpretacją.

– Wielu przedstawicieli obozu krytycznego wobec tego, co robimy, mówi, że tak nie wolno wystawiać Mickiewicza. Nie tylko Wyspiański się przewraca w grobie, ale nawet Molier. Bez żenady pojawiają się ludzie, którzy zawracają Wisłę kijem. Już w XIX w. byliby uznani – jak powiadał Witkacy – za jakichś nieszkodliwych „wariatuńciów". Ktoś nagle mówi, że artyści muszą być grzeczni. A to oksymoron: człowiek, który jest artystą, nie może być grzeczny. Zbudowaliśmy podwaliny współczesnej cywilizacji na wolności. Wolność ekonomiczna jest skutkiem wolności osobistej.

No dobrze, ale dlaczego pan wciąż deklaruje się jako konserwatysta, czyli ktoś, kto pilnuje istniejącego porządku?

– Żyjemy w takich czasach, że nikt nie jest tym, kim się wydaje. Przed naszym teatrem stoi pomnik Fredry. W Krakowie to normalne, bo w Krakowie nic nie jest tym, czym się wydaje.

Dobrze się zaczyna.

– Żyjemy w takich czasach, że lewica nie jest lewicą, prawica nie jest prawicą. Czy istnieje gdzieś prawica, która rozdaje pieniądze? Jeden straszny przykład w historii jest, ale oni nie uważali się za prawicę – myślę o NSDAP. Dzisiaj mamy do czynienia z prawicą, która nie jest prawicą brunatną, ale określa się jako prawica, choć cały katalog jej postępowań jest typowy dla bardzo lewicowych partii. Tymczasem lewica zajmuje się tym, czym prawica, czyli regulowaniem wszystkiego: nakazy/zakazy, szczep się, nie szczep się itp. Jestem konserwatystą dlatego, że to sposób na przetrwanie, na przeciwstawienie się tej obezwładniającej, fałszywej nalepkomanii. Jeśli kurze przyklei się nalepkę z napisem „orzeł", na pewno nie zmieni to tej kury.

Najważniejsze jest być wiernym samemu sobie – na tym polega dla mnie konserwatyzm. Nie konserwatyzm obyczajowy – bo teraz mamy do czynienia z lewakami, którzy są konserwatywni obyczajowo, czyli dadzą pieniądze wszystkim potrzebującym, ale w zamian za to będą kontrolować ich macice. I cofamy się do średniowiecza: kobieta w kuchni i niech nie podskakuje. To nie jest konserwatyzm. Użyłem parę razy określenia konserwatysta, wyrażając mój bunt przeciw pomieszaniu wszystkiego. Należałoby powiedzieć, że jestem liberałem albo liberalnym konserwatystą, ale wtedy znowu ktoś pomyśli: „Aha, walczy o wolny rynek, ale modli się o to w kościele". Nie o to chodzi. Niech każdy robi, co uważa za stosowne, byle nie szkodził innym. Największym błędem jest

eprasa.pl 2dbe3b5146

narzucanie swoich poglądów całemu społeczeństwu: jedna wiara, jeden bóg, a geje są wszystkiemu winni.

Wreszcie wiem: pan jest konserwatystą libertynem.

– Może tak być, jeśli dodam do tego, że jestem weganinem. Wierzę w to, że z czasem weganizm stanie się postawą wiodącą. Dziedzictwo to wspólne dobro, z którego wszyscy mamy prawo korzystać. Tylko nie możemy stać w miejscu. W tym sensie ma pan rację, d… ze mnie, nie konserwatysta, bo nie chcę stać w miejscu. Chcę coś zostawić, coś dorzucić, a nie zajmować się tylko i wyłącznie konserwowaniem przeszłości.

Na koniec chciałbym wyrazić podziw dla nieprawdopodobnej solidarności zespołu wobec próby pańskiego odwołania.

– Z tego też jesteśmy dumni w teatrze – to bodaj pierwszy taki przypadek w historii, bo mówimy o stuprocentowej zgodności wszystkich pracowników. Tworzenie takiej jedności to nasza rola – mówię tu o dyrektorach teatrów. Teatry nie są zwyczajnymi instytucjami. Praca w teatrze nie jest dla zwykłych ludzi. Fatalnie płatna – jesteśmy strasznie biedni, mało mamy pieniędzy do dzielenia. Ludzie, którzy tu pracują, są wybitni i są wariatami. Bo tylko wybitny wariat za te pieniądze będzie tworzył takie wspaniałe rzeczy.

Dlaczego czcimy jak wampiry tylko nasze klęski? Powstanie warszawskie czy kampanię wrześniową?

Mówię o wszystkich: o realizatorach, rzemieślnikach, aktorach; są wśród nich ludzie młodzi i tacy, którzy całe życie tu zostawili. Każdy ma swoje myślenie i doświadczenie, a rolą dyrektora jest dać im poczucie, że oni wszyscy to tworzą, że to ich dom, ich mała ojczyzna.

Ten dom komuś przeszkadzał.

– To był głupi zamach wynikający z braku przemyślenia, braku wiedzy o teatrze i o tym miejscu. Organizator się nie dokształcił, nie wiedział, czym jest ten teatr w historii Polski, czym jest w historii teatru, jak on działa, jakie to dziedzictwo, i postanowił arbitralnie zadecydować. I się naciął. Jak w Sparcie. Król perski chciał zdobyć Spartę i napisał do Spartan list, zapowiadając, co im zrobi, jeśli nie otworzą bramy. A oni mu odpisali jedno słowo: „Jeśli”.

Ludzie muszą wiedzieć, czym jest wolność, czym jest odpowiedzialność, czym jest sztuka, bo to są synonimy. Muszą to poczuć. Moi współpracownicy, moi partnerzy naprawdę świetnie wiedzą, co to jest wolność. I wiedzą, co chciano im zabrać. Ktoś przychodzi do naszego domu i mówi: „Wynocha”. Reakcja zespołu była organiczna i natychmiastowa: „Nie!”. I to daje nam moc.

Tomasz Miłkowski

KSIĄŻKI

Jan Toporowski
Michał Kalecki. Biografia intelektualna
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Michał Kalecki uznawany jest za jednego z najbardziej twórczych ekonomistów XX w. Jego teorie, szczególnie efektywnego popytu i cyklu koniunkturalnego, weszły do kanonu myśli ekonomicznej. Renomę zyskał w latach 30. i 40., gdy w światowej doktrynie ekonomicznej dominował keynesizm. Kalecki stał jednak w cieniu „ojca współczesnej ekonomii”. Przez lata pozostawał ekonomistą „interesującym”, lecz zapomnianym. Aż do kryzysu finansowego w 2008 r., kiedy jego teorie przywoływało wiele ekonomistów z całego świata, łącznie z Paulem Krugmanem. Idee Kaleckiego wciąż są kluczowym narzędziem do rozumienia tego, jak działa system kapitalistyczny i jak można go przekroczyć.

Krystyna Strączek
Kapuściński. Trudny talent
Czytelnik, Warszawa 2022

Wydawałoby się, że o Kapuścińskim napisano już wszystko. A jednak nie. Autorka śledzi i analizuje całą drogę twórczą reportera, począwszy od jego pierwszych tekstów drukowanych na łamach prasy, którymi były… wiersze, aż po „Lapidaria” i „Podróże z Herodotem”. Poezję porzucił Kapuściński na długie lata, toteż książka koncentruje się przede wszystkim na opisie jego losów jako dziennikarza oraz coraz słynniejszego reportera i pisarza. Nie stroni przy tym od tematów trudnych, jak burzliwy spór o plagiat w latach 60.

Anna Musiałówna
Z drugiej strony szkła
Autoportret fotoreporterki
Czytelnik, Warszawa 2022

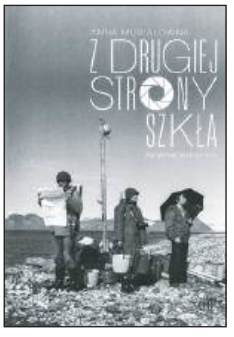

Fotoreporterka prasowa i socjologiczna, autorka reportaży, kuratorka wystaw fotograficznych (publikowała m.in. w „itd”, „Przyjaciółce”, „Odrze”, „Życiu” „Polityce”), opowiada o własnym życiu poprzez wspomnienia i relacje ze spotkań z bohaterami swoich fotoreportaży. Posługując się równie biegle fotografią, jak i słowem pisanym, wyczulona na losy i niedole drugiego człowieka, Musiałówna potrafi z dużą precyzją ukazać obraz życia społecznego w PRL i po przełomie 1989 r.

eprasa.pl 2dbe3b5146

KURTYNA W GÓRĘ

David Adam Javerbaum, „AN ACT OF GOD", tłumaczenie Magdalena Szyc, reżyseria Sylwester Biraga, Teatr Druga Strefa, premiera 11 stycznia 2023

Bóg dyrektor gra

Dziełko wyszło spod ręki popularnego amerykańskiego majstra od scenariuszy komediowych, Davida Adama Javerbauma. Napisana siedem lat temu komedia zdążyła już zagościć na scenach w 20 krajach. To utwór należący do dramaturgii środka, użytkowy, korzystający ze znanego motywu Boga rozczarowanego swoim dziełem (i własną postawą). Na ten temat powstało już sporo tekstów – ten nie zachwyca szczególną odkrywczością, ale w przeróbce scenariuszowej Sylwestra Biragi, który przykroił sztukę do warunków i realiów Teatru Druga Strefa, staje się dość smacznym żartem z samego siebie, z prowadzonego przez lata teatru i wiecznej naiwności artysty, który nie utracił wiary w widza.

Oto zjawia się On Wszechmogący, poprzedzony prologiem rozśpiewanych i roztańczonych archaniołów (Halina Chrobak i Justyna Zbiróg), przyobleczony w ciało i głos Biragi, aby ogłosić nowy Dekalog, różniący się prawie w całości od tego, który wcześniej dał Mojżeszowi (tj. On, nie Biraga). To zabawne, ale dające do myślenia zmiany, choć tekstowi daleko do ładunku wywrotowego. Biraga wraca tu do zaniedbywanego ostatnimi laty aktorstwa, wysoko zawiesza poprzeczkę i daje radę. Całość roli prowadzi pewnie, chciałoby się powiedzieć: z dyrektorskim rozmachem. A zadanie nie było łatwe – zagrać Biragę, będąc Biragą, który nie jest sobą, tylko ciałem, które On wynajął.

Tomasz Miłkowski

Polały się łzy

Na koszmarne dzieciństwo i młodość dwóch pięknych, wykształconych dziewczyn autorzy przedstawienia „Papugi" nie znajdują żadnego słowa usprawiedliwienia. Beznadzieja, przemoc, samotność, alkohol – takie życie wiodą z dala od rodziców. W rolę porzuconego i błagającego o wizytę tatusia wczuł się sam Piotr Fronczewski. Żadnej reakcji. Dramaturg Jacek Górecki i reżyser Tadeusz Łysiak, który otarł się o Oscara za „Sukienkę", ukazują tę smutną historię bez happy endu. Taka pożywka dla młodego, myślącego widza.

Bronisław Tumiłowicz

Jacek Górecki, „Papugi", reżyseria Tadeusz Łysiak, Teatr Studio, premiera 1 marca 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

Ann Cleeves

Zmory przeszłości

tłum. Piotr Grzegorzewski i Marcin Wróbel

Czwarta Strona, Poznań 2023

Już 20 lat minęło, odkąd brytyjska autorka kryminałów wydała tę nienależącą do żadnego jej cyklu powieść, napisaną jeszcze przed pierwszym Kwartetem szetlandzkim. Upływu czasu wcale się nie czuje, bardzo aktualny wydaje się dziś wątek niechęci do Konsorcjum Wiejskiego – właścicieli ziemskich chcących wygrodzenia połaci wybrzeża i kultywowania takich „pięknych" tradycji jak prawo do polowań. W „Zmorach przeszłości" uwaga skupia się na rysunku postaci, ocenianych nieraz popędliwie przez narratorkę. Ponieważ Lizzie w cynizm ucieka przed własnymi przejściami, trochę potrwa, nim odkryje też cudzą traumę, choć talenty śledcze ma. Gdy jednak siedzi w pokoju przesłuchań, to znów naprzeciwko policjantów… W obsesyjnym wręcz dociekaniu prawdy towarzyszymy jej z niesłabnącą ciekawością, ale kiedy konfrontuje się z osobą, która namotała całą intrygę, pojawiają się wątpliwości. Niekwestionowana pozostaje natomiast siła nastroju uzyskiwanego przez Ann Cleeves.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

Wieloryb

reż. Darren Aronofsky, prod. USA, już w kinach

Reżyser Darren Aronofsky wydobywa z niebytu kolejne zapomniane nazwisko. 15 lat temu „Zapaśnikiem" przypomniał o istnieniu Mickeya Rourke'a, jednego z największych gwiazdorów lat 80., który na długo zniknął z branży. Tym razem upomina się o Brendana Frasera. Aktor w latach 90. był gwiazdą, potem jego kariera się zatrzymała. Teraz powraca na wielki ekran w roli życia, acz w filmie skromnym i kameralnie opowiedzianym, którego akcja zamknięta jest w czterech ścianach. „Wieloryb" to adaptacja sztuki Samuela D. Huntera, bohaterem jest Charlie, który utracił kontrolę nad swoją wagą. Fraser portretuje historię zmagań ze wstydem, samotnością i upokorzeniem, które wiążą się ze skrajną otyłością i zaburzeniami odżywiania. W równej mierze to jednak pocieszające kino o wyzwalaniu się spod własnych ograniczeń, o naprawianiu błędów i zaniedbań rodzinnych, o dawaniu sobie szansy i cementowaniu więzi z bliskimi. Warto podkreślić, że o roli Frasera mówi się jako o mocnej kandydaturze do Oscara.

Mateusz Demski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MONOLITH FILMS, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 2dbe3b5146

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Nasze życie z owadami

Nigdy nie wiadomo, która była pierwsza. A może od razu było ich dwieście? I po prostu wysypały się wszystkie naraz – jak wąglik – z jakiegoś wrogiego listu? Czasem, rano, wydaje mi się, że są halucynacją, jak małe, czarne kijanki, które w pewnym wieku mogą się pojawić w polu widzenia. Albo nieprzyjemne błyski – przejaw drobnej awarii w obwodzie. A jednak – muszki istnieją. Mimo że wydają się nie mieć ani kształtu, ani ciężaru i bardziej są zbiorem kropek albo czymś, co się prószy, czyli bardziej ruchem niż rojem. Lubię moment, kiedy się stuknie w umywalkę i ulatują na cztery strony świata, ale jakby w zwolnionym te mpie. Dlatego trudno potraktować poważnie zagrożenie, które podobno niosą.

Wydają się raczej rozrywką, czymś zabawnym, jak lwia paszcza albo mrówkojad. I chyba są niepoliczalne. To dla nas, ludzi, kłopotliwe, ponieważ boimy się tego, co niepoliczalne, co zatraca swój kształt. Wykorzystuje to kino gatunkowe, antagonizując nasz gatunek z ptakami, rojami pszczół, szarańczą, a także skazując nas na śmierć z powodu bezkształtnych mazi, jogurtów, śluzu i jadu. Podświadomie unikamy chaotycznego ruchu owadów, ich motorycznej nierównowagi. Tę choreografię wykorzystują horrory. W taki sposób poruszają się zombie na filmach, stada pół ludzi, pół grzybów i to, co osiągnęło stan liminalny, stan pomiędzy: jeszcze do końca nie umarło, ale już nie żyje.

Rybiki to opiłki, rysiki – przyczajone pod plastikowym wiaderkiem, pod psią miską – potem w panice rozpryskują się jak szkło po całej łazience i natychmiast znikają. Ich obłe ciałka mają w sobie coś rybiego, a srebrny połysk, coś jakby wilgoć, ich pancerzyka przypomina, że żyją w odpływach, pod miskami, koszami z bielizną, tam, gdzie trochę brudno i nie do końca sucho. Ponadto rybiki są długowieczne, żyją średnio cztery lata, ale niektóre jednostki mogą w odpowiednich warunkach dożyć nawet lat ośmiu! To naprawdę sporo jak na owada. Niewiele osób wie, że ten łuskowaty łazienkowiec srebrzyk bywa uznawany za szkodnika muzealnego, ponieważ wcina m.in. papier. Ale jak ktoś na co dzień opycha się resztkami jedzenia, różnego rodzaju brudem (osobnego omówienia wymaga oczywiście brud), a nawet klejem do tapet – zje raczej niezauważalnie mało papieru toaletowego niż choćby jeden tom „Sztuki świata" z naszej półki.

Oprócz rybików i owocówek, z którymi każdemu przyszło lub przyjdzie się zżyć – widzialnym współpasażerem jest również mól, który wygląda jak malutki szkic roztarty przez kogoś palcem na kartce. Raczej jak powidok po czymś niż konkret. Jakby materia nie umiała się w nim skupić i zawsze chwilę spóźniała się na samego owada w locie. Raczej ogon komety niż kometa. Raczej iskry spawacza niż stal. Mola próbujemy zaklaskać, kiedy ma swoją ostateczną postać – osobnika dorosłego, imago. Imago nie przechodzi już żadnych linień, nie przeobraża się w nic. Jest formą doskonałą. To okrutne i przykre, ale coś, co strząsamy z dłoni, to niemal proch. Larwy wydają się bardziej kłopotliwe, choć przecież są jeszcze w kokonach, przylegają do starej podszewki albo woreczka z makaronem. A jednak to właśnie widok wijących się larw mobilizuje nas najczęściej do wzięcia sprawy we własne ręce. Chociaż z nimi też spokojnie można żyć, tak jak żyjemy ze wszystkimi jeszcze mniejszymi formami, których po prostu nie widać.

To ten świat będzie nas rozkładać – ziarnko po ziarnku – i wiemy, że nasza przewaga jest tylko chwilowa i raczej na niby.

A może nie chodzi o szkodliwość, tylko o kierunek skojarzeń? Nie chcemy myśleć o ich kryjówkach ani o tym, co dzieje się nocą w naszej łazience, jak muszki owocówki składają jajka w naszej gąbce do naczyń, jak bladoróżowe larwy wiją się w ziarnach popcornu. To ten świat będzie nas rozkładać – ziarnko po ziarnku – i wiemy, że nasza przewaga jest tylko chwilowa i raczej na niby. One po prostu pozwalają nam chwilę się cieszyć, ale są cały czas, wszędzie, gotowe wziąć udział w naszym ostatnim święcie, kiedy nawet największy bogacz, superkapitalista – nie będzie miał oporu, żeby się dzielić.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn
eprasa.pl 2dbe3b5146

Chcemy parku, nie pustyni

Lokalna społeczność walczy o **Trójmiejski Park Krajobrazowy**

Helena Leman

„Stop przemocy wobec lasów", „Trójmiejski Park Krajobrazowy to nie drewutnia", „Chcemy ochrony TPK", „Większe wyręby pełne kasy gęby" – z takimi hasłami protestowali 16 stycznia w Gdańsku pod urzędem wojewódzkim przedstawiciele kilkunastu organizacji oraz inicjatyw społecznych i ekologicznych. Zebrani występowali też przeciw uchyleniu przez wojewodę pomorskiego Dariusza Drelicha Planu Ochrony Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Złożyli w tej sprawie petycję, którą dotąd podpisało w internecie 4,5 tys. osób.

– Na ten plan, który zarysowuje kierunki ochrony TPK, choć niestety w żaden zdecydowany i ostateczny sposób nie wpływa na gospodarowanie Lasów Państwowych, czekaliśmy ponad 20 lat – mówił mediom Paweł Szutowicz z Grupy Inicjatywnej Mieszkańców Trójmiasta. – Zawarte w nim propozycje są tak naprawdę bardzo skromne. Chodzi o ograniczenie pozyskania drewna o 5-15% i o utworzenie dwóch rezerwatów o powierzchni odpowiednio: 300 i 400 ha, co w porównaniu z całą powierzchnią TPK, wynoszącą prawie 19 tys. ha, jest niewielkim obszarem. Dlatego decyzja pana wojewody jest dla nas niezrozumiała.

Jak w gospodarstwie

Trójmiejski Park Krajobrazowy jest jednym z najstarszych w Polsce, powstał w 1979 r. 19 stycznia wybieram się tam na wycieczkę. Po zejściu ze wzniesienia Pachołek w Gdańsku-Oliwie, z którego wieży widokowej roztacza się panorama aglomeracji i wzgórz porośniętych bukowo-sosnowymi lasami, skręcam na szlak w kierunku Sopotu. Po jakichś 30 minutach już widać ślady wyrębu – rozjeżdżone ciężkim sprzętem ścieżki, rozrzucone gałęzie po ścince. Wystarczy tylko trochę zejść z turystycznej trasy, żeby natrafić na całe przetrzebione polany, na których zostały pojedyncze drzewa lub krzaki buczynowej samosiejki. Gdzieś monotonnie ryczy piła.

Drwali dostrzegam u podnóża góry, w parowie, schodzę do nich po stromym stoku, przedzierając się przez krzaki buczyny. Twierdzą, że są pracownikami Lasów, a kartek o wycince nie wywiesili, bo tylko czyszczą teren, a nie ścinają. Gdy mówię, że schodząc do nich, mijałam kilka pni po niedawno ściętych drzewach, z których ten stok został niemalże ogołocony, a starodrzew jest przecież podstawą parku krajobrazowego, jeden z nich nie wytrzymuje: – Jaki park? – pyta. – Park krajobrazowy to może sobie pani u siebie w ogródku zrobić. Tu ma być gospodarstwo, a w gospodarstwie stare do piachu idzie i wymieniane jest na młode. Obowiązuje w nim rachunek ekonomiczny. Duże drzewa zabierają światło młodym, dlatego czyścimy las i go przerzedzamy. Trzeba też wiedzieć, w którym momencie drzewo ściąć, żeby to było opłacalne. O, choćby ten buk – wskazuje – on jest za młody, musi jeszcze rosnąć kilka lat, a potem pójdzie pod topór. Normalna kolej rzeczy, pani przy domu drzew nie wycina? A że też chciało się pani do nas schodzić... – macha ręką zniecierpliwiony. Zbiera swoją brygadę do białej terenówki bez żadnych firmowych oznakowań i odjeżdżają. Podobnych terenówek kręci się tu kilka.

Para, którą spotykam, mówi, że drwale pracują tu przynajmniej od

eprasa.pl 2dbe3b5146

Po obu stronach ścieżki turystycznej leżą zwały gotowych do wywozu pni.

Mieszkańcy Trójmiasta często stają w obronie lasów.

tygodnia. – Nam też tłumaczyli, że tylko las czyszczą, ale im nie dowierzamy. Sama pani widzi, co się dzieje, to rabunek, a nie gospodarka leśna – denerwuje się kobieta.

– Tu rosły takie piękne, stare drzewa – wtrąca mężczyzna. – Wychowałem się wśród nich. A w ostatnich latach zaczęły znikać, jedno po drugim, cichutko, aż w końcu zostały tylko samosiejki. Pani zejdzie trochę ze szlaku i podejdzie wyżej, tam też wszystko powycinane.

Po obu stronach ścieżki turystycznej aż do jej skrętu w stronę Doliny Świemirowskiej leżą zwały gotowych do wywozu pni, niektóre są ogromne.

Uchylony przez wojewodę Plan Ochrony TPK wymienia 63 zagrożenia dla parku. Pod numerem ósmym czytam: „Zatwierdzony dla Nadleśnictwa Gdańsk plan urządzenia lasu, zakładający dążenie do obniżenia średniego wieku drzewostanów oraz zmniejszenie w skali Parku udziału zwartych drzewostanów dojrzałych i starych na rzecz drzewostanów w fazie odnawiania, skutkuje pogorszeniem siedlisk roślin i grzybów oraz zwierząt związanych ze starymi lasami”.

Parkowi grozi wyniszczenie

Plan Ochrony TPK uchwalony został 24 października 2022 r. przez Sejmik Województwa Pomorskiego. 28 listopada wojewoda pomorski plan uchylił – z powodu nieuwzględnienia w nim wyników audytu krajobrazowego.

O audycie jest mowa w Ustawie z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, zmienianej w roku 2015. Ale chociaż ustawy powstały, bardzo długo nie było do nich aktów wykonawczych.

– Prace nad audytem mogły się rozpocząć dopiero po przyjęciu rozporządzenia określającego metodykę jego tworzenia – tłumaczy Michał Piotrowski, rzecznik Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego. – A takie rozporządzenie pojawiło się dopiero 11 stycznia 2019 r., czyli z prawie czteroletnim opóźnieniem. Audyt krajobrazowy jest bardzo pracochłonny i czasochłonny. To musi być opracowanie wykonane w skali lokalnej, ale dla całego województwa. Generalny dyrektor ochrony środowiska już dwukrotnie, w 2016 i 2022 r., sygnalizował, że możliwe jest uchwalenie planów ochrony parków krajobrazowych przed uchwaleniem audytów krajobrazowych. Sejmiki województw lubelskiego, mazowieckiego, małopolskiego i świętokrzyskiego podjęły uchwały w sprawie ustanowienia planów ochrony parków krajobrazowych, a ich wojewodowie uchwał nie zakwestionowali mimo braku uchwalonego audytu krajobrazowego. Co więcej – sam ustawodawca nie wprowadził przepisów

FOT. BARTOSZ BAŃKA/AGENCJA WYBORCZA.PL, HELENA LEMAN (2)

eprasa.pl 2dbe3b5146

stanowiących, że plan ochrony nie może być ustanowiony przed sporządzeniem audytu, co potwierdza wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego.

21 grudnia ub.r. sejmik wojewódzki podjął uchwałę o zaskarżeniu decyzji o uchyleniu Planu Ochrony TPK. Skarga trafiła do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gdańsku dzień później.

– Uchylony przez wojewodę plan byłby narzędziem do ograniczenia wycinki drzew przez regionalną dyrekcję Lasów Państwowych. Kwestii ochrony TPK nie odpuścimy – deklarował marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk po przegłosowaniu przez radnych decyzji o zaskarżeniu.

Uchylenie zbiegło się w czasie z decyzją RDLP w Gdańsku o rezygnacji z międzynarodowej certyfikacji drewna FSC (certyfikat FSC stanowi dowód, że produkcja, przetwarzanie i handel drewnem oraz produktami pochodzenia leśnego odbywają się w zgodzie z przepisami UE – przyp. aut.), co oznacza obniżenie standardu ochrony lasów, i z pracami nad nowym planem urządzenia lasu w Nadleśnictwie Gdańsk na lata 2025-2034.

– W sytuacji, gdy wojewoda uchylił plan ochrony, Lasy Państwowe nie muszą uwzględniać umieszczonych w nim zapisów. A to może oznaczać dalsze, niekontrolowane wycinki i wyniszczenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego – podsumowuje Michał Piotrowski.

RDLP kontruje, park odbija piłeczkę

„Każdy plan urządzenia lasu podlega zatwierdzeniu przez ministra właściwego do spraw środowiska. Aktualnie obowiązujący został opracowany w okresie rządów PO-PSL i zatwierdzony przez ten rząd i ministra. Sugerowanie więc, że uchylenie przez wojewodę pomorskiego planu ochrony może oznaczać dalsze, niekontrolowane wycinki i wyniszczenie TPK jest nadużyciem. Pan Marszałek przecenia możliwy wpływ planu ochrony Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego na gospodarkę leśną, prowadzoną przez Nadleśnictwo Gdańsk. Zgodnie z ustawą o ochronie przyrody park krajobrazowy obejmuje obszar chroniony ze względu na wartości przyrodnicze, historyczne i kulturowe oraz walory krajobrazowe w celu zachowania, popularyzacji tych wartości w warunkach zrównoważonego rozwoju. Grunty rolne i leśne oraz inne nieruchomości znajdujące się w granicach parku krajobrazowego pozostawia się w gospodarczym wykorzystaniu. Mówiąc wprost: park krajobrazowy to nie park narodowy czy też rezerwat, gdzie funkcja ochronna jest nadrzędna w stosunku do innych", czytam w stanowisku RDLP w Gdańsku z 11 grudnia 2022 r. RDLP wytknęła też sejmikowi, że marnuje czas. Na uchwalenie audytu miał trzy lata od 5 marca 2019 r., potem marszałek jeszcze dwukrotnie prosił o przesunięcie terminu – najpierw o rok, potem o półtora roku.

> Park krajobrazowy to może sobie pani u siebie w ogródku zrobić.

13 grudnia Pomorski Zespół Parków Krajobrazowych odpowiedział RDLP. Zaznaczył, że audyt nie zastępuje planu ochrony. Podkreślił też, że Plan Ochrony TPK nie wyłącza gospodarowania, tylko strefuje jego intensywność, wskazując potrzebę pozostawiania części drzewostanu w dojrzałym i terminalnym stadium. A rozbieżność stanowisk w tym zakresie wynika z różnego podejścia do rozumienia zrównoważonej gospodarki leśnej. Parki przypomniały także RDLP art. 105 ustawy o ochronie przyrody: „Na terenie zarządzanym przez Lasy Państwowe, znajdującym się w granicach parku krajobrazowego, zadania w zakresie ochrony przyrody wykonuje miejscowy nadleśniczy, zgodnie z ustaleniami planu ochrony parku krajobrazowego, uwzględnionym w planie urządzenia lasu".

– Na początku 2022 r. nadleśnictwo poinformowało o planowanych zabiegach – mówi Anna Moś z zespołu parków. – TPK złożył uwagi pisemne. Weryfikacja terenowa wykazała, że znacznej części tych uwag nie uwzględniono i cięcia zostały wykonane.

Jak mrówka ze słoniem

Jeden z moich rozmówców napotkanych na szlaku stwierdza, że nie dziwi go rąbanie lasów, gdyż w państwie zmierzającym do autorytaryzmu w siłę rosną korporacje, a Lasy Państwowe są jedną z nich. – Pojedynek parku z LP to jak pojedynek mrówki ze słoniem – dodaje.

Piotr Klub, leśnik z wykształcenia, członek Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, w artykule „Nowy sposób zarządzania polskimi lasami" z marca 2021 r. pisze tak: „PGL LP są wielką firmą zatrudniającą ponad 26 tys. osób, zarządzającą 25% powierzchni kraju, bogatą, uprzywilejowaną w polskim prawie. Lasy angażują się w politykę lokalną i rządową, wykorzystują swoje wpływy i grupy poparcia, aby utrzymać korzystny dla siebie status quo. Autorytarne zarządzanie lasami, w sytuacji gdy oczekiwania społeczne wobec nich w ostatnich latach zmieniły się diametralnie, spowodowało mnóstwo konfliktów na styku gospodarka leśna-ochrona przyrody czy gospodarka leśna-oczekiwania społeczne".

Konflikty te monitoruje strona internetowa Lasy i Obywatele. Na dzień 25 stycznia 2023 r. jest na niej 336 inicjatyw. Coraz częściej lokalne społeczności, tak jak w Trójmieście, stają w obronie swoich lasów.

Pozycja Lasów Państwowych rośnie, natomiast parki krajobrazowe straciły znaczenie po zmianach w latach 2008-2009, kiedy to zaczęły podlegać marszałkom województw. Tak opisywała to Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2012 r.: „Parki krajobrazowe przegrywają z presją inwestycyjną, lwia część ich pracowników i majątku przeszła do wydzielonych regionalnych dyrekcji ochrony środowiska podlegających ministrowi środowiska, a obowiązujące przepisy, zamiast je chronić, dodatkowo komplikują ich funkcjonowanie".

– Dyrektor parku czy zespołu parków nie ma nigdzie wskazanych kompetencji w zakresie uzgadniania i opiniowania. Kompetencje takie posiada regionalny dyrektor ochrony środowiska. Dyrektor PZPK angażuje się

eprasa.pl 2dbe3b5146

w wiele postępowań w ramach udziału społeczeństwa. Nie zawsze opinia ta jest brana pod uwagę – stwierdza Anna Moś.

Michał Piotrowski podkreśla, że przejęcie parków przez samorząd województwa pomorskiego unaoczniło wiele zaniedbań, m.in. brak planów ochrony. W 2017 r. pozyskano środki unijne, żeby takie plany dla siedmiu pomorskich parków krajobrazowych stworzyć. Na razie TPK jest bez planu, a termin audytu wyznaczono na 5 września 2024 r. Wszyscy czekają na decyzję wojewódzkiego sądu administracyjnego.

A może lasy obywatelskie?

Cała nadzieja w tym, że lokalna społeczność będzie jak dotąd trzymać rękę na pulsie. Przeciw niszczeniu TPK protestowano bowiem nie tylko za rządów obecnej koalicji, ale i za poprzedniej. „Protesty wokół wycinek mocno nasiliły się w ostatnich dwóch latach. Najbardziej rozsierdziły mieszkańców trzebieże drzew. Po nich właśnie las traci walory krajobrazowe", donosił portal Trójmiasto.pl w marcu 2015 r.

W obecnym sporze mieszkańcy również stanęli murem za TPK, powtarzając z uporem: „Chcemy parku, nie pustyni". Hasło jest jak najbardziej słuszne, gdyż pozyskiwanie drzewa stamtąd zwiększa się. Z zestawienia przysłanego przez rzecznika Nadleśnictwa Gdańsk Łukasza Plonusa wynika, że o ile w latach 2005-2014 pozyskano niespełna 1 mln m sześc. drewna, o tyle w latach 2015-2024 planuje się pozyskać 1,2 mln m sześc., a realnie będzie to 1,1 mln m sześc. – o ponad 111 tys. więcej niż w poprzedniej dekadzie.

Piotr Klub w artykule cytowanym wyżej proponuje rozwiązanie. W ramach prac prowadzonych przez Fundację Dziedzictwo Przyrodnicze realizowany jest projekt mapowania obszarów leśnych, które mogłyby wejść w skład 20% lasów wyłączonych z użytkowania gospodarczego Lasów Państwowych. Nowy impet tym działaniom nadała Unia Europejska, formułując założenia Strategii na rzecz Bioróżnorodności. „Dla tych obszarów – pisze Klub – postulujemy stworzenie nowego bytu zarządzającego, który można roboczo nazwać »Lasy Narodowe« lub »Lasy Obywatelskie«. Do lasów obywatelskich (...) należałoby włączyć te, gdzie planowane jest poszerzenie parków narodowych, oraz (...) te wokół miast wojewódzkich, turystyczne, np. na Helu czy Ślęży, a także lasy, w których trwają obecnie konflikty ich funkcji społecznej z funkcją gospodarczą, np. lasy Puszczy Bukowej i Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego".

Zaglądam jeszcze w rejon Brętowa i do rezerwatu w Dolinie Strzyży. Tutaj też widać ślady po wycinkach, a ludzie mówią, że Lasom Państwowym te plany ochrony parków krajobrazowych są nie na rękę, bo ograniczają ich działalność. – Zasłaniają się audytem, bo wiedzą, że to złożony, kosztowny dokument i szybko nie powstanie, a oni w tym czasie będą mogli hulać – słyszę.

Helena Leman

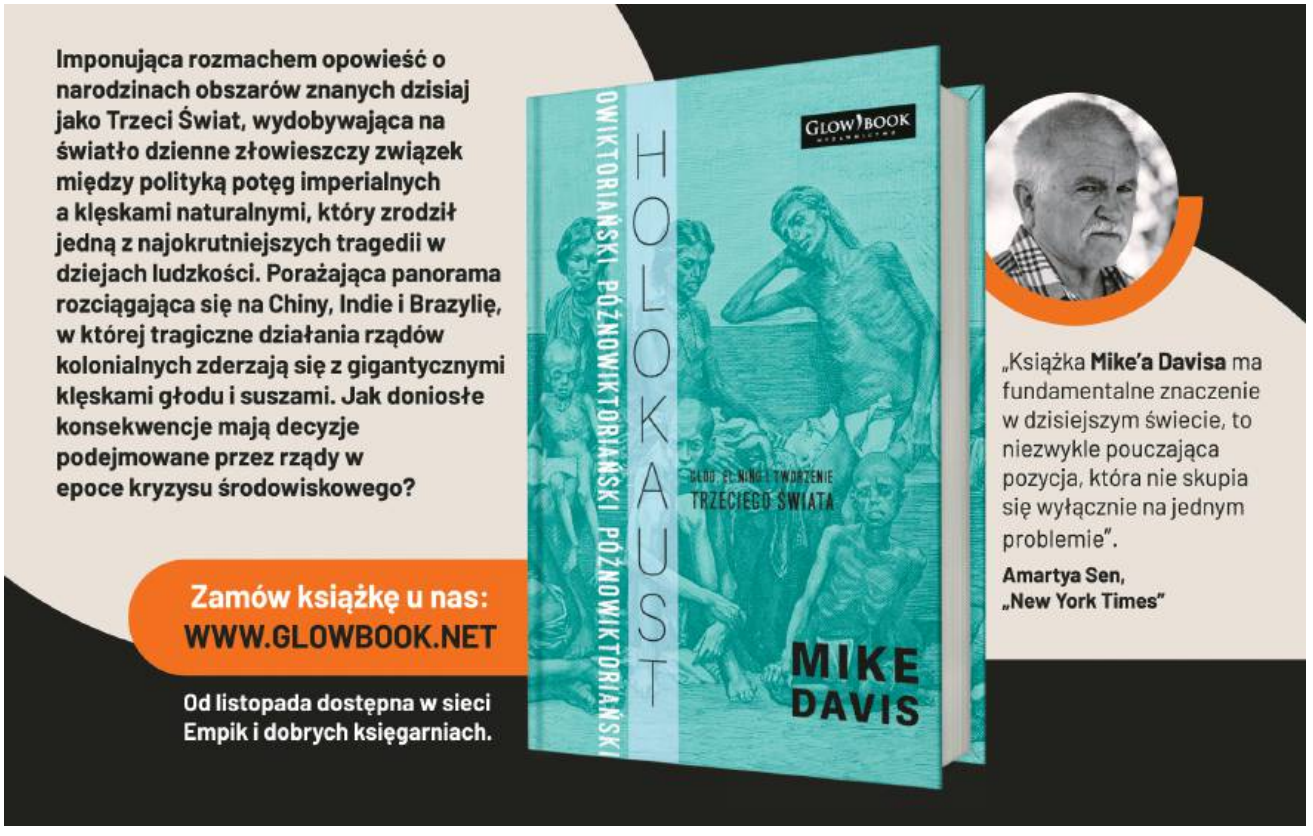

eprasa.pl 2dbe3b5146

Lecą gęsi, lecą

Zobaczymy je najczęściej na wodzie i w jej okolicy, ale ważnym miejscem ich żerowania są pola uprawne

Marcin Przymencki

Na dworze zima, to i ptaki zimują. Zgodnie z metodyką badawczą ten okres trwa od początku grudnia do końca lutego. Ale ptaki nic sobie z naukowych mądrości nie robią i płynnie reagują na zmienne warunki pogodowe.

Gęsi są nieodłącznym elementem okresów przejściowych. Jesienią zwiastują nieuniknioną zimę. Z kolei wiosną niosą radość, idzie bowiem ciepło i przyroda budzi się do życia. Często obserwujemy ich stada lecące nad miastami i wsiami, nieraz słyszymy ich charakterystyczne głosy, także nocą. Kiedy się pojawiają, zawsze wywołują u mnie ambiwalentne emocje. Z jednej strony, cieszę się, że to już, że są gęsi. Z drugiej – odczuwam pewien lęk przed zmianą.

Zmiany. No właśnie, to one napędzają cały krąg życia w klimacie umiarkowanym. Ale wielkoskalowe, cykliczne przemiany w przyrodzie to już nie tylko domena matki natury. Człowiek dokłada tu swoją cegiełkę, a właściwie cegłę, coraz większą. I te zmiany, niegdyś zwiastowane przez gęsi, wpływają teraz również na nie.

Obecnie w naszym kraju stwierdzamy 10 dziko występujących gatunków gęsi. Mimo że większość jest obserwowana corocznie, a niektóre nawet w wielotysięcznych stadach, u nas gniazduje tylko jeden gatunek. Gęgawa, bo o niej mowa, w ostatnich latach bardzo zwiększyła swoją liczebność. Lęgi wyprowadza w niemal całej Polsce na różnego rodzaju zbiornikach wodnych. Będąc późną wiosną nad jeziorem czy stawem, zwróćmy uwagę, czy w pobliżu jakaś para nie wodzi właśnie za sobą stadka piskląt.

Gęgawa jest gatunkiem migrującym. Podobnie jak pozostałe gęsi, które u nas spotykamy. Jednak tamte, wśród których znajdziemy nie tylko gęś tundrową czy białoczelną, ale również bernikle białolice, kanadyjskie i obrożne, wędrują na naprawdę spore dystanse. Gniazdują głównie w rejonach arktycznych i subarktycznych. W Palearktyce (naszej krainie zoogeograficznej) to m.in. archipelag Svalbard albo półwysep Tajmyr w Rosji. Stamtąd, po odchowaniu młodych lub ich stracie, ptaki rozpoczynają migrację w stronę Atlantyku, ku cieplejszemu klimatowi. W tym czasie jednym z ich punktów odpoczynku i żerowania jest terytorium Polski.

Najlepszy okres na obserwacje gęsi w kraju przypada jesienią na wrzesień-listopad, a wiosną – na luty i marzec. Zobaczymy je najczęściej na wodzie i w jej okolicy, ale ważnym miejscem żerowania są pola uprawne. Gęsi raczej są nieufne wobec człowieka i szybko uciekają, pamiętajmy więc, by przy obserwacjach zachowywać odpowiedni dystans.

Przypominam sobie pierwsze własne stada gęsi. Jeździłem wówczas z moim nauczycielem biologii, teraz przyjacielem, nad zbiornik Wonieść. To połowicznie sztuczne jezioro umiejscowione jest w krajobrazie rolniczym Wielkopolski, otacza je zatem mozaika pól uprawnych. Czekając na zlatujące się na nocleg żurawie, obserwowaliśmy tam również gęsi – najpierw te posilające się na polach, później klucze ciągnące w stronę wody, gdzie mogą względnie bezpiecznie spędzić noc. Uczyłem się rozpoznawać ich głosy, potem, dokładnie przyglądając się przez lunetę, próbowałem dostrzegać subtelne różnice w upierzeniu i kolorze. Niekiedy przed obserwacjami, w miejscach, gdzie poprzednio przebywały ptaki, zbieraliśmy ich pióra, idąc polami, wśród rozrzuconych kolb kukurydzy.

Szybki rozwój rolnictwa w ciągu ubiegłego i tego stulecia doprowadził do ogromnej transformacji krajobrazu rolniczego na naszych szerokościach geograficznych. Szczególnie w ostatnich 50 latach zmiany te pociągnęły za sobą utratę wielu populacji ptaków związanych z siedliskami na terenach rolniczych. Spadek liczebności – o ponad połowę – przypisuje się głównie intensyfikacji tej gałęzi gospodarki. Pomimo wprowadzenia polityki mającej na celu przywrócenie różnorodności biologicznej nadal maleje liczebność

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2dbe3b5146

wielu gatunków, zarówno w Europie, jak i w Ameryce Północnej. Co ciekawe, w jaskrawym kontraście do zmniejszających się populacji większości ptaków związanych z polami uprawnymi, liczba gęsi z półkuli północnej, obecnie zimujących głównie na terenach rolniczych na obu tych kontynentach, rośnie. Dlaczego ta grupa ptaków odniosła sukces, podczas gdy inne gatunki zupełnie nie radzą sobie z tymi zmianami?

Przede wszystkim gęsi nauczyły się wykorzystywać żywność dostarczaną przez siedliska rolnicze. Intensyfikacja rolnictwa sprawiła, że duże obszary przeznaczane są pod uprawę kukurydzy, zbóż i roślin strączkowych, które stanowią dla gęsi bogate źródło energii i białka. W środowiskach dominujących we współczesnym krajobrazie pokarmu tego typu jest pod dostatkiem, natomiast naturalne pożywienie, takie jak trawy, często jest mniej obfite, mniej skoncentrowane i bardziej energochłonne w konsumpcji. Trudno się dziwić, że ptaków, które do żerowania wykorzystują grunty rolne, przybywa, podczas gdy liczebność tych samych gatunków korzystających z naturalnych siedlisk utrzymuje się na stałym poziomie lub spada.

W naukowej debacie pojawiły się niepokoje, że taka żywność ma swoje ograniczenia – jednym z nich jest sezonowość, zarówno pod względem dostępności, jak i jakości. W trakcie intensywnego żerowania ptaki szybko wyczerpują dostępny pokarm, powodują także śmiertelność roślin. Co więcej, obfitość jedzenia na użytkach rolnych w ostatnich dziesięcioleciach może być zjawiskiem przejściowym – w końcu przemysł rolniczy istnieje po to, aby maksymalizować plony. Mówi się też, że pokarm pochodzenia rolniczego to dla gęsi odpowiednik ludzkiej śmieciowej żywności. Na przykład berniklom żerującym na obszarach intensywnie zagospodarowanych rolniczo nie udało się zgromadzić takich zapasów białka jak ich pobratymcom żerującym na terenach naturalnych. Stało się tak, ponieważ żerowanie na użytkach zielonych mogło skutkować wyższym tempem odkładania się tłuszczu, lecz odbywało się to kosztem zmniejszonego przyrostu białka z powodu niezrównoważonej diety.

Innym bardzo ważnym czynnikiem wpływającym właściwie na całą globalną biosferę są oczywiście zmiany klimatu. No jasne – powie sceptyk – ale jak one niby wpływają na gęsi?

Wróćmy do rodzimej gęgawy. W ciągu ostatnich 30 lat liczebność jej zimującej populacji między Hiszpanią a Szwecją wzrosła ze 120 tys. do 610 tys. osobników, a obszar, na którym ptaki spędzają zimę, rozszerzył się dość znacząco w kierunku północnym. Gęsi generalnie unikają w tym okresie pokrywy śnieżnej, która utrudnia im efektywne żerowanie. Cieplejsze zimy i brak śniegu na terenach coraz dalej na północ przyczyniają się do wzrostu liczebności gęgawy i zwiększają przeżywalność.

Kiedy zimy są łagodne, gęgawy zimują blisko swoich miejsc rozrodu. Krótsza migracja to mniej zagrożeń po drodze i możliwość szybszego powrotu na tereny lęgowe wiosną. Naukowcy z Czech twierdzą, że są to indywidualne decyzje podejmowane przez konkretne ptaki, ale trend na przestrzeni lat stał się widoczny. Jest też zgodny z tendencją do łagodnienia zim w centralnej Europie.

Szybsze przybycie do miejsc rozrodu nie zawsze jednak daje wymierne efekty. U bernikli białolicej stwierdzono, że kiedy jest cieplej podczas wiosennego powrotu, ptaki prędzej opuszczają zimowiska i niekiedy pomijają miejsca odpoczynku oraz żerowania w trakcie wędrówki. W efekcie przybywają wcześniej na lęgowiska, zwykle od razu po ustąpieniu pokrywy śnieżnej, ale do składania jaj się nie kwapią. Tymczasem wraz z przyśpieszonym znikaniem śniegu szybciej następuje szczyt dostępności odpowiedniego dla piskląt pokarmu. Opóźnione lęgi sprawiają, że zaczyna go brakować wyklutym gęsiom. To z kolei skutkuje ich dużą śmiertelnością.

Na obszarach arktycznych zasoby pokarmowe są bardzo ograniczone, a każdy funkcjonujący tam organizm przystosował się do niesprzyjających warunków. Zaburzenie tej równowagi prowadzi zatem do destabilizacji ustalonego przez tysiące lat ewolucyjnego porządku.

Cieplejsze zimy i wcześniejsze ustępowanie pokrywy śnieżnej oznaczają także większą przeżywalność lisów polarnych – głównego drapieżnika dla gniazdujących w Arktyce ptaków. A więcej lisów bardziej intensywnie żeruje na jajach i pisklętach gęsi.

Gatunki różnie reagują na postępujące zmiany. Dla niektórych ocieplenie klimatu może być szansą, dla innych – gwoździem do trumny. Jego wpływ na gęsi, mimo że częściowo poznany, wymaga dalszych badań. Naukowcy wskazują jednak ogromne znaczenie miejsc odpoczynku w trakcie wiosennej migracji. Ograniczone warunki pokarmowe w rejonach arktycznych powodują, że samice wielu gatunków gęsi zaczynają proces formowania jaj już podczas wędrówki, przed dotarciem do lęgowisk. Bardzo ważne jest zatem, by warunki żerowania w tym okresie były stabilne. Niekiedy ocieplenie sprawia, że niektóre zjawiska pogodowe, takie jak deszcze, mogą pozytywnie wpływać na ilość pożywienia w miejscach odpoczynku. Innym razem powodują całkowite jego zniszczenie.

Obserwacje gęsi są wyśmienite. Przyglądanie się ich życiu i interakcjom w stadzie czy szukanie nieco rzadszych gatunków mogą dostarczyć naprawdę fascynujących wrażeń. Kiedy usłyszymy nad głową stado lecące rankiem na żerowisko albo wieczorem na nocleg, zastanówmy się, w jak złożonym świecie żyjemy. Każdy osobnik tworzy własną historię i każdy odpowiada za ciągłość gatunku.

Kiedy jeżdżę z żoną na gęsi, niemal zawsze kieruję się nad zbiornik Wonieść. To miejsce cały czas obecne w mojej głowie, przyciąga mnie. Szukając stad tych ptaków, zaglądamy na pola uprawne lub zbiorniki wodne. Trudno czasem przewidzieć, gdzie akurat gęsi będą. Kiedy jest cieplej, ptaki zostają u nas, ale każdy powiew zimy i opad śniegu pcha je dalej na zachód. Jest w tym coś magicznego – nie wiem, czy to przez tę niepewność, czy znów przez zmiany: pogody, pór roku, klimatu. Uczucie przemijania nierozerwalnie kojarzy mi się z obserwacjami gęsi. Już tęsknię za wiosną. ■

eprasa.pl 2dbe3b5146

JOLKA

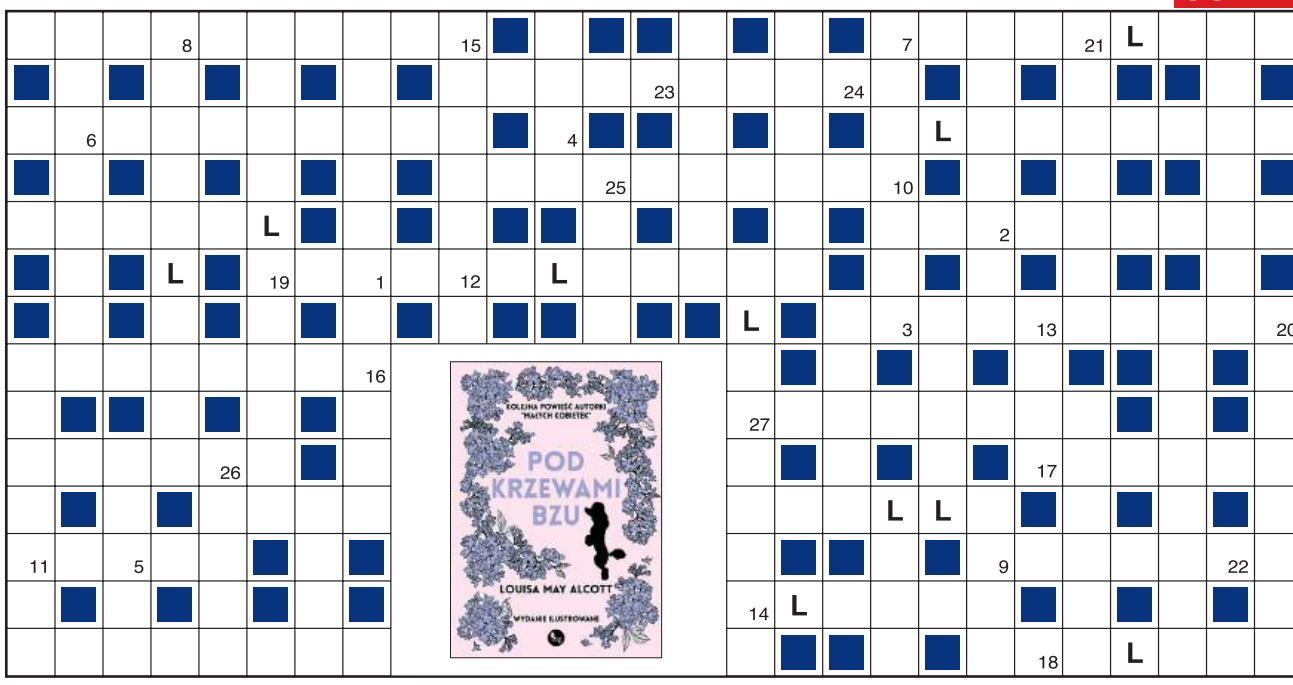

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- …wyborcza to nakłanianie: głosuj na nas!
- Bach – Sebastian, Mozart – ?
- putto
- …z Piombino – rzeźba w zbiorach Luwru
- głosiciel chrześcijaństwa lub idei, poglądów
- udzielał go św. Jan Baptysta
- zewnętrzna warstwa cytoplazmy
- na niej droga czy tory ponad terenem
- Greta, legenda kina
- w marcu jak w nim
- Jimi Hendrix lub Jimmy Page
- nie na każde dla dziecka zgodzi się USC
- przywóz towarów z zagranicy
- pracownica działu gospodarczego instytucji
- proste danie, też ze szczypiorkiem
- zegar piaskowy
- porażka to mało powiedziane!
- gończy lub żelazny
- mówi się, że gorsza od faszyzmu
- stolica regionu Kampania
- z roślinnością na pustyni
- …polski wśród ras psów gończych
- tyle, co brudu za nim – mało
- ta ryba zasłynęła wiciem się
- naczynie, z którego mogą pić zwierzęta
- …literacka to np. Tomasz Judym
- szef, zwierzchnik
- podprogowa lub tytoniu – zakazana
- na Lubelszczyźnie lub dochodzą z klatki lwów
- płynie pod mostkiem
- najbliższa okolica
- stroszą je na głowie twoi synowie
- samolub, egoista
- podawana po ukąszeniu żmii
- miasto z Wałami Chrobrego
- narciarskie przemknięcie
- lodowa atrakcja dla dzieciarni
- karciany żołądź
- …prask i po wszystkim
- pipetka
- jabłka – owocobranie, ziemniaki – ?
- wycinka lasu na danym terenie
- pstryka nią palacz
- za nieobecnego nauczyciela
- butelki, puszki zapakowane razem w folię
- halucynacja, dawniej upiór, duch
- przez sztag lub przez rufę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1105”. Do rozlosowania książki „Pod krzewami bzu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 lutego 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1102” z nr. 5: *Nowy król, nowe prawa.*
Nagrody otrzymują: Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu, Henryk Majkut z Tucząp, Józef Maskiewicz z Rybnika.

eprasa.pl 2dbe3b5146

Rau gra z Iranem

Wszystkim się wydawało, że sprawa przyschnie, że przysypią ją kolejne wydarzenia. A tu nic z tych rzeczy.

10 lutego uroczyście obchodzono 44. rocznicę rewolucji irańskiej. Obchody zostały zbojkotowane przez ambasadorów państw Unii Europejskiej oraz Wielkiej Brytanii. I nie tylko przez nich. Nie był to jednakże bojkot całkowity, wyłamało się z niego dwóch ambasadorów – Węgier i Polski, którzy wzięli udział w ceremonii i wysłuchali wystąpienia prezydenta Ebrahima Raisiego, jakby wszystko było OK.

I teraz pół MSZ zastanawia się, jakaż to gra za tym stoi. Teorii jest już wiele, nie muszą one się wykluczać, więc warto je przytoczyć.

Pierwsza to teoria złego ambasadora. Faktycznie, ambasador RP w Teheranie Maciej Fałkowski, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gwiazdą dyplomacji nie jest, w MSZ nie zajmował dotąd jakichś szczególnych stanowisk. Dla jakiejś gierki lub przez nieuwagę mógł zatem wziąć udział w ceremonii. Ale to jest nieprawdopodobne, takie kwestie konsultuje się z centralą.

W związku z tym pojawiła się druga teoria – ważnego interesu. Że było coś istotnego, na czym Polsce tak zależało, że gotowa była zapłacić za to twarzą ambasadora (który i tak powinien w tym roku zjechać do Warszawy). Tu nasuwa się jeden przypadek – Teheran trzymał w więzieniu prof. Walczaka, mikrobiologa, który pojechał do Iranu w 2021 r. na wymianę naukową, a został zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo. Jego uwolnienie warte byłoby mszy. Ale to już przeszłość, bo profesor wrócił do Polski w grudniu 2022 r.

Kolejne teorie są już polityczne – Polska chciała w ten sposób podkreślić, że jest samodzielnym podmiotem i może prowadzić samodzielną grę. Tylko że takie tłumaczenie nie ma sensu. Polska w czasie wojny na Ukrainie żadnej samodzielnej gry nie może prowadzić, chyba że za samodzielność uznamy pokrzykiwanie na państwa Europy Zachodniej, by dostarczały Ukrainie więcej broni.

Przypomnijmy zresztą: Polska w lutym 2019 r. zorganizowała w Warszawie tzw. bliskowschodnią konferencję, w której chodziło o potępienie Iranu. Wtedy byliśmy wobec Iranu jastrzębiami, teraz staliśmy się gołąbkami. Gdzie tu rozum?

Zwłaszcza że w tym czasie sytuacja się zmieniła, i to na niekorzyść détente. W wojnie rosyjsko-ukraińskiej Polska wspiera Kijów, a Teheran dostarcza Moskwie drony. Jaki jest więc sens ściskania się dziś z przywódcami Iranu? Jakie sygnały tym się daje?

Mamy też całą serię krwawo tłumionych demonstracji w Iranie. Ponad 500 osób poniosło śmierć, kilkanaście tysięcy zostało aresztowanych, wymierzane są kary śmierci. I oto władza, która chełpi się, że ma korzenie w Solidarności, w NZS itd., przechodzi nad tym do porządku dziennego?

Dodajmy jeszcze jedno – w sprawie dostaw ropy postawiliśmy już na Arabię Saudyjską, sprzedając jej Lotos. Czyli opowiedzieliśmy się za jednym z głównych wrogów Iranu.

Na razie w MSZ wygrywa teoria, że w ten sposób Polska chciała pokazać państwom Unii Europejskiej swoją samodzielność. Że jest inna niż ten LGBT-owski Zachód. I ambasador Fałkowski posłuchał się Węgra. A że wyszło, jak wyszło – no cóż, patrząc na ekipę Raua, trudno być zaskoczonym.

Attaché

15 lutego, w wieku 82 lat, zmarła Raquel Welch, gwiazda filmu „Milion lat przed naszą erą". Zadebiutowała w połowie lat 60., zagrała w ponad 30 filmach i 50 serialach telewizyjnych.

FOT. COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

eprasa.pl 2dbe3b5146

PENETRACJE

ZDANIE

OLGA LIPIŃSKA,
IKONA POLSKIEJ KULTURY

Jakoś nie mam zaufania do koturnowości, a w ogóle nie znoszę patosu. Jest w nim coś fałszywego. Zawsze starałam się, cokolwiek robiłam, dążyć do prawdy. Toteż np. moja „Zemsta" nie była śmieszna, co mi zarzucono. Cześnik grany przez Janka Nowickiego ma okropny charakter, jest groźny w swojej nienawiści. Zresztą Rejent, grany przez Jerzego Trelę, także. Przez ich rozmowy chciałam pokazać to, co nas gubi. Ten polski charakter – kłótliwość o nic, o duperele. Oni po prostu przegryzali sobie gardła. Niestety, u nas jest patriotycznie podejrzany ktoś, kto nie jest śmiertelnie poważny.

TYGODNIK POWSZECHNY

CVETA DIMITROVA,
PSYCHOTERAPEUTKA

Chęć wyróżniania się jest próbą poradzenia sobie z bardzo bolesnym poczuciem, że się nie liczymy. To jest szalenie niebezpieczny mechanizm. Bo dopóki udaje nam się kręcić w tym kołowrotku – czyli z lęku przed przeciętnością mobilizować się do robienia rzeczy, które są nieprzeciętne – możemy czuć umiarkowaną satysfakcję. Umiarkowaną, bo to uczucie jest bardzo ulotne. Ale w momencie, w którym zderzamy się z różnymi ograniczeniami, zaczynamy przeżywać ogromną frustrację i złość.

Press

PAWEŁ SMOLEŃSKI,
REPORTER W „GAZECIE WYBORCZEJ"

Dla mnie Aleksandra Klich może istnieć, ale równie dobrze mogłoby jej nie być. Nie zaprzątam sobie nią głowy. Podlizywała się przełożonym, co wyglądało dość komicznie i – co już zabawne nie było – intrygowała przeciwko podwładnym, również tym, którzy mieli własne zdanie oraz – bywało – chronili ją przed kompromitującymi wpadkami redaktorskimi. Hołubiła potulnych. Niektórych współpracowników, także o wielkim i docenianym dorobku zawodowym, niszczyła w sposób metodyczny i przemyślany, ale tak, by pozostało jak najmniej śladów przy jak największym efekcie, korzystnym dla niej. Była w te klocki naprawdę dobra. Postrzega wszystko zero-jedynkowo, byle sytuacja grała na jej rachunek.

PANI

MONIKA STRZĘPKA,
REŻYSERKA

Długo definiowałam się jako osoba bez szans, bo ze wsi. A gdy postanawiasz, że chcesz z tej wsi się wyrwać, to przy okazji wyrywasz parę korzeni. A potem usychasz. I nie wiesz dlaczego. Niedawno zorientowałam się, że urodziłam się w lesie, w domu z klepiskiem. I to, że jestem z lasu, dało mi nieprawdopodobną moc. Ukorzeniło mnie na bardzo wielu poziomach. Również artystycznym, relacyjnym. Zaczęłam rozpoznawać swój mit.

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SARKA FARKA (2)

eprasa.pl 2dbe3b5146

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 LAK + PAR =	3 ETNA + BYK =	5 LIPA + DUKT =
2 DOG + NIP =	4 SZAL + TOR =	6 LONT + SUKA =

ROZWIĄZANIA: KAPRAL, DOPING, NABYTEK, STOLARZ, DUPLIKAT, KONSULAT

Aby język giętki…

ADAM BODNAR
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Po to tworzył państwo dla siebie, aby teraz wiernie mu służyło.

MAREK BELKA O ODDAWANIU WŁADZY

W demokracji rządzący nie boją się oddać władzy. Jak się boją, to znaczy, że demokracji już nie ma.

KRZYSZTOF VARGA O WILLACH

Sasin sprzedał willę fundacji zarządzanej przez min. Glińskiego za pieniądze od min. Czarnka, więc wszystko zostaje w rodzinie.

SZYMON JADCZAK O DZIENNIKARSTWIE

Praca dziennikarza w dzisiejszej Polsce prowadzi wprost do syndromu stresu pourazowego.

GRZEGORZ LATO
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Kto to jest, żeby do niego jeździć na audiencję?! To piłkarz, a nie prezes czy trener.

KATARZYNA KWIATKOWSKA
O MARCINIE DOROCIŃSKIM

Polskiemu aktorowi nie wypadało ćwiczyć fizycznie, to było poniżej godności. Ale on miał to gdzieś. Chciał mieć kaloryfer i szeroką klatę. I miał.

KRYSTYNA JANDA
O GOSPODYNI HONORACIE

Zbierała do kupy i regulowała wszystko, szczególnie moje ego, rządziła niepodzielnie i stawiała mnie do pionu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 2dbe3b5146

1

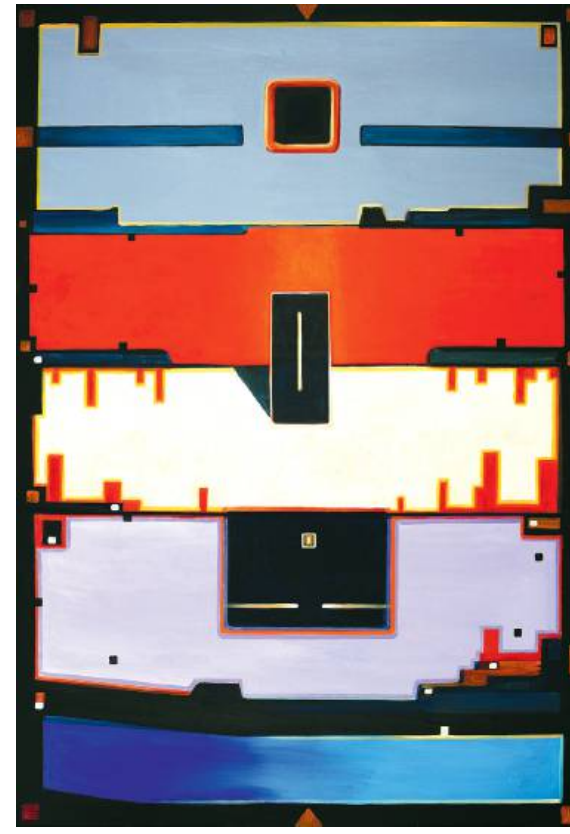

2

Abstrakcje w Stalowej

Pomysłów na abstrakcje może być nieskończenie wiele, artyści wciąż wpadają na nowe. Sztuka nie stoi w miejscu i ciągle próbuje odnajdywać inne drogi, podejmować kolejne formalne rozstrzygnięcia, nowe sposoby rozwiązania zagadki obrazu, a jest ich tyle, ilu artystów. W Galerii Stalowa oglądać można prace Michała Boguckiego, Bei Guillemot, Daniela Krysty, Ady Marciniak, Michała Matysiaka, Sebastiana Skoczylasa, Urszuli Ślusarczyk i Marka Wrzesińskiego.

Galeria Stalowa
Warszawa, ul. Stalowa 26
do 7 kwietnia

1. Bea Guillemot, 22-EP8A
2. Michał Bogucki, Ziemia nowa i niebo nowe
3. Sebastian Skoczylas, Ultra-fiolet
4. Urszula Ślusarczyk, IX

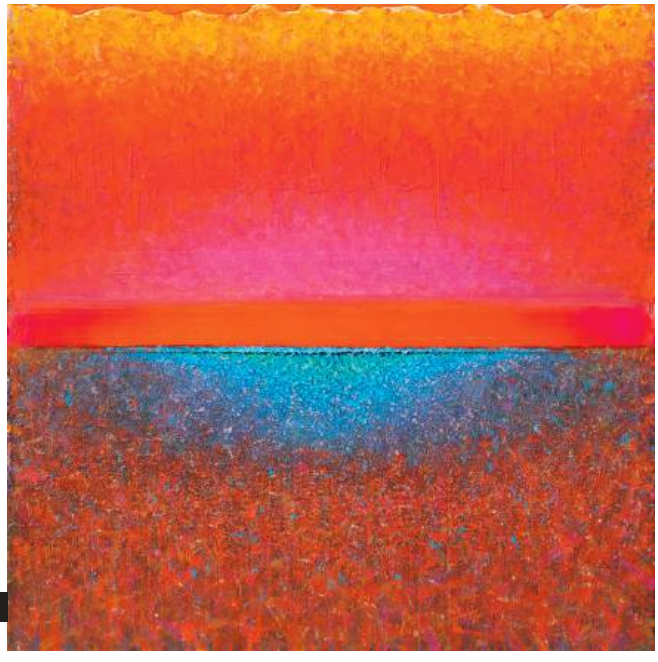

3

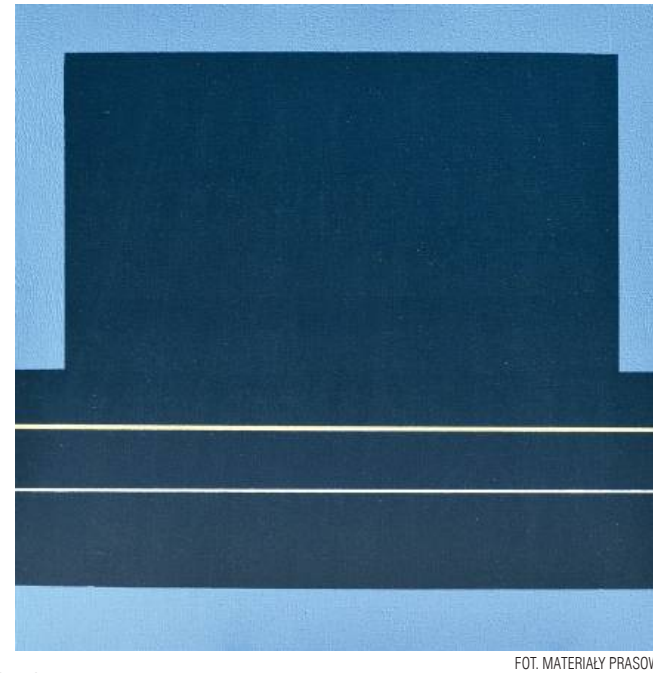

4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2dbe3b5146

STODOLA more than live music

26 LUTEGO	/	Filharmonia Częstochowska, Częstochowa
4 MARCA	/	Aula UAM, Poznań
11 MARCA	/	Filharmonia Bałtycka, Gdańsk
12 MARCA	/	Klub Wytwórnia, Łódź
16 MARCA	/	Centrum Spotkania Kultur, Lublin
17 MARCA	/	Katowice Miasto Ogrodów, Katowice
18 MARCA	/	Cavatina Hall, Bielsko-Biała SOLD OUT!
19 MARCA	/	Klub Studio, Kraków
25 MARCA	/	Narodowe Forum Muzyki, Wrocław
29 MARCA	/	Filharmonia im. M. Karłowicza, Szczecin
31 MARCA	/	Klub Stodoła, Warszawa
1 KWIETNIA	/	Klub Stodoła, Warszawa
12 KWIETNIA	/	CKK Jordanki, Toruń
14 KWIETNIA	/	Klub Stodoła, Warszawa
15 KWIETNIA	/	Klub Stodoła, Warszawa
16 KWIETNIA	/	Filharmonia Pomorska, Bydgoszcz

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

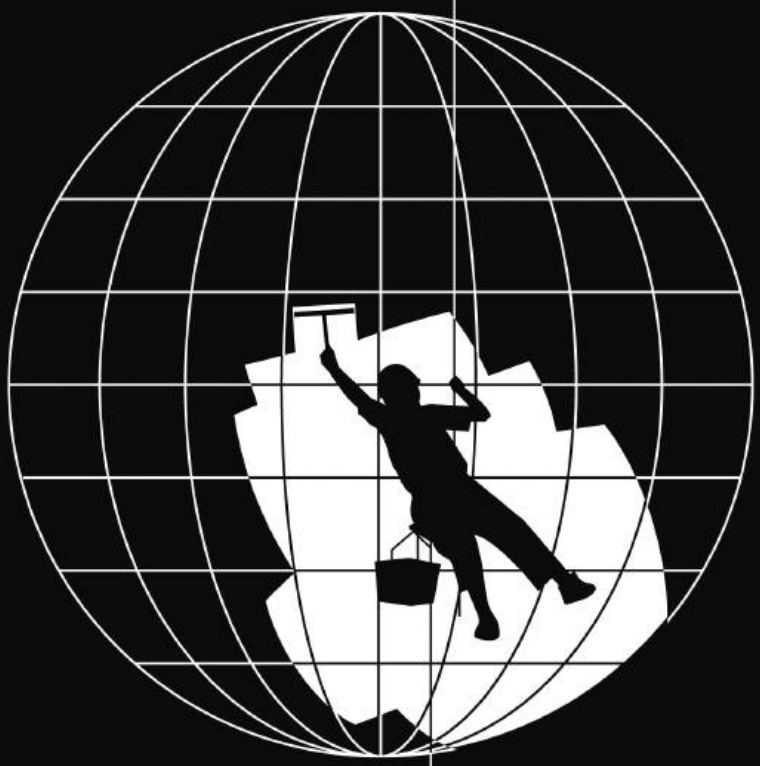

Przedwiośnie

reż. Paweł Łysak
premiera: 24 lutego 2023
kolejne pokazy: 25, 26, 28.02 i 01, 16, 17, 19, 21.03

Wydanie „Przedwiośnia" w 1924 roku wywołało burzę różnorodnych komentarzy. Stefana Żeromskiego oskarżano o promowanie bolszewizmu i pornografię. Na kolejne dekady książka stała się dla pokoleń punktem odniesienia powracającym w wielu dyskusjach. Szczególnie po 1989 roku wielokroć powracało marzenie dotyczące nowego „Przedwiośnia".

Po prawie stu latach wracamy do tej powieści, by przyjrzeć się postawionym przez Żeromskiego pytaniom o sprawiedliwość społeczną, Polskę obywatelską, a przede wszystkim o marzenia dotyczące nowej, lepszej rzeczywistości. Burzliwe losy Cezarego Baryki nie mogą odzwierciedlać wyzwań współczesnych młodych aktywistów, ale mogą stać się dla nas wstępem do dyskusji o wciąż trwających pęknięciach w polskim społeczeństwie, wojnie polsko-polskiej i ogromnym rozczarowaniu kształtem obecnej rzeczywistości, na którym żeruje prawicowy populizm. Proponujemy widzom rodzaj nowej, krytycznej lektury, do której zaprosiliśmy nie tylko aktorów, ale też młodych aktywistów i intelektualistów.

Patroni medialni wyborcza.pl

www.powszechny.com